

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 148.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1877.

SERYA V.

Październik.

TOM IV. — ZESZYT X.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

Ukończono druk dnia 4 października 1877 r.

I. Klementyna z Tańskich Hofmanowa. Ustęp z dziejów wychowania w Polsce. Przez Piotra Chmielowskiego.	1
II. Drogi żelazne w Królestwie Polskiem. Prawa akcyonaryuszów. Przez A. Wrotnowskiego. (Dokończenie).	36
III. Erazm Ciołek, biskup płocki (1503—1522 r.), dyplomata polski XVI wieku.	54
IV. O szkole muzycznój (Studyum). Przez Bolesława Wilczyńskiego.	76
V. Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna.—Posiedzenie doroczne Akademii Francuzkiej. Dzieła uwieńczone: <i>Karol Wielki</i> p. Vetault.— <i>Historja powszechna Węgier</i> p. Sayons.— <i>Minister Turgot z czasów Ludwika XVI</i> p. Foucin.— <i>Rewolucya Termidorowa: Robespierre i komitet bezpieczeństwa publicznego</i> p. d'Hericault. <i>Małżeństwo Henryka IV z Maryą Medyceuszką</i> p. Bertolda Zeller.— <i>Początki monarchii pruskiej, czyli Marchia Brandeburska</i> p. Lavissee.— <i>Marya Stuart, jój proces i egzekucya</i> p. Chautelauze.— <i>Bretania w Akademii Francuzkiej</i> p. Kerviller.— <i>Pastor Jarousseau, ustęp z czasów reformacyi</i> p. Pelletan.—Ostatnie wydanie <i>Listów pani Sevigne</i> p. Capmas.— <i>Wielcy pisarze Francyi</i> , wydawnictwo pod kierunkiem p. Regner.— <i>Dramata Szekspira</i> przekład p. Montaigu.— <i>Dzieła Erazma z Rotterdamu</i> przekład p. Develay.— <i>Rozbiór Filozofii Maine de Biran</i> prof. Gerard. — <i>Niewolnicy chrześcijańscy od początków Kościoła, do końca panowania rzymskiego na Zachodzie</i> p. Allard.— <i>Nowe pokłosie</i> , zbiór poezyi panny Ludwiki Bertin.— <i>Podróż po Ameryce</i> p. L. Biard.— <i>Studia nad filozofją we Francyi w XIX wieku</i> p. Ferraz.— <i>Pogałanki naukowe</i> p. H. Parville.— <i>Miasta umarłe nad zatoką lionską</i> p. Lenteric. Konkurs poetyczny: <i>Andrzej Chenier</i> p. du Locle.— <i>Sully Prudhomme</i> .— <i>Mowa Aleksandra Dumasa, z powodu nagród Monthyona za zasługę</i> .— <i>Wspomnienia pani d'Agoult</i> (Daniel Stern).— <i>Sephora</i> , misteryum biblijne p. Aleksandra Parodi.— <i>Obrona tezy w Sorbonie</i> p. Autard: <i>Poeta włoski Leopardi</i> .— <i>Panteon literacki: Muza historyczna. Ubodzy i żebracy</i> , powieść p. Landelle.— <i>Sztuka czytania</i> .— <i>Forniki historyczne we Francyi</i> .— <i>Czarni żydzi w Abisynii</i> p. Halevy.— <i>Karczmy od czasów najdawniejszych</i> .— <i>O stosunku zbytków, do formy rządu</i> ; rozprawa prof. Baudrillard.— <i>Wystawa obrazów konkursowych: Napad Gallów na Rzym</i> .— <i>Sprostowanie</i>	92
VI. Wjazd tryumfalny króla Sobieskiego do Warszawy, w r. 1677. Przez Aleksandra Wejnerta.	119
VII. PRZEGLĄD PISMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.	

Najpierwsze prace w dziedzinie mowoznawstwa polskiego. Gramatyka porównawcza mowy polskiej, w zestawieniu jój z niemiecką
(*Dalszy ciąg patrz na przedostatniej stronie okładki*).

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 148.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1877.

— 30 —
Tom czwarty.

W A R S Z A W A.

Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

—
1877.



De. II. 1.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 21 Сентября 1877 года.

KLEMENTYNA Z TAŃSKICH HOFMANOWA.

USTĘP Z DZIEJÓW WYCHOWANIA W POLSCE.

PRZEZ

Piotra Chmielowskiego.

I.

Oświata w tej części dawniej Polski, która na początku bieżącego stulecia zostawała pod panowaniem pruskim, pośrednie zajmowała miejsce pomiędzy szybkim i wspaniałym rozwojem nauk w ziemiach podległych berłu rosyjskiemu a średniowieczną niemal ciemnotą nie-szczęśliwej Galicyi. Zbyt częsta zmiana rządów, która się trzykrotnie w przeciągu lat niespełna dwudziestu dokonała; stan niepewności, apatyi lub rozgorączkowania; spełnianie lub wyczekiwanie czynów wojennych: oto główne zewnętrzne przyczyny tego zjawiska, że instrukcja publiczna, ani za czasów pruskich, ani za czasów Księstwa Warszawskiego, ani nawet za konstytucyjnych czasów królestwa kongresowego, nie mogła się organicznie rozwinąć i zabłysnąć tak jasnym światłem, jak np. Uniwersytet Wileński za rektoratu Hieronima Strojnowskiego, Jana Śniadeckiego, a nawet jeszcze i za Franciszka Malewskiego. Do powyższych jednak przyczyn zewnętrznych dodać należy i ten fakt nie małej wagi, że w tej części Polski, o której mówię, nie zjawiały się długo wielkie talenta pedagogiczne i nie podtrzymywały silną dłońią a niez mordowaną zapobiegliwością chwiejących się, podczas zawieruchy wojennej, zakładow wychowania publicznego. W zakresie tylko wykształcenia elementarnego poszczycić się można takim Konstantynem Wolskim; w filologii polskiej — Lindym; ale ani w matematyce, ani w naukach przyrodzonych nie było Janów i Jędrzejów Śniadeckich; w filologii zaś klasycznej ani Stefazyusz, ani Woelcke, że już o Zinserringu, Jacobie i Müllerze nie wspomnę, nie mogą się ze znakomitym Grodkiem porównać. Dopiero w ostatnich kilku latach przed 1830 r. zaczynają się rozwijać talenta, które, niestety, zmarnieć wkrótce miały (T. Dziekoński, T. Sierociński i inni).

Brak talentów pedagogicznych sprawił, że bardzo długo nie posiadaliśmy podręczników do nauki szkolnej. Dzieła i dziełka wygotowane lub polecane niegdyś przez członków Komisji Edukacyjnej, przestały być używane, z wyjątkiem gramatyki Kopczyńskiego, i logiki Kondylaka, nietylko za czasów pruskich, ale nawet za Księstwa Warszawskiego i później. Na nowe oryginalne prace zdobyć się nie umiano; potrzeba je więc było tłómaczyć zazwyczaj z niemieckiego. Tak



np. w szkołach Księstwa Warszawskiego do nauki historii używano dziełka Schröcka, do łaciny wypisów Gedike'go, tak zwanego *Tirocinium*, które było i później bardzo często przedrukowywane, którego początkowy frazes: *Terra est rotunda et globosa*, w przysłowie u nas przeszedł; do języka francuzkiego wypisów tegoż Gedikego; do technologii książki Funka; do literatury Eschenburga: *Lehrbuch der Wissenschaftskunde* ¹⁾. Tłómaczeń, po większej części bardzo nędznych pod względem języka, dostarczał Bogumił Korn we Wrocławiu, który drukował głównie utwory służące za przewodniki w wychowaniu domowym i książki rozrywce poświęcone.

Pomimo to jednak, przypatrując się bliżej ruchowi pedagogicznemu w pierwszych 20-stu latach naszego wieku, zauważymy z łatwością, że było u nas silne poczucie potrzeby wykształcenia i bardzo wiele gorliwości wśród stanu nauczycielskiego. Pociuszający ten objaw przypisać należy w części żywej jeszcze naówczas tradycyi Komisji Edukacyjnej, a w części troskliwości rządu pruskiego o dobro oświaty. Tajny naczelny konsyliarz skarbowy de Klewitz, zdając sprawę ze stanu szkół w tak zwanych „Prusiech południowych“, mówił z wielkim uznaniem o ich urządzeniu przez Komisją Edukacyjną, zaznaczając tylko, że brakowało tu i owdzie wykonania przepisów. Rząd pruski, urządzając szkoły w nowo nabytym kraju, postępował ogólnie i taktownie, stanowiąc, że każdy nauczyciel, czy Polak, czy Niemiec, winien był umieć i po polsku i po niemiecku. Nie tał się wprawdzie z tém, że powolne zlanie się ludności polskiej z niemiecką było jego celem, mówiąc głośno, że i mieszkańcy nowych prowincyi południowych i nowo-wschodnich Prus, powinni z dawnymi prowincjami, z ich mieszkańcami, językiem, religią, obyczajami i ustawami, bardziej się oswoić i *niejako jeden naród* składać ²⁾; — ale nie był jeszcze wówczas tak zaciekłym germanizatorem, jak dzisiaj, i radykalnych środków się nie chwycił. Wysoko ukształcony minister stanu von Voss, i przyjaźnie dla Polaków usposobieni pedagogowie niemieccy dbali przedewszystkiem o to, ażeby młodzież szkolna odnosiła istotny pożytek z udzielanych sobie nauk, i nie marnowała czasu na mechaniczne zapamiętywanie wiadomości w języku niezrozumiałym. To téż zgodnie z tym głównym celem, w obec którego cel germanizacyjny usuwał się na plan dalszy, urządzono wykład w szkołach, i starano się przygotowywać zdolnych pedagogów, poczynając od szkół elementarnych. Dlatego to wysłano Jeziorowskiego, Gruszczyńskiego i Siewieluńskiego do Burgdorf i Dessau, Bentkowskiego do Halli, Bratoszewskiego do Frankfurtu nad Odrą, ażeby się zapoznali z nowszemi zdobyczami wychowawczemi i za powrotem mogli być przewodnikami seminaryów nauczycielskich w Poznaniu i Łowiczu. Prawdziwej oświacie nie stawiano przeszkód,

¹⁾ Pamiętnik Warszawski, 1815, I, 179—213.

²⁾ Nowy Pamiętnik Warszawski, 1805, IV, 75.

i owszem dozwolono utworzyć „Towarzystwo Przyjaciół Nauk,“ które nie miało do jęj podniesienia się przyczyniło.

Kierunek pedagogiczny, czyli zasady wychowania i wykształcenia niewiele się za rządów pruskich różniły od zasad Komisji Edukacyjnej. Wtedy w Prusach nie był jeszcze zapanował wyłącznie systemat humanistyczny, podług którego nauka języków klasycznych powinna być jedyną podstawą i jedynym środkiem wykształcenia; lecz systemat ten łączono z dążeniami ówczesnych pedagogicznych filantropów, którzy podnosili przedewszystkiem znaczenie nauk realnych, jak w ogóle tych wiadomości, co miały być w przyszłym powołaniu wychowawca pożytecznymi. Ta dążność filantropinistyczna rządu pruskiego już w tém się objawia, że liczbę 12 szkół „uczonych“, t. j. przygotowujących do uniwersytetu, uznał zawięlką i do połowy ją zmniejszył. Powtóre zakładając „Liceum Warszawskie“ 1805 r., przepisano w planie nauk, prócz 9-ciu języków (niemieckiego, polskiego, francuzkiego, łacińskiego, greckiego, hebrajskiego, angielskiego, włoskiego, rosyjskiego), wykład także początków anatomii i fizjologii ¹⁾.

Różnica główna zasad instrukcyi pruskiej od ustaw Komisji Edukacyjnej polegała, prócz silnego nacisku na język niemiecki, także i na tém, że nauka języka greckiego stała się obowiązkową w tak zwanych szkołach uczonych, czyli gimnazyach, jakbyśmy dziś powiedzieli. W Księztwie Warszawskiem nauka tego języka znowu została drugorzędną, i w „wolnych jedynie chwilach“ wykładaną była, tak że dopiero w Królestwie kongresowém, choć tylko w części dó dawniejszego ryguru powrócono.

W skutek więc żywěj tradycyi Komisji Edukacyjnej i prawdziwie „pedagogicznego“ taktu rządu pruskiego, ożywiło się w Prusiech południowych i nowo-wschodnich“, a potem w Księztwie Warszawskiem i Kongresowce zamiłowanie studyów wychowawczych i chęć gorąca przyłożenia się do dzieła oświaty krajowěj. Jakoż powstała przedewszystkiem jawność działań w zakładach naukowych nietylko rządowych, ale i prywatnych. Pierwszym to podobno było w dziejach wychowania naszego przykładem, że kiedy Ludwik Osiński i Konstantyn Wolski zamierzali utworzyć w 1801 roku pensyą prywatną męzką, wyprawili naprzód w świat obszernie 29-cio-stronnicowe uwiadomienie, w którym zarówno układ instrukcyi, jak i metodę nauczania, obok gospodarskiego urządzenia zakładu, szczegółowo przedstawili ²⁾. Dawniej, czasami tylko, Jezuici i Pijarzy ten tak chwalebny, a tak dla kontroli powszechnej ważny zwyczaj zachowywali. A potem *programata* szkolne zawierały, nie wyjątkowo, jak poprzednio, ale stale, jakąś rozprawkę nauko-

¹⁾ Nowy Pamiętnik Warszawski, 1804, III, 197—249: *Urządzenie królewskiego Liceum Warszawskiego.*“

²⁾ Uwiadomienie to wyszło pod napisem: *Układ edukacyi w pensyi nowo utworzoněj za wiadomością i pozwoleniem Zwierzchności krajowěj, pod dozorem Kon. Wolskiego i L. Osińskiego, w Warszawie 1801 r.*

wą, rok rocznie przez jednego z nauczycieli wypracowaną. Z nowemi pojęciami wychowawczemi zaznajamiano się daleko wcześniej niż poprzednio. Ulepszenia wychowawcze, dokonane przez Basedowa, Oliviera, Pestalozzego, Fellenberga, Bella i Lankastra, przechodziły szybko do wiadomości naszych nauczycieli, i wiedza o nich zaraz drukiem się rozpowszechniała. Za Księstwa Warszawskiego otrzymaliśmy pierwszą *systematyczną* Pedagogikę Niemeyera, w przekładzie księdza Czarneckiego, a w kilka lat potem Chojnacki napisał takąż Pedagogikę oryginalnie po polsku.

A jak w instrukcyi publicznej robiono bardzo wielkie ustępstwa na rzecz realistycznego kierunku, tak znowuż w rozpowszechnionych na początku wieku naszego przekonaniach pedagogicznych, głównie dźwięczała taż struna. Dzieł wprawdzie głównego przedstawiciela realizmu pedagogicznego, zwanego w Niemczech *filantropinizmem*, Basedowa, nie tłómaczono u nas; ale one same były znane, tém bardziej, że ks. Adam Czartoryski należał do liczby owych książąt i królów, co to złożyli wielką zapomogę Basedowowi do wydania jego sławnego *Elementarwerk*, a rodak nasz Chodowiecki robił do niego ryciny. Powtórę, z zasadami Basedowa zapoznawała się młodzież i starsi z dzieł Campego, sławnego z przeróbki Robinsona, tylokrotnie u nas przedrukowywanęj, ze zbioru pism, rozrywkę dzieci mających na celu, które również znane były u nas w tłómaczeniu. To pośrednie zaznajamianie się z poglądami Basedowa, który wziął był sobie za zadanie urzeczywistnić nietylko zdrowe rady, ale i paradoksa Jana Jakóba Rousseau, uchroniło nas po części od ekscentrycznych pomysłów, od niebezpiecznych eksperymentów pedagogicznych; a wpoilo tylko głęboko w umysły to przekonanie, że wykształcenie powinno przygotować młodzież do przyszłego ich zawodu w życiu obywatelskiem, w niczém jednakże nie kępując swobody jednostki i nie zagrażając jej drogi do szczęścia. Przekonanie to, stwierdzane i wzmacniane potrzebami kraju, który na gwałt starać się musiał nie tyle o uczonych z profesyi, ile o zdolnych urzędników, techników i przemysłowców, coraz większe w umysłach wykształconych zyskiwało uznanie i stałoby się wielce dla rozwoju oświaty szkodliwe, gdyby Towarzystwo Przyjaciół Nauk i późniejszy Uniwersytet Warszawski nie były choć częściowo przeciwdziały i znaczenia umiejętności nie podtrzymywały. Przewaga wprawdzie została po stronie filantropinizmu; ale kraj ustrzegł się stanowczej jednostronności i naukom humanistycznym poszanowanie zapewnił.

W obec dość rażnego zainteresowania się sprawami pedagogicznemi, kwestya téż wychowania kobiet nie mogła pozostać w ukryciu. Wychowanie panien jak we wszystkich krajach katolickich tak i u nas było trojake: klasztorne, pensyonarskie i domowe; żadne jednakże nie odznaczało się rozumném urządzeniem.

O wychowaniu klasztorném nie mamy wprawdzie szczegółowych sprawozdań; ta wszakże okoliczność, że tak świątły kapłan jak Kołłątaj, w listach do Małachowskiego z nieufnością o szkołach klasztornych

się odzywa, mówiąc, że pokora i *powierzchowny układ*, jest to rzecz najwięcej zgromadzenia zakonne szczycąca; a powtóre to, że w r. 1793 uważano za potrzebne przełożyć dziełko pani Genlis: *O zniesieniu zakonnicy i edukacyi publicznej kobiet i ludu* (w Krakowie), gdzie znajdujemy obronę zakonnego wychowania: zmuszają do wniosku, że zakłady Sakramentek i Wizytek nie odpowiadały życzeniom oświeconego ogółu. Wykład nauk był sprowadzony do *minimum*; paplanina francuzka grała w nim główną rolę; o przygotowaniu do życia obywatelskiego nie myślano prawie wcale. Jeżeli zakony męzkie mają nie jedną piękną kartę w dziejach naszego wychowania; to natomiast klasztorzy żeńskie były dla ogólnego wykształcenia zupełnie prawie bezowocne. „Klasztorny kierunek — powiada K. Wł. Wójcicki ¹⁾ — żadnych korzyści, raczej szkodę dla rodzin przynosił; albowiem młodych dziewczątek myśli i uczucia odwracał od właściwego powołania kobiety, jako przyszłej żony, matki i obywatelki. O tych świętych obowiązkach żadna panna z klasztoru najmniejszego nie miała wyobrażenia. Oderwana od świata, od uczuć niewieścich i przyszłego powołania w społeczeństwie, śpiewała na chórze, modliła się wiele, uczyła mało, skromną przywdziewała postawę, i z rączkami nakrzyż założonemi, jako istota bierna, pokorna i potulna wychodziła z cichej celi zakonnej w gwar życia światowy. Nie dziwota, że wychowanki klasztorne, zwane pospolicie *gąskami* (lub *pannami celkowemi*), które poczuwały gorętsze uderzenia młodego serca, często na błędną drogę wchodziły, a błąkając się bez światła i przewodnika sumiennego, padały ofiarą swego obłędu.... Z klasztoru nie wynosiły czystej i prawdziwej pokory chrześcianki, ale tylko jej pozór i *dewocyę*, która w późniejszym życiu najgorsze wydawała owoce... Zamknięte w grubych murach klasztornych, obudzały w sobie dwie zgubne wady: *ciekawość* i *zamiłowanie plotek*, z których dopiero po długiej pracy lubo nie zawsze, wyleczyć się mogły w gronie rodzinném.“

O pensyach żeńskich mamy również jaknajniepochlebniejsze świadectwa. Hugo Kołłątaj pisząc do Małachowskiego w 1788 r., sławne listy Anonima, powiada, że *płochę naśladownictwo* namnożyło pensyi w mieście stołeczném; że moda wydała na niebezpieczeństwo dobre obyczaje: że dobry ton chciał mieć panienki szlacheckie komedyantkami, kształtnemi tancerkami; że wysyłając na edukacyę do stołecznego miasta te niewinne ofiary, chcemy do reszty zagubić dawne narodu obyczaje ²⁾... W lat cztery potem Komisya Edukacyjna powagą swoją zaleciła rektorom, tudzież osobom, trudniącym się wychowaniem, odwodzić rodziców od zamiaru oddawania córek swoich *na pensye*, wystawiać im całe zwodnictwo *mistrzyni*, wpajac najusilniej przekonanie, aby same matki nie uwalniały się od tak świętego obowiązku, którego się od nich Bóg i ojczyzna dopominają. Taż Komisya wystawiała ówczesne ochmi-

¹⁾ *Niewiasta polska w początkach naszego stulecia*, 1875, str. 155.

²⁾ *Listy Anonima*, część III, str. 189.

strzynie, jako kobiety bez edukacji, znane po większej części z obojętności w religii, z ograniczonej tylko znajomości świata, a często z gorszących nawet obyczajów, z pogardy własnego kraju i z zupełnego zaniedbywania podjętych obowiązków. A jednak, chociaż były tylu zdrożnościami obciążone, powodując się widokiem osobistego zysku, do swoich domów niewinną młodzież przyjmowały, ażeby wpojeniem w nią szkodliwych zasad pomnożyć liczbę nieszczęśliwych wychowania ofiar lub uiszczyć się jakkolwiek ze swojego obowiązku, kosztem niewiadomości rodziców, których zaufanie zdradzić, było tylko chwilowem ich sumienia zakłóceniem. Perswadowała dalej komisya rodzicom, że odsyłanie córek na pensye do stołecznego miasta niszczy dolę przyszłych obywaterek, wpływa na dalszy bieg ich życia, kiedy przyzwyczajone do cenięcia *blasku powierzchownego*, do chełpliwego popisywania się z talentami, do próżnych rozrywek, publicznych widowisk, do sądzenia o ludziach z pozoru i stroju, opanowane żądzą wyrównania w zbytkach i wystawności majątniejszym, a potem do skromnego życia we wsiach powołane, znajdują wkrótce w skażonej imaginacyi, i w zbałamuconem sercu źródło niesmaków, nudów i przykrości; tym sposobem wpadają w nieszczęście płochoego wyboru małżonków, a następnie złego w małżeństwie pożycia ¹⁾.

Rząd pruski nie wiele się zajmował wykształceniem wyższej warstwy kobiet naszych; lecz uwagę swoją zwrócił przeważnie na klasy pracujące, zakładając w miasteczkach i po wsiach, tak zwane *szkoły przemysłowe*, w których obok czytania, pisania, rachunków i wiadomości poczerpniętych z *Lesebuchu* (po polsku i po niemiecku), uczono robót i wprawiano do zajęć gospodarskich i rzemieślniczych. Rząd Księstwa Warszawskiego szkoły te utrzymał, a jako zatrudnienia dziewcząt w szkole przemysłowej łowickiej naznaczył następane: robienie skubanki, przedzenie wełny, bawełny, lnu, konopi i jedwabiu, robienie pończoch, szycie, robienie siatek i roboty krosienkowe. (Postanowienie Izby Edukacyjnej z 14 czerwca 1808 r.). Izba atoli Edukacyjna nie poprzestała na tém; lecz podejmując nieureczywistnioną z powodu upadku kraju myśl byłej Komisji Edukacyjnej, zajęła się gorąco reformą pensyi żeńskich, i w tym celu postanowiła 16 października 1808 r., wczwając w każdym mieście departamentowem, *znakomite i szanowne damy*, którym czuwanie i dozór nad pensyami i innemi różnego rodzaju dla płci żeńskiej przeznaczonemi szkołami powierzyła. Grono tych dam, przez częste zwiedzanie pensyi, miało zwracać baczenie oko na nauki tam dawane, na sposób utrzymywania dziewcząt, na ochędostwo, zdrowe pomieszkanie, zatrudnienia, na zdatność i rozsądek nauczycielek; postrzeżenia zaś swoje i uwagi, winno było przysyłać Najwyższej władzy nad edukacją przełożonej. Do tychże dam udawać się miały osoby pragnące dostać pozwolenie na założenie no-

¹⁾ Szczegóły powyższe z akt Komisji Edukacyjnej przytoczył Karol Milewski w dziełku: *Zarys wychowania publicznego płci żeńskiej w Polsce*, 1851 roku, str. 25—28.

wej pensyi, ażeby od nich uzyskać świadectwo obyczajów, mające być przesłanem do Izby Edukacyjnej.

Czyniąc zadosyć temu wezwaniu, *rada dozorcza* departamentu warszawskiego ułożyła regulamin pensyi i szkół płci żeńskiej, który Izba Edukacyjna w dniu 9 marca 1810 r. zatwierdziła i wszystkim pensjom i szkołom płci żeńskiej w Księstwie Warszawskiem zachowywać poleciła. Poraz to pierwszy kobiety występują czynnie w sprawach ustawodawczych; poraz pierwszy biorą na siebie ciężar odpowiedzialności publicznej, sprawują urząd dozorczyń wychowania, i podają publicznie drukiem swoje nazwiska jako urzędniczek. Sądzę zatem, że nazwiska na tym cichym manifeście zamieszczone, zasługują dzisiaj na przypomnienie. Wypisuję je porządkiem podpisów, zachowując ich właściwości: z Lubomirskich Potocka, Izabela Czartoryska, Marya z Czartoryskich księżna Wirtemberska, Maryanna Gutakowska, Tekla Łubieńska, Józefa Kicka, Izabela Husarzewska, Therese de Lafontaine, Louise Goudeit, B. Wolffowa, A. Diehlowa, S. Thys, Czarnecka, Rutkowska ¹⁾. To powołanie kobiet do publicznego, urzędowego stanowiska nadało sprawie wychowania niewieściego znaczenie niepospolite i obudziło energią w pewnej części ochmistrzyń, które pragnęły zasłużyć sobie na dobre imię w dziejach pedagogiki, a publicznego dozoru nietylko nie lękały się, lecz go nawet pragnęły. Jako piękną ilustracją tej dążności, przytoczyć możemy jedyny podobno u nas przykład jawności na pensyi żeńskiej prywatnej, dany przez Konstancją Skoraszewską w r. 1815, która na wzór programatów szkół wydziałowych wydała: *Popis panien znajdujących się w instytucie początkowej edukacji, w Warszawie przy ulicy Przyrynek publicznie okazany* (4 karty). Jestto wprawdzie drobnostka, nieszczególnie nawet zredagowana; świadczy ona jednak nietylko o chęci rozpowszechnienia wiadomości o szkole, ale także i o szczerych zamiarach ochmistrzyni, która w nader szczupłym działając zakresie, nie mogła nikogo olśnić, a przecież nie lękała się ze skromnym planem swęj pracy przed publicznością wystąpić i jęj krytyce się poddać.

Ogólne zasady regulaminu pensyi płci żeńskiej z 1810 r., głównejsze są: 1) żadna pensya ani szkoła nie może być razem pensyą lub szkołą *płci obojęj*; 2) żadna pensya nie może mieć więcej uczennic nad 15 a najwyżej 20; 3) metrowie i nauczyciele, dający lekcyce na pensyach i w szkołach, powinni mieć na to pozwolenie od Izby Edukacyjnej. Z przepisów dotyczących utrzymania i dozoru panien, zasługuje na uwagę zakaz prowadzenia wychowanek do ogrodów publicznych w czasie powszechnego spaceru, i pozwolenie wydawania w czasie zapust dwu balów dzieciennych, w których i płeć męzka mogła brać udział. Co do wychowania moralnego, zalecano prosty wykład artykułów wiary bez wdawania się w „obszerne ich wywody lub kontrowersye;” zastrzegano zachowywanie prawideł „doskonałej tolerancyi, zgodnej z du-

¹⁾ *Regulament pensyi i szkół płci żeńskiej* (1810 r., Warszawa) str. 31 i 4 karty nlb.

chem religii;“ zakazywano wszelkich zabobonów, powieści o strachach, wiary w prognostyki, wróżby, kabały, i t. p.; przepisywano „łagodność i cierpliwość jako najistotniejsze przymioty kobiety“. Co do nauk, to oprócz zwykłych przedmiotów i robót ręcznych, zamieszczono w planie klasy II „naukę utrzymywania rachunków, książek handlowych i kupieckich“; w klasie IV zaś naukę o fizycznem i moralnem wychowaniu dzieci. Prócz tego każda z pensyonarek powinna była wiedzieć cenę każdej rzeczy, którą posiada, powinna znać się na gatunku materyi, ilości łokci na suknię potrzebnej, na dokładności i cenie roboty; dalej miała jęj być wiadomą cena sprzętów stołowych, naczyń kuchennych i spiżarnianych; tudzież wiadomość o najwłaściwszej porze czasu do nabycia zapasów potrzebnych. Co się tyczy robót, szycia, wyszywania i rozmaitego gatunku haftów, robienia sukien i wszelkich *dla siebie* strojów, tych w każdym wieku wychowawice uczyć się miały, a doskonalość w pracach tego rodzaju szczególniej ceniona być miała. Na wprawę w zwykłe talenta nie kładziono wielkiego nacisku, a nawet co do muzyki i rysunków zalecono, ażeby guwernantki ostrzegały rodziców o bezpotrzebnem marnowaniu czasu, jeżeli spostrzegą, że wychowanki nie mają do nich zdolności. Nalegano natomiast, ażeby uczono się potrzebniejszych talentów, jako to: ogrodnictwa i budownictwa wiejskiego, „z wiadomością kształtnęj proporcyi, dobrego gustu i rozkładu wewnętrznego mieszkań ku wygodzie“ (str. 21).

Jak widzimy *nauki* niewieściej nie podniesiono wysoko, ale idąc w kierunku utylitarnym, filantropiistycznym, usiłowano wykształcić przynajmniej dobre gospodynie, nie zaś strojnisię i koncertantki. Zawierucha wojenna, która w dwa lata po wydaniu tych przepisów wybuchła, nie dozwoliła się rozwinąć pensyom żeńskim; a nawet z biegiem czasu zepchnęła je na to pogardzone stanowisko, jakie zajmowały w r. 1792, kiedy Komisya Edukacyjna przestrzegała przed niemi rodziców, jako przed przybytkami zepsucia. Istotnie Kajetan Koźmian, wyznaczony przez księcia Zajęzka na wizytatora pensyi żeńskich w Królestwie Polskiem w 1820 r., zdał bardzo smutny raport, nie tyle o niskim poziomie nauk, chociaż i ten zaznaczał; ile o najgorszych stosunkach obyczajowych w owych zakładach. „Żle dobrane towarzystwa, (pisał), publiczne przechadzki i widowiska wyprowadzają młode uczennice ze szczęśliwej w ich wieku niewiadomości fałszywych powabów świata i czynny umysł tęj młodzieży poddają roztargnieniom, jakie ze sposobami wpajania cuót i światła żadną miarą pogodzić się nie dadzą. Widoczniej jeszcze dąży do poparcia tęj nieudolności naukowej zwyczaj, pozwalający w Instytutach *zabaw karnawałowych w uczestnictwie pensyi męzkich*, dający przez to pochop do zawierania zgubnych dla niedojrzałej namiętności zazuajomień, błędnych związków i obudzenia wrażeń najszkodliwszych w wieku nieugruntowanego jeszcze serca i nieukształconego umysłu ¹⁾.

¹⁾ Słowa Koźmiana cytowane są z rękopismu przez K. Milewskiego, w wyżej przytoczonem dziełku na str. 42.

Taki stan pensyi żeńskich pobudził Komisją Oświecenia do nowych reform, które się od r. 1821 rozpoczęły; a jedną z najpierwszych był zakaz wprost przeciwny pozwoleniu z czasów Księstwa Warszawskiego: zakazano mianowicie na pensjach wszelkich zabaw mieszanych, to jest takich, do których płeć męzka wchodziła. Reformy te ulepszano rok rocznie; w 1825 r. otwarto instytut guwernantek ¹⁾; w 1828 r. „pensją wzorową.” Programy ich były również czysto utylitarne; robiono w nich nacisk na gruntowność, zalecano pobożność i praktyczne wychowanie.

W wychowaniu domowém odróżnić można trzy kategorie: wychowanie czysto polskie, napółfrancuzkie i przeważnie lub zupełnie francuzkie. Po staropolsku wychowywały się dziewczęta niezamożnej szlachty; uczyły się czytać, pisać i trochę rachować od matki lub bakałarza, religii od matki i księdza proboszcza; pomagały w domowym zarządzie, i nabywały sekretów kuchennych. Cokolwiek zamożniejsi ulegali ogólnej manii francuzczyzny, która u nas szczególnie po wybuchu rewolucyi francuzkiej, w skutek napływających do kraju emigrantów zaczęła grasować, jak zaraza. Niektórzy poprzestawali na studyowaniu języka literatury i manier francuzkich; inni posuwali się do pogardzania ojczystą mową, ubiorem, zwyczajami a nawet obyczajami. Wśród takiego usposobienia nie myślano oczywiście o prawdziwej nauce języka ojczystego, uważając, że dostatecznej nabędzie się w nim wprawy, gdy się go użyje w niezbędnej niekiedy z „pospółstwem” rozmowie. Książek polskich nie czytywały nie tylko te, które wychowywały się wyłącznie po francuzku, i które języka ojczystego albo nie znały albo się wstydziły, ale te nawet, co prawdziwemi Polkami pod względem sposobu myślenia być nie przestały. Literatura francuzka, teatr francuzki, gry francuzkie przenoszono w tak zwanym wyższym świecie lub mającym przynajmniej do niego pretensyą, nad literaturę, teatr i gry ojczyste. Chęć błyszczenia, utrzymywania „salonu,” kokietowania, po r. 1796 nie ustawała, ale, co więcej wzmagala się jeszcze tak, że czasy pruskie znane nam są jako chwile szalonych zabaw, głośnych skandalów, częstych rozwodów. Młodziutki panienki zamiast siedzieć nad książką i kajetem lub trudnić się zarządem domowym, wprowadzone w świat, dopóty tańczyły, dopóki męża nie wytańczyły, ażeby później daleko swobodniejsze prowadzić życie na ustawicznych redutach i kasynach.

Za czasów Księstwa Warszawskiego i Królestwa, zaraza francuzczyzny grasowała ciągle; świetność tylko balów zmniejszyła się z powodu ruiny majątkowej, spowodowanej z jednej strony zbyt kowem życiem czasów pruskich, a z drugiej ofiarami, których położenie ówczesne kraju wymagało. Powoli, bardzo powoli, głosy wołające o powrót

¹⁾ Pierwszą myśl takiego zakładu podała kasztelanowa Nakwaska w Pamiętniku Warszawskim z r. 1820, I, 242.

do swojszczyzny, zaczynały zyskiwać łaskawe ucho u znarowionej publiczności.

Za podręczniki wychowawcze w wychowaniu domowém klas napół zfrancuziały służyły dzieła literatury francuzkiej, a szczególnie romanse. Dla tych, co się jeszcze nie obeznali dokładnie z francuzczyzną, przekładano te dzieła na język polski lub dawniejsze przekłady przedrukowywano. Do autorek, których dzieła pedagogiczne najbardziej zalecano młodym osobom, należały na początku naszego wieku Marya Joanna le Prince de Beaumont i Stefania Felicyna de Genlis. Marya de Beaumont (urodzona 1711 r., zmarła 1780 r.) wydała cały kurs wychowawczy dla panien, napisała kilka romansów i była bardzo długo, bo jeszcze w roku 1830 wielce cenioną we Francyi. Pisma jój odznaczają się czystością zasad, prostotą i siłą rozumowania, umiejętnością zastosowania się do umysłów dziecinnych; lecz styl w nich niepoprawny, wykład rozwlekły, a treść naukowa bardzo niedostateczna. Najczęstszy użytek wychowawczy robiono z dwu jój dzieł: 1) *Magasin des enfans ou dialogues entre une gouvernante et ses élèves* (Londyn, 1757) i 2) *Magasin des adolescentes* (Londyn, 1760). Oba te dzieła przełożył jeszcze w XVIII wieku ks. Eustachy Dębicki Pijar. Znalazły one takie powodzenie, że trzykrotnie były przedrukowane, a ostatni raz w Warszawie, w naszym już stuleciu ¹⁾. Są to rozmowy prowadzone bardzo niesystematycznie ze wstępiami przygodnymi, a treścią złożoną z urywków historyi biblijnej, historyi powszechnej, geografii, moralności, a czasami i filozofii. Tłómaczenie polskie tchnie staroświeczczyzną; ciągłe powtarzanie *Wc. Pani, Mcia Pani*, jest tak nieestetyczne i nużące, że dziełka owe, pomimo niektórych zalet wewnętrznych nie mogły już liczyć na długi szereg lat powodzenia. Używano ich jednak, bo nie było tak bardzo w czém wybierać.

Stefania de Genlis (ur. 1745, zm. 1830 r.) stała się o wiele sławniejszą od swojej poprzedniczki tak, że nazwiska jój przynajmniej nie potrzeba dzisiaj u nas nawet ludziom średnioukształconym przypominać. Znany ją głównie jako autorkę ekliwych romansów, w których zwycięstwo cnoty stałe i niezmiennie przechodzi przez bardzo nieraz drastyczne, pod względem moralnym, a lekko tylko osłonięte, próby. Była ona jednak i wpływową w swoim czasie mistrzynią pedagogiki; jój czterotomowy romans pedagogiczny p. n. *Adela i Teodor* czyli *Listy o edukacyi*, zarówno po francuzku, jak i w przekładzie polskim Karoliny Czerwińskiej (wydanie drugie w r. 1806 w Krakowie) rozpowszechniał zasady filantropinizmu i zarazem zaznajamiał z życiem wielkie-

¹⁾ Tytuły: 1) *Magazyn dziecinny, czyli Rozmowy między mądrą ochmistrzynią i zacnemi damami, jój ćwiczeniu poruczonemi*, 4 tomy, Warsz. 1804; 2) *Magazyn paniński, czyli rozmowy i t. d.*, 4 tomy Warsz. 1806. Ten magazyn, jak niemniej dzieło Maryi de Beaumont p. n. *Education complete à l'usage de la famille royale*, jeszcze w r. 1821 były u nas polecone przez Komisję Oświecenia bibliotekom przy pensjach żeńskich.

go świata francuzkiego; a jej *Wieczory zamkowe* były bardzo długo jedyną z najczęściej używanych książek rozrywkowych dla dzieci. Pomysły wychowawcze Stefanii de Genlis, jako zręczna bardzo kombinacya zasad Fenelona, Locke'go, Roussa i Basedowa, zawierają nader wiele zalet; atoli i wady ich są znaczne, a najgłówniejszą jest ta, że są stosowane do użytku bogaczy tylko. W *Adeli i Teodorze* ciągle mowa jedynie o hrabiach, baronach, książętach; wydatki na przyrządy pedagogiczne wynoszą sumy, które dla bogatych są niczem, a dla biednych całym majątkiem. Ażeby dać pojęcie, do jakiego stopnia szafowanie kieszenią wychowawców posuwa de Genlis, przytoczę jeden tylko szczegół. Dla nauki chronologii i historii rzymskiej, przeznaczono osobny pokój, mający obicie malowane pokostowemi farbami na płótnie rozbitem na blejtramach. Na niem znajdowało się kilkadziesiąt malowanych medalionów, przedstawiających królów, cesarzy, kobiety i wypadki z dziejów rzymskich. Autorka w przypisku dodaje: „To obicie tak, jak jest opisane, dobrze i dokładnie malowane, po większej części z wzoru medalionów starożytnych, *dziewięćset tylko* franków kosztowało ¹⁾.” Zapewne, dla baronowy d'Almane dziewięćset franków, użytych dla możności nauczenia się historii rzymskiej, były bagatelą, ale dla szlachcica polskiego, który to czytał, musiało się wydawać wymysłem zamorskim, który dyable drogo kosztował.

Prócz tych dwu nader u nas wpływowych kobiet-auterek, wymienić także należy niemkę Wilhelminę Karolinę von Rebeur (ur. 1769, zm. 1807 r.), której dzieło: *Elisa oder das Weib, wie es sein sollte, allen deutschen Mädchen und Weibern gewidmet* wywarło w Niemczech nadzwyczajne wrażenie, przełożone zostało na angielski i francuzki, a z francuzkiego na polski p. n. *Eliza czyli Wzór kobiet* (1802 i 1806, w 3-ch tomach). Jestto również romans z celem pedagogicznym, jak dzieło Stefanii de Genlis, ale treści wychowawczej mniej w nim, aniżeli w *Adeli i Teodorze*; w ustępach atoli, poświęconych wykazaniu powołania kobiet, gorąco autorka przemawia za podniesieniem skali wykształcenia niewieściego, w tym mianowicie celu, ażeby przyszłe matki mogły dobrze wychowywać dzieci. Zresztą podziela autorka rozpow szechnione wówczas zapatrywania filantropinizmu, zarówno na cel, jak i na środki wychowania. Ze szczegółów podnieść należy nacisk, jaki położyła na swobodę wyboru męża przez córkę. Eliza wprawdzie sama poddała się bez szemrania despotycznemu rozporządzeniu swjej matki i tylko nadzwyczajnemu hartowi swjej duszy winna była względne szczęście, w pożyciu z człowiekiem nie swego wyboru: ale córce swojej nie chce narzucać męża. „Rodzice, mówi do niej, mają tylko prawo, przedstawiać swym dzieciom, co im zdaje się być dogodniejszego i podać im sposoby, aby były szczęśliwemi; do dzieci zaś należy wybór ich czynić. Tu rodziców władza ustaje, tu nieodzowne *prawa człowieka* następują; tu wolno jest każdemu przedsięwziąć takie środki do uszczę-

¹⁾ Adele y Teodor (sic) 1806, I, 53—55.

śliwienia, któreby mu się zdawały być najmocniej zgadzające się z jego uczuciami i wyobrażeniami i nadać im pierwszeństwo ¹⁾.”

Literaturę rozrywkową dla dzieci stanowiły, prócz wspomnianych już *Wieczorów zamkowych* Stefanii de Genlis, bardzo odpowiednie na swój czas i dobrze do usposobień dziecięcych zastosowane, powiastki Arnolda Berquin (1749 † 1791), który naśladowując sławnego w Niemczech Weisse'go, z wielką miłością dla światka dziecinnego pracował. Pisma jego wychodziły u nas po francuzku (Wilno, 1802) i były tłómaczone na polski. Szczególniej *Przyjaciel Dzieci* był chciwie przez nie czytany.

Jak z Elizą, tak téż i z *Robinsonem* Campego (1746—1818 r.) zaznajomiliśmy się za pośrednictwem literatury francuzkiej. Od r. 1806 książka ta ileż liczy już czytelników! Campe był najbardziej wpływowym pisarzem filantropijnym; onto w połączeniu z kilku innymi autorami, utworzył całą bibliotekę pedagogiczną, zarówno dla wychowawców, jak i dla wychowanców; jego przeróbka Robinsona Defoe'go, wyparła w Niemczech protestanckich, zwykłą lekturę bibliijną, a u nas stała się wśród ubóstwa literatury dziecięcej, jednym z najważniejszych środków zajęcia i zainteresowania dzieci do czytania. Po *Robinsonie* przełożono u nas (już z oryginału) *Bibliotekę dziecinną i młodziańską* Campego, jak niemniej zbiór podróży dla młodzieży i inne jego utwory lub wydawnictwa.

Jeżeli do dziełek powyższych doliczymy jeszcze zbiorki historii naturalnej *Nowy Buffon dla młodzieży* i kilkunastotomikową *Geografią historyczną*, które, chociaż nie przeznaczone wyłącznie dla płci niewieściej, mogły być przecież przez nią czytane z pożytkiem, będziemy mieli spis prawie zupełny pism lżejszych, przeznaczonych dla dziecięcego i młodzieńczego wieku dziewcząt naszych. Były to, jak widzimy, same przekłady, nader różnej, niekiedy bardzo małej wartości, mianowicie pod względem języka; liczba ich nie mogła zaspokoić szerszych wymagań, zrodzonych przez rozpowszechnioną oświatę. Że były przekładami, to nietyle wówczas raziło, gdyż pisarze ówcześni nie wystawiali charakterów indywidualnych, zwyczajów narodowych, ale starali się odmalować człowieka *w ogóle*, jak go pojmowali, t. j. jak w wyliczonych tu dziełach, z punktu widzenia filantropinizmu. Z utworów oryginalnych dla zabawy wieku młodego, niemożemy wymienić tu nic innego, prócz 6-ciu powiastek Anny z Radziwiłłów Mostowskiej, które wyszły w zbioruku zatytułowanym: *Moje rozrywki* (Wilno, 1806). Powiastki te miały na celu wykorzenieć z umysłu młodzieży zabobony, przesady i strachy, a wykonane były stylem owocnym, pełnym deklamacyi sentymentalnej, przerywanej potokami łez.

Jak książek rozrywkowych, tak téż i podręczników niektórych dla dziewcząt niedostatek uczuwać się dawał. Nie będę tu wyliczał

¹⁾ *Eliza czyli Wzór kobiet*, II, 202, 203. Podobne myśli czytać już można było u nas w r. 1778 w *Panu Podstolin* (Część I, księga III, roz. 10).

braków, lecz najlepiej podobno scharakteryzują ówczesny stan literatury pedagogicznej, gdy wspomnę, że *Regulament pensyi i szkół* w Księstwie Warszawskim z r. 1810, wyliczając książki, mające służyć za podręczniki szkolne, nieraz odsyła nauczycielki i ochmistrzyni do przyszłości, kiedy to lub owo dzieło będzie wydane lub przedrukowane; a w końcu daje tę sumaryczną radę: „Mogą być równie używane dzieła dla dzieci *w obcych językach*, znane i zdaniem powszechném potwierdzone (str. 29).” Cóż może być smutniejszego nad to przyznanie się władzy wychowawczej do własnej bezsilności?

II.

Wśród takiego stanu literatury pedagogicznej u nas, pojawiła się w r. 1819 *Pamiętka po dobrej matce*, przez młodą Polkę i zyskała powodzenie nadzwyczajne, t. j. takie, jakie wówczas miały *Spiewy historyczne* Niemcewicza, *Malwina* księżnej Wirtemberskiej i *Pielgrzym w Dobromitu* Izabelli Czartoryskiej. Świadectwem tego powodzenia jest fakt, że, w przeciągu dwu lat, *Pamiętka* doczekała się trzech wydań; że wszystkie pisma peryodyczne ówczesne z uwielbieniem o niej mówiły; że Jan Sowiński, pisząc w r. 1821 *O uczonych Polkach* pomieścił tu autorkę *Pamiętki* z najzaszczytniejszą wzmianką, porównywając ją z autorkami *Malwiny* i *Pielgrzyma*; że nakoniec Komisyja Oświecenia w tymże roku pomieściła jęj dziełko w liczbie tych, które powinny się znajdować w bibliotekach przy pensjach i szkołach żeńskich ¹⁾. Jakie były przyczyny tego powodzenia, łatwo zrozumieć. Rzecz była napisana przez młodą Polkę, a właśnie uwaga ówczesnej publiczności zwróciła się na talenta kobiece, piszące po polsku, na talenta reprezentowane przez osoby z najwyższej sfery towarzyskiej, z domu Czartoryskich. Dawniejsze prace naszych kobiet, prócz jednej Drużbackiej, będąc albo prostém tłómaczeniem, albo słabém naśladownictwem, nie wzbudzały żadnego zajęcia; czytało się je i zapominało. Ale kiedy *Malwina* wyszła, dziwiono się naprzód temu, że księżna pisze i do tego pisze po polsku, a potem rozczytując się w jęj utworze, znaleziono wiele naturalności, wiele prawdy i wiele piękna: zachwycano się nim i czytano z wielkiem zajęciem. Gdy wkrótce potem wyszedł *Pielgrzym* z ręki także księżnej, uznano ogromną jego użyteczność dla oświecenia nietylko ludu, ale całego w ogóle narodu, który miał wprawdzie dzieła uczone lub szkolne, mówiące o jego dziejach, ale popularnego, przystępnego dla wszystkich ich wykładu nie posiadał dotychczas, co więcęj, historii polskiej uczył się od Francuzów, od Hautepierre'a i Piotra Nougaret, tłómacząc nawet sobie dziełko tego drugiego: *Piękności historii polskiej*

¹⁾ *Urządzenie pensyi i szkół dla młodzieży płci żeńskiej*. Warszawa. 1821, str. 41.

(1816). W rok po *Pielgrzymie* ukazuje się *Pamiętka*. Niepodobna, ażeby choć część uwielbienia, jakie miano dla dwu znakomitych Polek, które dostarczyły tak pięknego pokarmu duchowego, nie przeniosła się na „młodą Polkę.” Powtóre „młoda Polka“ powstała silnie przeciw „zarazie“ cudzoziemskiego to jest francuzkiego wychowania i tém chwyciła za serce wszystkich patryotów, którzy już od lat kilku w królestwie kongresowém wszelkimi sposobami starali się wytepić manią powierzania dzieci, a mianowicie córek guwernantkom francuzkim. Używali w tym celu broni szyderstwa, ironii, wymowy, poezyi i rozumowania. Serca do przyjęcia „młodej Polki“ były już nieco przygotowane.

Potrzenie *Młoda Polka*, chociaż młoda, wypowiadała takie zasady i przekonania, które większość ukształconego jakotako narodu przyjąć mogła za swoje, gdyż albo je wyznawała oddawna świadomie lub nieświadomie, albo téż do nich dostatecznie była przygotowaną. *Młoda Polka* rozumiała bardzo dobrze najbardziej bijące w oczy różnice między dawnym staropolskim a nowym, napół lub zupełnie cudzoziemskim wychowaniem; a wiedząc, że niepodobna wrócić narodowi do form dawnych, zajęła pośrednie stanowisko między dwoma naówczas walczącemi na polu praktycznym obozami wychowawczemi i potrafiła przeprowadzić konieczne, wymaganiami czasu nakazane ulepszenia wychowawcze, nie rażąc jednocześnie tych, co w najlepszość dawnego systemu pedagogicznego mocno jeszcze wierzyli. Zajęcie tego pośredniego stanowiska nie było jednakże jakąś rachubą strategiczną wywołane; lecz wynikało bezpośrednio z rodzaju wychowania i wykształcenia, które sama właśnie *Młoda Polka* odebrała.

Młodą Polką była panna Klementyna Tańska, mająca w chwili druku *Pamiętki* lat 21. Córka zanego obywatela i autora w dodatku, który ją dzieckiem odumarł, wychowywała się przez lat dziesięć w domu bardzo pobożnym, skromnym, patryotycznym, lubiącem pracę i gospodarność; ale obok tych zalet dom ten dzielił przekonania, ówczesnie bardzo rozpowszechnione, co do potrzeby francuzczyzny w wychowaniu. W połowie tego domu—jak się wyraża autorka *Pamiętki*—trzymała się jeszcze stara, prosta, poczciwa polszczyzna; a w drugiej połowie szerokie wrota otwarte były obczyźnie; i cudzoziemka wypierała silnie prawą dziedziczkę. Sama pani Izdebińska (Szymanowska) czysto i niemal zawsze mówiła po polsku, lecz jój córki uczyły się czterech zagranicznych języków; mówiły, pisały, korespondowały, modliły się po francuzku wraz z dwiema przyjaciółkami mieszkającemi w blizkiem sąsiedztwie. Raz w ogrodzie w lipowej ulicy, którą *berceau de l'amitié* przezwały, przysięgły uroczyście nie iść za mąż za takich, coby nieumieli dobrze po francuzku; a tak one jak ich matka czytały niezmiernie wiele, *lecz nigdy po polsku*. Młoda Klementyna dzieliła naturalnie ten tryb wychowania; wiemy z jój zaręczenia, że przez całe *dziesięć lat* nie miała w ręku więcej jak dwie lub trzy książki polskie poważnej treści, z których mało co zrozumiiała; że jedynym wyższém ćwiczeniem

w języku ojczystym było ciche tłumaczenie na polskie modlitw zawartych w *La journée du chrétien* dla skrócenia chwil zbyt długich, jakie nieraz przesiadywać musiała w kościele. Odebrała tedy Klementyna wykształcenie wyłącznie francuzkie; czytała bardzo wiele zarówno ksiąg religijnych jak historycznych, a przedewszystkiem mnóstwo romansów. Czytała dzieła Sturma, Rollina, Millota, Chateaubrianda, Delilla, romanse de Genlis, Cottin, Montolieu, Riccoboni, Souza, Radcliffe, Reginy Roche, Lafontaine'a: zgoła wszystkie, jakie tylko były i wychodziły naówczas. A nie tylko czytanie ale i nauka szła po francuzku. Wybornym jest ustęp, w którym Hofmanowa opowiada, jak Dorota Szymanowska, późniejsza pani Galiché, z największą pracą tłumaczyła dla niej Naruszewicza na język francuzki i dopiero w tym obcym kroju uczyła jęj historii polskiej... Dziennik i wyciągi z dzieł czytanych prowadziła oczywiście Klementyna także po francuzku.

Czytanie romansów ówczesnych szybkie, bez należytego wyboru, napełniło wyobraźnię Klementyny postaciami wymarzonemi, sielankowemi i egzaltowanemi; roztkliwiło serce nie dla nieszczęśliwych istotnych, ale dla książkowych tylko, wyrobiło nie uczucie głębokie, prawdziwe, ale chorobliwą czułośćkowość, sentymentalność; nie rozjaśniło, nie rozszerzyło umysłu, ale go oderwało od przedmiotów rzeczywistych i co najwięcej, modnemi komunałami sentymentalnych utworów przyzdobiło.

To była jedna strona wychowania Klementyny. Kiedy kończyła rok czternasty, dostała się ona napowrót do matki, do siostr, do rodziny. Matka jęj, żyjąc ciągle na wielkim świecie, umiała naturalnie po francuzku; ale jako wychowana w staropolskim domu, jako żona dobrego obywatela i pisarza Ignacego Tańskiego, mówiła i pisała chętnie po polsku; prócz tego mieszkała wraz z nią siedmziesięcioletnia jęj matka, Prowidencya Czempińska, która pamiętała wybornie Augusta III-go, a która francuzkiego wcale nie rozumiała. Nadto była w domu siostra Klementyny młodsza od niej o sześć lat, którą trzeba było uczyć religii i historii. Młoda nauczycielka używała do nauk dzieł francuzkich; ale musiała wykładać siostrze po polsku, gdyż inaczejby nie rozumiała. W końcu towarzystwo przyjaciół matki, Woronicza i Wyszokowskiego, nie mówiących nigdy po francuzku, pobudziło Klementynę do czytania dzieł polskich i wprawiania się w pisanie po polsku. *Zal za polskim językiem* Kazimierza Brodzińskiego z 1818 roku dokonał reszty.

Nie tylko jednak pod względem historycznym, ale też i co do przekonań, dom matki ważne sprowadził odmiany. Oto są własne słowa Klementyny, przedstawiające wpływ matki na jęj umysł: „ona mię nauczyła słowami, obejściem, przykładem, całą sobą, że można być pobożną a razem wesołą, przyjemną, podbijającą; bo nie samo wieczne ale i ziemskie szczęście jest w cnocie, i nie odpowiadamy za nikogo tylko za siebie; ona mię przekonała, że staranność koło powierzchowności naszej jest obowiązkiem, bo od Boga mamy duszę i ciało; że mo-

zna lubić i uprawiać nauki, ale będąc kobietą, nie trzeba kłaść ich nigdy na pierwszym miejscu, ani nie móżd wyżyć dnia jednego bez książki, a nareszcie ona mi zaręczyła, że *wszystkie romanse to istne bajki*, któremi wolno niekiedy się bawić; ale wierzyć im w czémkolwiek, broń Boże! Nie zapomnę nigdy, jak odczytywałyśmy razem niektóre, i jak jasno wykazywała ich przesadę i niedorzeczności. Trafiła się też często, w miejscach, gdzie pierwiej rzewnie płakała, wtedy, zwłaszcza przy wesołości i dowcipie starszej siostry, boki zrywałam od śmiechu¹⁾.

Tymto sposobem wpływ francuzczyzny został zrównoważony wpływem otoczenia polskiego; nienaturalna sentymentalność przemieniła się w uczuciowość, miarkowaną rozsądkiem; świat romansowy usunął się na plan drugi a może i dalszy, ustępując pierwszego miejsca praktycznej ocenie potrzeb i wymagań życia rzeczywistego; wymarzeni bohaterowie i bohaterki zstąpili ze swych piedestałów pod działaniem trzeźwego, utylitarneho poglądu. Niepodobna jednako mniemać, ażeby nastąpiła zupełna zmiana w umyśle Klementyny na korzyść staropolskiego wychowania. Naprzód i otoczenie rodzinne, z wyjątkiem siedmiodziesięcioletniej babki należało już do młodszego pokolenia, wykształconego pod wpływem francuzkim; a powtóre dziesięć lat wrażeń najwcześniejszych nie mogło zniknąć bez śladu, choćby po *siedmiu* latach wpływów wprost przeciwnych. Dlatego to autorka *Pamiętki* nie popierała bynajmniej wstecznicstwa; lecz owszem wymagania postępowe na swój czas umiała w takiej wystawić formie, że nie wywołały protestu ze strony starszego pokolenia. Przebija się to w bardzo wielu miejscach *Pamiętki*, która się przecież nawet sędziwój kasztelanowej Połanieckiej (Lanckorońskiej), mocno podobała.

Stosunek rodziców do dzieci w skutek nowych dążności zmienił się już znacznie od czasów staropolskich. Dawniej surowość tak względem syna jak córki rządziła rodzinami a mianowicie ojcem; bezwzględne posłuszeństwa domagano się od dzieci, jako prawa nieulegającego najmniejszemu zaprzeczeniu. Za czasów Tańskiej przeciwnie, w tak zwanych wykształconych sferach, przejętych duchem zasad Roussa i filantropów, nastąpił między rodzicami a dziećmi stosunek przyjaźni czulej i poświęcającej się, która się niekiedy w zupełną poufałość przemieniała. Tańska łącząc oba te poglądy, zgodnie z katechizmem, wymaga od córki dorastającej miłości dla rodziców i wystawia jej, że idąc za ich *radami*, zawsze największy pożytek i najrzetelniejsze szczęście pozyska. Mówi więc autorka z naciskiem o *radach*, nie zaś o bezw warunkowym posłuszeństwie; ale zaraz zastrzega, żeby nie iść „za przy-

¹⁾ Wszystkie szczegóły o wychowaniu naszej autorki, wyjęte są z jej listu pisanego 13 marca 1843 r. do K. Lewockiej. List ten znajduje czytelnicy (tylko z mylną datą) w VI tomie Dzieł Hofmanowej, wydania Zmichowskiej, od str. 442 — 460.

kładem terazniejszej mody i nie być nigdy nadto poufałą z ojcem," każe owszem naśladować „dawne córki” w tej mierze. „Przywiązanie twoje dla ojca może być żywe, ufność szczerą i zupełną, a dlatego uniknąć możesz tej poufałości, tak rażącej w młodych osobach i tak przeciwniej uszanowaniu, jakie każdy człowiek dawcy życia swego jest winien.” Później w *Listach o wychowaniu* Tańska sformułowała napomknięą tu różnicę między dawniejszém a nowszém wychowaniem, mówiąc, że „podobno już świat nie ujrzy nigdy naglejszej i zupełniejszej we wszystkim zmiany, jak ta, co przez ostatnie trzydzieści lat nastąpiła.” Wspomina następnie o dawném posłuszeństwie i bojaźni, o zemdleńiu córki, gdy ją ojciec w twarz pocałował, o małym staraniu, jakie miano o edukacji córek; i przeciwstawi temu ówczesne zajęcie się matek córkami, z których oka nie spuszczają, tudzież poufałość największą, jaka między dziećmi i rodzicami istnieje. I tu przecież autorka nie mówi stanowczo, który tryb wychowania jest lepszy, ale z całego ciągu rzeczy wynika, że drugi nad pierwszy przenosi.

Podobne umiarkowanie zachowała Tańska w określeniu „przeznaczenia” kobiety. Jakkolwiek bardzo słabo i bardzo sporadycznie, podnosiły się przecież już wówczas głosy, żądające dla kobiet większych praw, niż je miały dotychczas. Przykład pani Staël, podróżującej bez niczyjej opieki po wszystkich stolicach Europy, toczącej spór z wielkim Napoleonem, piszącej dzieła uczone, dotyczące się rządu; przykład lady Stanhope, błąkającej się swobodnie po pustyniach Arabii i t. p., działały na umysły kobiece, nowym prądem oświaty podbudzone do śmielszego występowania na arenie publicznej. Czy i u nas były takie porwy, trudno powiedzieć na pewno. Czy tak zwane naówczas „damy sentymentalne” miały jakieś inne wymagania prócz kosztownych zachceń budowania altanek przyjaźni, świątyni miłości; strojenia się niby po pastersku a w gruncie lubieżnie; prócz omdleń, spazmów, flakoników i zmoczonych łzami chusteczek;—nie a nic nie wiemy. Czy obok tych dam istniały inne, które czczość życia salonowego poczuwając, pragnęły zająć drobne chwile nauką poważniejszą; o tém możemy coś szczegółowszego powiedzieć, nie tyle jednak, ażeby można było mieć jasny pogląd na ówczesne stosunki „emancypacji kobiecój.” Naprzód za dowód szerszych wymagań kobiety służyć nam może oburzenie, na nie przez Tańską wyrażone. „Znieść nie mogę, powiada, kiedy się głos jaki nierozsądny odezwie i twierdzi: że źle, iż kobiety są w tak szczupłym podług niego zamknięte obrebie. Jego zdaniem *równe mężczyznom powinny posiadać nauki, do rządu należeć*, ledwie że nie pierwsze piastować urzędy i chyba nie być kobietami.” Może to jest powtórzeniem tylko spostrzeżenia Jakóba Glatza, którego dziełko posłużyło za podstawę do ułożenia *Pamiętki*;—nie mogłem, na nieszczęście sprawdzić tego szczegółu, z powodu niemożności dostania oryginału; ale gdyby nawet tak było, to Tańska, która w tylu miejscach pokazała, że wyłącznie dla Polek pisze, nie byłaby pomieściła zdania, któreby

choć cichym odgłosem wśród niewiast polskich się nie odbiło. Ale prócz tego mamy jeszcze inne świadectwo, wprost już przemawiające za jedném przynajmniej z wymienionych wymagań, za potrzebą *wyższej nauki dla kobiet*. W *Pamiętniku Warszawskim* na rok 1822, jest artykuł pani Ł... p. n.: *Mysł o wychowaniu kobiet*, w którym autorka z porywającą wymową i niepospolitą werwą stara się wykazać, że kobiety są zdolne do nabycia nauk wyższych (fizyki, chemii, matematyki i t. p.) i że powinny się ich uczyć. I ona wprawdzie nie utrzymuje, żeby było *konieczną potrzebą dla każdej niewiasty* wszystkie rzeczy w tymże samym stopniu doskonałości posiadać, do jakiego mężczyzna dążyć powinien i przyznaje, że mężatki z powodu ważniejszych zatrudnień, nie mogą się wydoskonalać w naukach, które długiego czasu wymagają; ale zwraca uwagę na znaczną liczbę kobiet niezamożnych, któreby większe szczęście osiągnęły, gdyby się jakiej nauce oddały, „niż skrapiając codziennie łzami zimne stopnie głuchych ołtarzy dla nich, nie już za nimi nie spostrzegając jak otwarty dla siebie grobowiec.” „Ileż z pomiędzy nich, woła autorka, dla którychby obojętne, smutne, a może i obmierzłe dni stały się rozkoszą; gdyby im tylko wskazano jakiś cel życia; gdyby im powiedziano, gdyby uznano, że nie będąc żonami lub matkami, mogą być jeszcze nie daremnym ciężarem na ziemi. Czemuż stając się *biegłymi w prawach krajowych*, nie mogłyby przeciw niesprawiedliwości i gwałtowi powstawać, niewinnego bronić, wspierać nieszczęśliwego? Wszakże mocne uczucia oddawna uznane za właściwe tkliwym kobiet sercom; wszakże za niemi idzie piękna wymowa, ta moc przekonania!...”¹⁾ Nierówności pod względem talentu nie chce przyznać autorka; a jeżeli istotnie córki niedorównywają synom, a żony mężom, wina to wychowania. „Może ta, powiada, co w ten moment ziarno drobiu sypie, idąc drogą Newtona, dalszeby w niej jeszcze wskazała nam światło, gdyby się nie była pod dachem biednej lepianki, pod jarzmem przesądu urodziła”²⁾.

Z tego wymownego, choć odosobnionego głosu, wnieść możemy, że były już wówczas zarody tego, co się później w dążeniu *emancypantek* naszych (w dobrém znaczeniu wyrazu) rozwinęło; ale umysły *ogółu* w tym kierunku zwrócić się jeszcze nie mogły. Co się tyczy wzmianki Tańskiej o żądaniu udziału w *rządzie*, może słowa te odnosiły się do takich np. odezw, jakąśmy dopiero co czytali o ćwiczeniu się w *prawach krajowych*, gdyż niepodobna przypuścić, ażeby autorka chciała niemi dotknąć te kobiety, co za czasów Księstwa Warszawskiego regulamin dla pensyi żeńskich ułożyły, gdyż pomiędzy niemi znajdowały się czczone przez Tańską obie księżne: Czartoryska i Wirtemberska.

Tyle można powiedzieć o ówczesnym dążeniu kobiet naszych do szerszej działalności. Z drugiej atoli strony, zwolennicy dawniej, cichiej,

1) *Pamiętnik Warszawski*, 1822, tom III, str. 355—356.

2) Tamże, str. 358.

domowej edukacji i pracy kobiecój zyskali po roku 1815 poklask wielu reakcyonistów, którzy rozpowszechnione rozluźnienie i zepsucie obyczajów przypisywali jedynie większej niż poprzednio swobodzie kobiet. W tym samym właśnie roku co i *Pamiętka* pojawiła się w Warszawie dziwna książeczka, jakoby przez mandaryna chińskiego napisana, a będąca wyrazem reakcyjnych na kwestyą kobiecą poglądów ¹⁾. Autor, bezwątpienia Francuz, dowodzi tu w sposób raczej gwałtowny niż przekonywający, że, ponieważ kobieta, pozbawiona prawie rozwagi, kieruje się tylko czczym i nieoznaczonym instynktem uczucia, nie może więc wyrobić w sobie charakteru; że zatem przyznanie jej swobody jest otwarciem upustu wszelakiej przewrotności, zbytkom, rozpuście i zgorzeniu. Stara się następnie wykazać, że kobiety nie tylko nie dokonały, coby jaki pożytek lub sławę rodzajowi ludzkiemu przyniosło; lecz nadto najzłubniej wpływają na literaturę i sztuki, wnosząc w nie pierwiastek rozkładu moralnego. Potem kreśli przerażający obraz zgangrenowania moralnego społeczeństw europejskich i przepowiada Europie upadek, jeżeli się nie odejmie kobietom swobody i nie zamknie się ich tak jak w Chinach. Książka ta prócz przesady i paradoksów, zawierała wiele spostrzeżeń trafnych i rad zdrowych; np. projekt uczenia kobiet *rzemioł*, ażeby niemi mogły się zajmować w osamotnieniu; lecz dążenie ogólne było krańcowo-reakcyjne, co sprawiło, że w następnym roku wyszła broszura zbijająca dosyć szczegółowo zarzuty kobietom robione. Lecz autor téj odpowiedzi (napisanéj oryginalnie po polsku, choć tytuł tak samo jest mistyfikacją jak i w książce, która ją wywołała) przypomniawszy, że były niegdyś szczególniej we Włoszech bardzo uczone kobiety, napada na mandaryna głównie jako na ukrytego niedowiarka, i rubasnym tonem twierdzenia jego wyśmiewa, nie starając się wnikać w jądro kwestyi. Zepsucie ogólne naturalnie przyznaje; ale przyczyny jego szuka w osłabieniu wiary, uważając kobiety za jedyne jeszcze istoty przechowujące pobożność ²⁾. Autor odpowiedzi jest bezwarunkowym chwalcą starodawnéj edukacji, kiedy to panna

¹⁾ *Rozprawa chińskiego mandaryna Chen-Uei o kobietach*. Z języka chińskiego na ruski, przez księcia Karykoff; z ruskiego na francuzki przez A. D.; z francuzkiego zaś na polski język przez J. M*** przetłumaczona. W Warszawie u Glücksberga. 1819. Str. 199. Dedykowana ministrowi oświecenia Stanisławowi Potockiemu.

²⁾ Książka ta ma napis: *Filozofka europejska przeciw chińskiemu mandarynowi, czyli odpowiedź na rozprawę mandaryna, ogłoszoną w ruskim i francuzkim języku o kobietach, dana pa włosku przez bonońską akademickę A. P., a przez hrabinę L. D. na polskie przełożona i przedrukowana.* Warszawa, 1820, str. 93. P. Estrejcher sądzi, że L. D. znaczy Dzeduszyc-ka; o ile jednak ze stylu i z argumentów wnosić wolno, jestto dzieło znanego żarliwca ks. Karola Surowieckiego.

„nie uczyła się tańców, nie czytała komedyalnych (sic) błazeństw, ani amorycznych romansów;” zgodnie więc z tą chwałbą, radzi dzisiejszym kobietom powrócić do owego trybu wychowania. „Niech prawdziwa bojaźń Boża z ewangeliczną karnością odzyskają spustoszone powietrzem bezbożniczego (sic) filozofizmu dawne swe panowanie; niech matki prócz teoretycznych lekcji (sic) moralności, przykładem własnej cnoty przyświecają swym córkom, niech przytém rządy i magistratury porzuciwszy noworodnej liberalności czyli libertynizmu zasady, przestaną uśmiechać się do wszeteczniczej (sic) kobiet *wyuzdanych* rozpusty, dopiero obaczy pan mandaryn, że nie trzeba płci naszej po bydłcu zamykać, aby zrobić cnotliwą” (str. 75, 76). Autor więc jak widzimy, w głównej dążności swjej odpowiedzi odrzuca chiński pomysł zamknięcia kobiet; w szczegółach zaś reformy jest również reakcjonistą, żądającym powrotu nie tylko do rzeczy słusznych, ale i do takich, które skutkiem wymagań nowych, stały się już niemożliwymi. Poprawa obyczajów była nieodzowną, to nieulegało zaprzeczeniu; ale kształcenie umysłu, choćby bez „komedyalnych” nawet błazeństw, obejść się już nie mogło, jeżeli oczywiście przez te pogardliwe błazeństwa rozumieliśmy zechcemy cały np. obszar dramatu i sztuki dramatycznej.

Tak też pojmowała rzecz tę Tańska. Wbrew bardzo słabo jeszcze odzywającym się dążeniom emancypacyjnym, uznała zasadniczą różnicę między przeznaczeniem mężczyzn a kobiet. Do pierwszych należy przelewanie krwi na placu boju, pisanie mądrych ustaw, pilnowanie ich wykonania, podbijanie krajów, wnoszenie i obrona ich, rządzenie nimi. „Czulszą i słabszą Bóg stworzył kobietę: łagodźć, miękczyc, uszczęśliwiać śmiałego towarzysza swego powinna. Dzikim i ponurym byłby świat, gdyby na nim sami byli mężczyźni; gnuśnym i nieczynnym, gdyby go same napełniały niewiasty! Ponieważ tedy przeznaczeniem płci słabiej jest „mięte na umysłach czynić wrażenie” i „sercami władać;” powinna więc kobieta „mieć ciągle uśmiech na ustach,” dbać o piękne ułożenie, *przyozdabiać* swą głowę talentami i naukami, zostawiając atoli zawsze pierwszeństwo „domowemu zatrudnieniu;” gdyż oprócz podobania się, kobieta winna się stać *użyteczną w życiu rodzinnem*. „Co w chłopcu jest zaletą, dumna i niepodległa dusza w dziewczęciu źródłem tylko nieszcześć stać się może.” Potrzeba się więc nauczyć kobiecie sztuki ulegania, posłuszeństwa, powolności i skromności. „Skromna tylko niewiasta bezkarnie *umiejętną* być może, i jeżeli wielu mężczyzn sprzeciwia się oświacie naszej, chroni od *uczonych kobiet*, najwięcej to przypisać należy, że rzadko która połączyć umie naukę ze skromnością.” Nie zgadza się wcale z powołaniem i *ułożeniem* kobiety, aby wiecznie siedziała nad książką lub bezustannie trudniła się talentami. Poczciwe prababki ledwie że czytać umiały. Dziś jednak smutno byłoby zejść kilka szczebli niżej i wrócić do szczęśliwej może, lecz już *niestosownej niewiadomości*.” Wszystkie nauki, talenta jakich udzielają kobietom, ten mają cel, aby je *przyjemniejszemi* uczynić. Kobiecie nie wypada czytać nigdy *bardzo wiele*; zbytek w tej

mierze jest naganny: obarcza umysł i szkodę zamiast korzyści przynosi. Niech mężczyźni naigrawają się z *opinii*, kobiety szanować je winny. „Czy więc w mieście, czy na wsi, czy na wielkim, czy na małym świecie żyć będziesz, *dbaj o zdanie ludzkie*; niech równie postęпки jak serce twoje będą czyste i nieskażone. Ludzie najwięcej z pozorów sądzą, i dziwić im się nie można, bo pozory najprędzej wpadają w oczy, a kiedy one raz źle o nas uprzedzą, trudniej jest zmienić nieprzychylnie drugich mniemanie, niżeli było dobre pozyskać.”

To wszystko były ustępstwa, częstokroć bezwiedne, na rzecz zardawnionych zwyczajów. Obok nich atoli znajdujemy zdania, które wynikły z dążności do ulepszeń w wychowaniu płci niewieściej. I tak: obok wpajania w umysły czytelniczek zasady, że jej stanowisko jest zależne od mężczyzny, wypowiedzi już „młoda Polka” przekonanie, że kobieta własną pracą utrzymać się może, i dla tego zaleca płci swojej roboty ręczne. „Nikt—powiada—na stan wysoki, na urodzenie, majątek, spuszczać się zupełnie nie może; a w niedostatku talenta i umiejętności *blake* kobiet, nie na wiele się przydadzą. Służyć się nie chce, kiedy kto rozkazywać przywykł. Z *pracy rąk* uczciwie utrzymać się można, a wszędzie, *szczególniej też u nas*, pokupniejsze hafty i szycia, jak niedoskonałe rysunki lub nuty.” Dziś to ostatnie spostrzeżenie straciło już zupełnie swą wartość w skutek zmian przemysłowo-ekonomicznych; dzisiaj drzeworytnictwo, fotografia i t. p. zatrudnienia są zyskowniejsze dla kobiet, niż haft i szycie; ale za czasów Tańskiej, kiedy dopiero co zaprowadzano w kraju litografią, którą oczywiście mężczyźni tylko trudnili się uwaga jej była słuszną, niezaprzeczenie, a przedstawiała się jako nowość postępową, témbardziej że autorka nie poprzestała na prostém jej wypowiedzeniu, lecz ją przykładem z życia poczerpniętym zaraz poparła ¹⁾. Wówczas, kiedy było zwyczajem raczej wisieć u klamki pańskiej, niż pracą uczciwą zarabiać na utrzymanie; raczej znosić najcięższe upokorzenia u bogatych krewnych, niż pójść w świat za robotą; myśl Tańskiej i przytoczony przez nią przykład dwu córek *szlacheckich*, które podupadwszy, nie wahały się pracą ręczną utrzymywać matki i siebie, były nowością, zyskującą poklask wszystkich, co cenić umieli godność ludzką i samoistność jednostek. W praktyce pojawiły się już pobobne przykłady pracy; ale w teorii, o ile wiem, pierwsza Tańska *u nas* je przedstawiła zgodnie zresztą z zasadami filantropinizmu pedagogicznego, które w skutek wskazanych na wstępie przyczyn były już, że tak powiem, w powietrzu naówczas.

Chociaż ganiła chęć niepodległości w dziewczęciu, ostrzegwała jednak przed zbyt dużą dobrocią i niewłaściwie zrozumianą skromnością. Kazała więc cenić siebie sprawiedliwie, ani zanadto, ani zamało, bo

¹⁾ Pamiątka, Część I, rozdz. V.

„kto siebie szanować nie umie, ten nigdy szanowanym nie będzie.“
 „Ile mnie się zdaje — mówi — każdy człowiek w głębi serca zna doskonale swoją wartość i im mniej z siebie kontent, im trudniej siebie ułudzić może, témby więcej zwieść chciał drugich; a im więcej w sobie widzi przymiotów, tém go mniej *zdanie ludzkie* obchodzi.“ Radzi więc Tańska pannie, żeby o każdej rzeczy, a szczególnie w okoliczności wielkiej wagi, zawsze miała „własne swoje zdanie;“ żeby go nie przyswajała sobie bez zastanowienia; ale gdy się o jego prawdzie raz przekona, żeby nie odmieniała go już nigdy, wyjawiała je śmiało i bez obawy, obstawała przy niem ze słodyczą i czyniła wszystko podług niego. „Niektórzy ludzie — usprawiedliwia się autorka — uporem zowią podobne wytrwanie, ja zaś je pięknie nazwiskiem *stałości charakteru* mianuję; a ta stałość, kiedy jest dobrze zrozumianą, szacunek wszystkich, nasz własny, szczęście nam jedna“ ¹⁾.

Na rzecz przesądu, że nauki nie potrzebne są a nawet szkodliwe kobietom, największe Tańska zrobiła ustępstwa; nazwała je nie zasadą, lecz *ozdobą* tylko życia niewiasty, nie chwaliła tych kobiet, które się uczyły łacińskiego, greckiego, hebrajskiego języka, co doświadczenia robią w fizyce, chemii i nad algebrą lub matematyką głowę sobie łamią. „Umieć uszczęśliwić małżonka, uprzyjemnić jego życie, wychować dobre dzieci, *wynajdywać nowe i niewinne sposoby podobania się każdemu*: to jest systema naukowe dla kobiety“ ²⁾. Wyliczając następnie nauki potrzebne kobietom: religią i moralność, historią, geografją, mitologią, historią naturalną, pominęła zupełnie przyjętą już na pensjach naukę rachunków, i regulaminem szkolnym z 1810 r. nakazaną umiejętność prowadzenia ksiąg gospodarskich i handlowych, dodając jeszcze dowcipnie raczej niż słusznie, że z matematyki kobieta znać powinna tylko tyle, żeby nigdy z prostej nie zoczyła linii. A chociaż umysł wielce praktyczny nie pozwolił Tańskiej zapomnieć w innym rozdziale o „książkach rejestrowych,“ o ścisłym pilnowaniu wydatków gospodarskich; nie chciała przecież robić z tego nauki rachunków, ażeby zbyt uczoną nazwą *matematyki* nie odstraszyć panienek. Zobaczmy później, jak te wszystkie pojęcia z biegiem czasu zmodyfikowały się w umyśle naszej autorki; tu zauważę jedynie, że już w *Pamiętce* znajdują się luźne zdania, które świadczą wymownie, iż Tańska zajmując się sama naukami, uznawała ich ważność w sprawie wychowania kobiecego. Najprzód co się tyczy rażącego nas nazwania nauk „ozdobą“ tylko umysłu, pamiętać trzeba, że Tańska nazywała tak samo przymioty i cnoty, których przecież lekceważyć w żaden sposób nie mogła; u niej i pobożność nazywa się ozdobą i miłość braterska ozd-

¹⁾ *Pamiętka*, Część II, rozdz. IV.

²⁾ W tych samych niemal słowach mówi Basedow o przeznaczeniu kobiet. Zob. Schmidt: *Geschichte der Paedagogik*, 1870, III, 602.

ba; tak że o ozdobie umysłu i serca bardzo często w *Pamiętce* jest mowa. Było to naówczas skutkiem życia salonowego, w którym kobieta jako piękność królowała; później podobny do tego pogląd wynikał z zasad filozoficznych, przeznaczających kobiecie dział urzeczywistnienia *idei piękna*. Powtórę, Tańska prócz ozdoby widzi nadto w naukach środek do *udoskonalenia rozsądku*, co mianowicie naukom przyrodzonym przyznaje ¹⁾, i do wypełnienia godnie obowiązków *matki*, co nawet w tém miejscu ważniejszym ich celem niż przyozdobienie umysłu nazywa ²⁾. — Potrzebie, jeżeli Tańska nie radziła dużo czytać kobiecie, to rada jęj wypływała nie tyle z chęci zamknięcia przed nią skarbów wiedzy, ile z tego głębokiego a prawdziwego przekonania, że lepiej jest umieć mało a gruntownie, niż wiele a powierzchownie. Każdy woli pszczołkę niż motyla,—to własne jęj słowa. Czytanie podług naszej autorki, ma stanowić dla kobiety rodzaj lekcji uniwersyteckich. Od 15 do 18-go roku radzi ona pannie, ażeby nie bywając na licznych zgromadzeniach, wszystkie chwile wolne od ręcznych robót, domowych zatrudnień i ćwiczenia się w talentach, poświęciła uważnemu i rozważnemu czytaniu, czyniąc wybór, ku czemu trafne bardzo podaje wskazówki, i ktoby się ściśle wskazówek tych trzymał, ten z pewnością w przeciągu lat trzech znakomicieby umysł swój wzbogacił. Wreszcie i to także przytoczyć należy, iż podając króciutki plan nauki dziejów, wcale nie płytko, chociaż utylitarnie tylko ją rozumieć. Historia—powiada—wystawia nam wszystkie królestwa i państwa świata; maluje wielkich i sławnych ludzi; wskazuje początki nauk i kunsztów; uczy przykładami: sztuki panowania, wojowania, *zasad rządu i polityki*, sposobów postępowania w każdym wieku i stanie.“ Żmichowska komentując ten ustęp, bardzo słusznie powiada, że plan powyższy było „najśmielszy plan, o jakim kiedykolwiek słyszano, lub raczej plan, o jakim nigdy pierwój nie słyszano w pedagogicznym zakresie kobiecej nauki;“ chociaż zarazem nader umiejętnie i trafnie tłómaczy możność jego powstania w umyśle Tańskiej, ówczesném namiętném zajęciem się dziejami. „Znajomość bowiem historii uważano niemal za również obowiązującą jak znajomość katechizmu“ ³⁾.

A jak w ogólnych tak w szczególnych poglądach Tańska umiała, jak się trafnie wyraża Żmichowska, być *al pari* z całym zasobem wyobrażeń czytającej ją publiczności. Z mnóstwa przykładów przedstawię tylko dwa, odsyłając po inne do wybornie pod tym względem napisanej przez Żmichowską rozprawy, która się mieści w VIII tomie pism Hofmanowój jęj wydania.

Dawne pojęcie pobożności zasadało się przeważnie na spełnianiu form i praktyk religijnych, cenionych nieraz więcj niż wewnętrzna

1) *Pamiętka*, Część II, rozd. V.

2) Tamże, Część IV, rozd. IV.

3) *Dziela Hofmanowój*, wyd. Żmichowskiój, tom VIII, 241.

treść ewangelicznych przepisów. Jój miejsce zaczęły zajmować w początkach XIX stulecia poetyczne, sentymentalne rozhowory z Bogiem na wzór tych, jakimi Chateaubriand swój *Génie du Christianisme* i swoje *Les Martyrs* przepełniał. Tańska stanęła znowu pośrodku; pobożność u niej „nie zakłada się *tylko* na odmawianiu pacierzy, na zwiedzaniu kościołów, na rozdawaniu publicznie jałmużny, na surowém drugich upominaniu; słowem, nie na samych tylko powierzchownościach, częstokroć *próżnych i mylnych*; ale raczej na wielbieniu Boga w duchu i prawdzie, na żywej miłości bliźniego, na ścisłém dopełnianiu obowiązku względem siebie i drugich, na oddaniu się z pokorą woli Najwyższego i Jego wyrokom, na czulej wdzięczności za Jego niezliczone dobrodziejstwa“ (Część II, rozd. I). Poufałości atoli z Bogiem nie dopuszcza, każe Go uważać za „najlepszego ojca, dobroczyńcę, sędziego i pana,“ i tym sposobem równowazy ufność z bojaźnią. Zaleca zgłębiać „piękności religii chrześcijańskiej;“ ale tajemnic wiary — nigdy. Stary duch nietolerancyi, odzywający się w zdaniu, że „prawo ścigać i zakazywaćby powinno osoby i książki, które pozwalają sobie wątpić o naszej wierze;“ ustępuje dalej gorąco zalecanej miłości dla wszystkich bliźnich, nawet dla nieprzyjaciół.

W kwestyi miłości dawniejszy obyczaj znał tylko jedno rozwiązanie: bezwarunkowe posłuszeństwo rodzicom; praktyka i teorye nowsze wprowadzały powoli wybór męża przez dziewicę, co spowodowało nader rozmaite rozwiązania. Tańska wspominając różnorodne ścieżki, któremi pary do „świętyni hymenu“ dochodzą, jako to: płochęj, romansowej miłości, *posłuszeństwa, przymusu*, intrygi, niezastanowienia się i t. p.; nie rozbiera wszystkich i zastanawia się tylko nad dwoma głównemi drogami: prawdziwej miłości, tudzież przyjaźni i rozsądku. Obiema można dojść do przybytku szczęścia; ale ponieważ „prawdziwa miłość tak rzadką jest na ziemi, tyle za sobą niesie goryczy; tak obejść się bez niej może kobiéta“, przeto Tańska radzi iść drogą rozsądku i przyjaźni. Rezultat więc taki: o przymusowém małżeństwie nie ma już mowy; miłość prawdziwa zostaje równouprawnioną z rozsądkiem, i tylko względy praktyczne na jój rzadkość i niepokoje, które z sobą sprowadza, skłaniają autorkę do oddania *w praktyce* pierwszeństwa rozsądkowi. Powszechnie naówczas narzekanie na romanse, malujące miłość zbyt gwałtowną lub zbyt czułą, a powtóre własne usposobienie, nie znające nigdy namiętnych porywów, skłoniły Tańską do takiego wyboru. Poczyna romantyczna nie rozpalila była jeszcze wtedy serc i umysłów, nie otoczyła miłości tą świetną aureolą, która później tyle prawdziwych i tyle fałszywych zapałów wywołała, tylu cnót i tylu występków powodem się stała... Tańska pisząc rozdział o miłości, nie zaznała jój jeszcze sama; zdanie jój było tylko echem przekonau ogólnych.

Takie to okoliczności i takie poglądy zapewniły wielkie powodzenie książce, którój mimowolne sprzeczności nie tyle w myślach, ile w ich wyrażeniu tkwiące, nie raziły bynajmniej ówczesnej publiki, szukającej

niesystematycznego wykładu jakiegóś nauki, ale pożytecznej i przyjemnej lektury. Rzecz napisana była bardzo gładko, poprawnie, płynnie; a chociaż powtarzań znajdowało się w niej sporo; to przecież one nie nudziły, ponieważ autorka umiała je tak przystroić, że się nowemi wydawały, ponieważ unikała rozwlekłości, to jest długiego dowodzenia jakiegóś prawdy, która się prostém zaznaczeniem w umyśle czytelnika doskonale przyjmowała. Rzecz to wreszcie była poraz pierwszy oryginalnie po polsku przez kobietę przedstawiona. Dotychczas przemawiali o kobietach cudzoziemcy tylko, zkiepska po polsku przebrani. Więc choć istniała już książka podobnej jak *Pamiętka* treści, książka, napisana przez sławnego Campego, a wytłumaczona na nasz język przez Franciszka Słonińskiego, p. n.: *Rada ojca dla córki, dziełko pięć pięknej poświęcone* (Kraków, 1805, str. 271), i dedykowana księciu Adamowi Czartoryskiemu; mało kto o niej wiedział tak, że dopiero w kilkanaście lat po wydaniu *Pamiętki*, zyskała ona popularność w nowym przekładzie Teodozego Sierocińskiego, i była parę razy po polsku, po niemiecku i po francuzku u nas wydawana. To, czego przekład dokonać nie mógł, spełniło dziełko „młodej Polki:“ zwróciło uwagę na kwestyą wychowania niewieściego, a nawet wywołało naśladownictwo. W lat sześć po pierwszym wydaniu *Pamiętki po dobrej matce* pojawiła się (1825) *Pamiętka po dobrym ojcu*, przerobiona z bezimiennego (podobno Michała Wiszniewskiego) rękopismu, pomnożona i wydana przez Teodozego Sierocińskiego, i doznała bardzo przychylnego przyjęcia tak, że w niedługim czasie doczekała się drugiej edycji.

Wszystkie te okoliczności razem wzięte sprawiły, że *Pamiętka po dobrej matce* zapewniła odrazu powszechnie dla 21-letniej Tańskiej uznanie, i stała się dziełem epokowym w historii wychowania niewieściego w kraju naszym.

III.

Drugim takim epokowym dziełem są *Rozrywki dla dzieci*. Były one najzupełniejszą nowością w naszej literaturze. Do roku 1824 nie przyszło nikomu na myśl wydawać czasopismo dla pożytku i zabawy podrastającego pokolenia. Tłómaczono wprawdzie *Przyjaciela dzieci* Weissego i jego naśladowcy Berquina; lecz podawano go w jednej książce, w jednej, że tak powiem dozie;—artykuły, które się niegdyś ukazywały osobno, połączone razem, przekładano i dawano do czytania dzieciom, tak jak dawano *Wieczory zamkowe* lub *Robinsona Crusoe*.

Pod datą 10 września 1823 roku zapisała Tańska w *Pamiętniku* swoim następujące myśli: „Sama się dziwię wielkości, liczbie, śmiałości projektów moich; a przecież zdaje mi się, że wszystkie z jak największą łatwością uskutecznię. Bądź-to skutkiem większej w piśmie łatwości, bądź lepszego zdrowia, coraz rozszerza się przedemną mój zawód literacki, na coraz więcej przedmiotów oko moje się zwraca; a razem za-

pewnia, że każdemu da radę. Przyznać należy, iż pierwszym do nowego zamiaru powodem była prawie pewność zupełna, że tysiąc zł. z pensyi matce mojej ujmą. Od wielu osób słyszałam, że najkorzystniejszą gałęzią literatury są *pisma peryodyczne dla dzieci*; dręczona więc chęcią wynagrodzenia matce, co utracić miała, przyszło mi na myśl wydawać pismo peryodyczne dla dzieci; plan, prospekt, w momencie napisałam; radziłam się matki, rodziny całej, Wyszkowskiego; wszyscy mój zamiar pochwalili, a ja dalejże pchnęłam go do gazet i ogłosiłam prenumeratę: od 1-go stycznia wychodzić będzie co miesiąc numer jeden p. t.: *Rozrywki dla dzieci*“¹⁾.

Tym sposobem Tańska dokonała tego, co spełnił w Niemczech Chrystyan Weisse, i doczekała się takiegoż losu. Historia pedagogiki opowiada, że pierwszy Adelung wpadł na myśl wydawania dla dzieci pism peryodycznych, i ogłosił swój *Tygodnik dla dzieci*. Ale Adelung był za uczony i nie łatwo mu było trafić na styl właściwy dla dziecięcych umysłów; Tygodnik jego nie znalazł powodzenia. To było mu powodem, że wezwał Weissego i zdał nań swoje wydawnictwo w r. 1774. Weisse umiał przemawiać do dzieci po mistrzowsku i od razu zjednał sobie serca młodych, a za nimi i starszych czytelników. Opowiadania pomieszczane w *Przyjacielu* taką prawdą były nacechowane, iż wielu sądziło, że Weisse opisuje zdarzenia rzeczywiste swojej rodziny; to też nieraz miewał odwiedziny od osób przejeżdżających. Te ujrawszy jego dzieci, pytały się go natychmiast, które z nich jest sławnym Karolkiem, czułą Lotką i t. p. Nieraz przysyłano z dalekich stron podarunki dla Karolka i Lotki, jakby te były nietylko rzeczywistymi osobami, ale nadto dziećmi Weissego. Można ztąd wnieść, że *Przyjaciel* Weissego cieszył się popularnością i poczytnością nadzwyczajną. Speculanci zaczęli go ukradkiem przedrukowywać i robić na nim majątki. Jeden z takich jegomościów, chcąc pochlebić Weissemu, wygadał się przed nim, że żyje z przedruku pism jego, i że w samej Austrii sprzedaje 15,000 egzemplarzy²⁾.

Podobne przyjęcie znalazły *Rozrywki* u nas, tylko na mniejszą oczywiście skalę. Egzemplarze nie liczyły się na tysiące, ale były zawsze chciwie czytane, i niektóre roczniki doczekiwały się bardzo prędko przedruków; wszyscy interesowali się *Rozrywkami*: nietylko młodzi ale nawet i starsi. Wśród bardzo smutnego stanu czasopiśmiennictwa warszawskiego w r. 1824, kiedy wiele pism upadło a inne ledwie dyszały z powodu nacisku okoliczności zewnętrznych, *Rozrywki* były istotnie zajmującym i pocieszającym zjawiskiem. Pisała w nich przeważnie a niekiedy jedynie sama wydawczyni; gdyż wówczas bardzo jeszcze mało było ludzi, umiejących pisać przystępnie. Tylko Łukasz Gołębiowski, historyk; Wyszkowski, Brodziński i Górecki—poci

1) Dzieła Hofmanowój, wyd. Żmichowskiój, VI, 493, 494.

2) *Chowanna*, B. F. Trentowskiego, 1842, tom II, str. 908—909.

od czasu do czasu wspierali swemi pracami czasopismo Tańskiej. Dziwna rzecz, że jedyny talent pedagogiczny obok Tańskiej, wówczas rozwijający się Stanisław Jachowicz, który wtedy właśnie (1824 r.) wydał pierwszy zbiorek swoich bajek i powieści, nie zapragnął uczestniczyć w tak pięknym, tak zgodnym z jego pragnieniami przedsięwzięciu.

Układ pisma był zrobiony umiejętnie. Nie goniła redaktorka za zbyt wielką rozmaitością i słusznie; nie należy bowiem przyczyniać się do rozpraszania uwagi dzieci, owszem skupiać ją trzeba, o ile się to da bez uszczerbku w ich zainteresowaniu do pisma. Zajmowała następnie umysł młodzieńczy przedmiotami najbliższymi ich obchodzącymi; wszystkie niemal artykuły dotyczyły kraju, literatury, obyczajów rodzinnych. Rozpoczęła swe pismo pod pięknym godłem wyjętym z pisma Felińskiego:

Jak słodkie zatrudnienie giętki umysł wspierać,
Wzbudzać żywą do czynów szlachetnych ochotę
I gruntować w umyśle nieskazanym cnotę.

I godła temu powtarzanemu przez lat pięć wierną była ciągle. W skromnej a serdecznej do dzieci przemowie na czele pierwszego numeru pomieszczonej, zawiadomiła je, że chce im być użyteczną, nauczać i zabawiać, dopomagać, o ile to było w jej mocy, do rozkrzewienia w ich sercach czystej miłości cnoty; obiecała im oryginalne i naśladownicze „pisemka,” wiele zdarzeń prawdziwych, wiele szczegółów o żyjących dzieciach a nadewszystko „nauki moralne i wspomnienia narodowe, gdyż takowym żywołem najlepiej młode dusze karmić przystoi.”

Każdy zeszyt miesięczny składał się zazwyczaj z pięciu następujących działów:

I. Wspomnienia narodowe. Tu się mieściły życiorysy sławnych Polaków, pospolicie uczonych i poetów; albo pojedyncze szczegóły nauczające z ich życia; dalej opisy różnych okolic rodzinnego kraju i opowiadania historyczne.

II. Powieści mniejszego i większego rozmiaru.

III. Anegdoty prawdziwe o dzieciach, prozą i wierszem. Ten dział najżywiej interesował młodzieńskich czytelników w Warszawie, dowiadywali się bowiem nieraz o słowach i postępkach znanych sobie spółtowarzyszy i miesali nadzieję, że i ich jakie dowcipne słówko zostanie w *Rozrywkach* pomieszczone. Sarkali wprawdzie niektórzy pedagogowie na niewłaściwość ogłaszania dziecięcych słów, z obawy, ażeby to nie wpłynęło na zwiększenie próżności młodzieńskich bohaterów, i sarkanie ich wiele gruntownych miało za sobą argumentów, tém bardziej gdy nie pochwalamy postępowania rodziców, co wśród grona tylko krewnych i przyjaciół zwykli dzieci swoje wychwalać; ale cóż było robić z powszechnym wówczas upodobaniem czytelników, interesujących się nadzwyczaj żywo tym właśnie niezbyt pedagogicznym działem?... Nie można powiedzieć, żeby on stanowił był o poczytności *Rozrywek*; nie,

lecz był owém ponętném ciastkiem, którem się dzieci do pracy zachęca, i do połknięcia lekarstwa zniewala. Gdyby Tańska ciastka tego czytelnikom swoim nie podawała, nie mielibyśmy dzisiaj zbiorku bardzo dobrych, dowcip zaostrażających i do przytomnego odpowiadania pobudzających anegdot, które nie są tłómaczone, naciągane i wymuszone, ale wprost z życia wzięte.

IV. Wyjątki służące do ukształcenia serca i stylu. W tym dziele znajduje się właśnie niekiedy owo lekarstwo, do przełknięcia którego, ciastko przyobiecać było potrzeba. Oprócz bowiem króciutkich rozprawek treści moralnej: o wdzięczności, o dobrej sławie, o pracy i t. p., czytano tu owę sławną korespondencyą brata z siostrą (Zdzisława z Wandą), mającą swe miejsce w dziejach naszej stylistyki a karzącą niemiłosiernie brzydki zwyczaj pisywania listów po francuzku. Zdzisław przemówił wymownie do „wzrastających dziewcząt” za mową ojczystą: „obym mógł wlać w dusze wasze szlachetny ku narodowości zapach; obym mógł napoić młodociany umysł tém przekonaniem, że wy podnieść język polski możecie!” Niewiasty dojrzałe, choćby chciały, nie potrafią już nabyć biegłości; lecz wasz giętki umysł na każdą stronę nachylić jeszcze można. Zostawszy żonami i matkami wpoicie w serca córek waszych uczucia i zdania; zgubny przesąd ustanie na was, zakończy się na dzisiejszém pokoleniu, i od was się ustali prawdziwych Polek pasmo; od was „powstanie epoka nowego mowy ojczystej odrodzenia.” Proście usilnie rodziców i opiekunów niech was każą gruntownie uczyć po polsku. Modlitwy, wypisy treści, dzienniki, listy, piosenki niech będą po polsku, strzegąc się pilnie mieszania słów i wyrażeń francuzkich. „Nie wiercie tym którzy utrzymują, że w języku naszym wydać nie można drobnych i trafnych postrzeżeń, uczuć delikatnych, że nikt z niego języka towarzystwa, języka serca uczynić nie potrafi. Chciałoby niebo dać Polkom tkliwość i dowcip a nie użyzyć im mowy, w którejby te dary wyrazić mogły? Nie! pięknym, bogatym, słodkim jest nasz język, lecz ktokolwiek nim w młodości wzgardzi, przed tym nazawsze skarby swoje zamyka ¹⁾.” Po tej gorącej odezwie daje Zdzisław siostrze swój trafne rady pod względem nabycia wprawy w języku polskim; a Tańska rozwijając myśli przezeń rzucone, ułożyła szereg wyjątków z celniejszych pisarzy naszych, najprzód pod napisem: *Kolenda Polki*, który potem spostrzegłszy się, że użyła wyrazu cudzoziemskiego, zamieniła na: *Więzanie*. Tu więc mamy wypisy z Reja, Górnickiego, Orzechowskiego, Stanisława Lubomirskiego, Modrzewskiego, Fredry (Maksymiliana), Klonowicza, Włodka, Skargi, Maczuskiego. Pod tym względem Tańska położyła zasługę jedną z najwdzięczniejszych: spopularyzowała mało lub wcale już nieczytanych autorów, zrecznie wybrała najpiękniejsze ustępy, ażeby zachęcić młodzież do czytania całości; praktycznie uzupełniła te suche wiadomości, jakie młodzi czytelniki-

¹⁾ *Rozrywki dla dzieci*, 1824 r. zeszyt majowy.

cy mogli posiadać o dziejach literatury krajowej. Nie myślę przeceniać wpływu, jaki mieć mogły te wyjątki na umysły publiczności; ale zdaje mi się rzeczą wielce prawdopodobną, iż one do jakiego takiego pokupu zbioru pisarzy polskich Gałęzowskiego, Bobrowicza i Turowskiego w pewnej przynajmniej części się przyłożyły. Że nie przypisuję im czegoś więcej, to rzecz naturalna. Ogólny bowiem popęd do wygrzebywania starych książek, a potem drukowania ich lub o nich powstał jeszcze przed Tańską, i ona właściwie mówiąc była tylko popularną pośredniczką pomiędzy ściśle naukowymi badaczami lub też bibliomanami, poszukującymi „białych kruków” a ubogą duchem publicznością. Ze tego pośrednictwa dokonała z taktem i ze skutkiem, to właśnie stanowi wielką jej zasługę nie tylko pod względem czysto pedagogicznym, ale też i pod względem oświaty krajowej w ogóle.

V. Wiadomości mogące być matkom przydatne. Tu się mieściły listy i rozprawki o wychowaniu dzieci a mianowicie córek.

Oprócz wymienionych tu pięciu działów, które ustępowały niekiedy miejsca jednemu tylko, jak bywało przy ogłoszeniu większych powieści lub dłuższych opisów podróży po kraju,—spotykano często na końcu krótkie alegoryczne przypowieści lub też bajki Góreckiego.

Z tego szkicowego przedstawienia programu *Rozrywek*, którego działa niektóre rozbioreę później szczegółowo w związku z innemi podobnej treści utworami naszej autorki, zauważyć można, że brakowało w nim trzech głównych rzeczy, napotykanych pospolicie w dzisiejszych czasopismach dla dzieci: brakowało żywiołu fantastycznego, zadań zaostrzających zdolności kombinacyjne i zarysów z nauk przyrodzonych.

Co do braku żywiołu fantastycznego pamiętać wypada, że naówczas powstawano właśnie w pedagogice najmocniej nie tylko na powieści o strachach, na co i dziś zgodzić się musimy, ale nadto, na wszelkie bajki cudowne, na wszelki swobodny polot wyobraźni, lękając się jej rozpasania. Filantropinizm starał się najusilniej, o usunięcie rozwoju fantazyi dziecięcej z zakresu sprawy wychowawczej, kładąc nacisk na wzmocnienie, rozszerzenie i ugruntowanie *rozsądku*, który miał się stać jedynym życia kierownikiem. Tańska poglądy te prawie bezwarunkowo podzielała, i dlatego w dziesięciu tomach *Rozrywek*, które w przeciągu lat pięciu wyszły, nie znajdujemy żadnej fantastycznej powieści. Jedynym wyjątkiem zdawałby się mogła pomieszczona w roku 1828 *Safira czyli Zegarek cudowny*, bajka napisana po francuzku w 1821 r. przez młodą zmarłą hrabinę Borkowską, a tłómaczona przez Tańską. Bliższe atoli zastanowienie się nad treścią tej bajki przekonuje, że prócz rozciągniętej na dłuższy szereg obrazków *alegoryi*, nie ma w niej istotnie żadnej karni dla wyobraźni. Safira jest to królewna otoczona wrózkami i skazana przez „złośliwego geniusza,” na żywą wyobraźnię i ustawiczne zapomnianie obecności z powodu myśli o chwilach przyszłych. Wróżka dała jej zegarek, wskazujący wszystkie wy-

padki wcześniej o godzinę. Lecz nietylko ten cudowny zegarek, ale miłość nawet nie pomogła Safirze, dręczącej się ustawicznie tём, co miało nadejść, a przez to nie używającej przyjemności chwili obecnej. Dopiero litość, powstała w sercu Safiry na widok matki, której córkę lew rozszarpał, zniewolił ją do poświęcenia całej swęj uwagi temu wypadkowi, i to ją od przekleństwa „złośliwego geniusza” uwolniło. Sens moralny: „to, co dla drugich czynimy jest krokiem do nieśmiertelności i życie napelnia.” Złośliwy geniusz, wróżki, cudowny zegarek miały bezwątpienia więcej w sobie plastyczności, niż alegoryczne powiastki pisane do *Rozrywek* przez Brodzińskiego i samę Tańską; w każdym atoli razie łatwo było podstawić pod nie całkiem abstrakcyjne pojęcia, jak to się zawsze zdarza w alegoryach, choćby najlepiej pomyślanych.

Co do zadań mających na celu ćwiczenie domysłności i zmysłu kombinacyjnego, to ich liczba jest nadzwyczaj szczupła, zawarta w marcowym zeszytcie z r. 1826. Mówię tu o „grach ćwiczących umysł,” które w swoim czasie wiele narobiły hałasu (VI, 502). Podając je, autorka kładzie główny przycisk na ich pożyteczność, w sprawie „gładkiego wysłowienia się” bądź ustnie bądź na piśmie, a jeszcze większy na odstręczenie od francuzczyzny, w której gry takie za jęj czasów zwykle się odbywały. Dzieli je Tańska na dwie części: gry ustne i gry pisane. W grach ustnych znajdujemy dwa gatunki: *grę zmysłów* i *zagadki*. Gra zmysłów polega na tём, że pewne osoby biorą na siebie role zmysłów; a kiedy się jaki przedmiot wynienia, osoba przedstawiająca zmysł powinna się właściwie znaleźć to jest wstać, jeżeli przedmiot wymieniony zmysłem tym dostrzega się, i powiedzieć przyczynę swego ruchu lub też siedzieć i milczć. *Zagadki* zasadały się na zgadnięciu rzeczownika obranego, po 10 zapytaniach. Toż samo odbywało się z wyrazami dwuznacznymi, wyrazem umieszczonym wśród innych, ale już bez pytań.

Gry pisane są używane i dziś jeszcze: sekretarz, czyje lepsze, szarady; dalej porównania przez podobieństwa i różnice; dorabianie całych wierszy do 4 końcówek; pisanie powieści na zadany tytuł i określanie znaczenia synonimów. Autorka na każdą z tych gier podaje przykłady i zachęca do wynajdywania innych.

Dzisiaj pisma czasowe dla dzieci nie mogą już ograniczyć się na prostych wskazówkach tylko, lecz muszą stale dostarczać materiału, służącego do ćwiczenia umysłów dziecięcych. Długo atoli czekać potrzeba było, ażeby taki tryb postępowania został uznany za obowiązujący; a Tańskiej niepodobna nie oddać pochwały, że pierwszy na těj drodze krok postawiła.

Co się wreszcie tyczy historii naturalnej i w ogóle nauk przyrodzonych, to nie spotykamy w *Rozrywkach* ani jednego artykułu těj treści, chociaż jak wiemy, Tańska, historią przynajmniej naturalną, wliczyła do króciutkiego spisu nauk, potrzebnych kobiécie. Być może, iż redaktorka uważała nauki przyrodzone za tego rodzaju uniejętność, że

trzeba się było jój uczyć tak, jak gramatyki np., że zatém w piśmie przeznaczoném przeważnie „rozrywce“ niepodobna było znaleźć dla niej miejsca. A powtóre, nie pojawili się jeszcze wówczas popularyzatorzy tych nauk w kraju naszym, a sama Tańska czuła zapewne brak kompetencyi w sprawie uprzyśtępnienia ich dla umysłów młodocianych i uczynienia treści przyrody przedmiotem nietylko pamięciowego przyswajania, ale i rozrywkowego czytania.

Bądźcobądź pomimo braki, które łatwo nam dzisiaj wskazywać, zarówno pomysł Tańskiej, jak i jego świetne urzeczywistnienie, miały pierwszorzędne znaczenie w rozwoju naszego piśmiennictwa wychowawczego. *Rozrywki*, wychodząc przez lat pięć, tak silnie rozbudziły poczucie potrzeby czasopisma dla dzieci, tak umiejętnie potrafiły je zadawałniać, że odtąd wśród zmieniających się, a nieraz nader ciężkich warunków zewnętrznych, niemożna już było pozbyć się myśli wydawania podobnego pisma. Myśl ta w rozmaitych chwilach skłaniała do wydawnictw różnej wartości; najsilniej atoli objawiła się bezpośrednio pod wpływem *Rozrywek* w 1829 i 1830 r., powołując na widownię literacko-pedagogiczną prócz krótkotrwałych wydawnictw cztery główne pisma peryodyczne dla dzieci, które tu dla porównawczej z *Rozrywkami* oceny scharakteryzować muszę.

Gdy tylko Tańska, powodowana zapewne zameżciem z Karolem Hofmanem, ogłosiła, że *Rozrywki* z grudniowym zeszytem 1828 roku się kończą, Ignacy K. Chrzanowski postanowił zapełnić istotny brak, jakiby z pewnością uczuto i zapowiedział na rok 1829 swój *Tygodnik dla dzieci*. Wychodził on przez rok jeden, co tydzień, w sobotę, z wyjątkiem trzynastej soboty każdego kwartału, tak, że w końcu 1829 r. było cztery tomiki *Tygodnika*, z których każdy składał się z dwunastu numerów. Wydawca we wstępie do pierwszego numeru odwołuje się wyraźnie do przykładu Tańskiej, pragnąc, ażeby dzieci i z jego dziełka korzyść odniosły; przyczem radzi im, by je nietylko czytały, ale nauki jego w sercu zachowały i w całym życiu stosowały. Treść pisma była takąż prawie, jak i *Rozrywek* z tą zewnętrzną różnicą, że wszystkie artykułiki ze względu na mniejszą objętość zeszytu o wiele krótsze być musiały. Wewnętrzną różnicę stanowiło wprowadzenie dwu działów, których *Rozrywki* nie zawierały, a mianowicie: spisu i oceny nowych książek, które dla pożytku dzieci mógł wydawca polecić; tudzież opowiadania z historii naturalnej. Pierwszy dział niezbyt często bywał zapełniany; zato drugi, mianowicie od numeru 15-go zawierał bardzo przystępnie i zajmująco skreślone naprzód: podział nauk przyrodzonych, a potem wiadomości nieraz obszerne o czło-wieku, małpach, o niedźwiedziach i psach. Jak z tego wyliczenia widzieć można, miał to być dosyć systematyczny wykład zoologii, w formie ponętnych anegdot, skończył się on atoli bardzo prędko i objął wskazane tylko przedmioty.

Wartość innych działów była rozmaita. Znajdujemy tu znane wszystkim z osobnej książki *Dzieje Polski* potocznym sposobem opo-

wiadane, przez Joachima Lelewela; znajdujemy piękne *rozmowy ojca z synem* Stanisława Jachowicza; wiadomości o sławnych pedagogach: Berquinie, Oberlinie; słowniczek zdrowych i niezdrowych pokarmów (rzecz opracowaną niegdyś przez Stanisława Trembeckiego), słowniczek niektórych wyrazów polskich mniej używanych (z rękopismów Adama księcia Czartoryskiego), niektóre przysłowia narodowe, objaśnione przez K. Wł. Wójcickiego, wyjątki z dawnych pisarzy polskich i t. p. ciekawe i pouczające artykuły, niezawsze wszelako do pojęcia dzieci dobrze dostosowane. We wspomnieniach życiorysowych znajdują się już nietylko krajowe ale i cudzoziemskie imiona, a w ich wyborze szczególny położono nacisk na ludzi biednych, którzy pracą i uczciwością wynieśli się i dorobili sławy. Największa bieda była z powieściami. Nietylko tu niebyło nic takiego, coby przypominało *Dziennik* Franciszki Krasińskiej, ale nawet ze skromniejszymi utworami powieściowymi Tańskiej niepodobna było robić porównania. To też radzono sobie jak było można; trochę przekładano z francuzkiego, trochę krótkimi przypowiadkami i anegdotami łatano się, a wreszcie dawano temu działowi pisma zupełny spokój. Zwyczaj notowania pięknych lub dowcipnych słów dziatwy zachowano i tutaj; więc jest „powinszowanie małej C... pierwszy raz na papierze piszącej,” jest „przemówienie A. K. ucznia klasy 3-iej, w dniu śmierci dziadka jego,” jest powinszowanie (zresztą dość szczęśliwe) *małomówiącej* panienki,“ jest zawiadomienie o nadzwyczajnie utalentowanym do arytmetyki Henrysiu Łazowskim, któremu autor wróży śmiało, iż przewyższy Kopernika i Newtona i t. p.!!

Niewiele artykułów *Tygodnika dla dzieci* przeżyło chwilę swego wydrukowania i stało się nabytkiem duchowym późniejszych pokoleń; lecz wprowadzone w nim nowe działy, zapewniły mu pamięć w dziejach naszej pedagogicznej literatury. Poczynając od niego, zawiadomienie o nowych książkach dla dzieci i rozprawki z nauk przyrodzonych, stały się niezbędnymi w czasopismach, poświęconych nauce i zabawie młodzieży, a przynajmniej wymagała ich krytyka wychowawcza. Pierwszy wprawdzie dział zaniedbywały niektóre czasopisma, jak je i dziś zaniedbują; drugi wszakże uwzględniano sumiennie.

W roku 1830 liczba czasopism dla dzieci była największa, jaką dotychczas znamy w Królestwie; wyrażała się ona cyfrą 3, która w szczegółowych tytułach nosiła nazwę: *Dziennika dla dzieci*, *Ziemo-mysła* i *Skarba dla dzieci*.

Najlepszym bezwątpienia był *Dziennik*, wydawany przez Stanisława Jachowicza, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, pod tém samém godłem co i *Rozrywki* Tańskiej. Przymiot najlepszości nie należy mu się tyle z racyi szczególnie pięknych artykułów, chociaż między niemi odróżniały się trafne *rozmowy* przez samego wydawcę pisane i odtąd w różnych *Wypisach*, *Książkach do czytania* i t. d. przedrukowane; ile z tego serdecznego tonu, którym po raz pierwszy zaczęto tu do dzieci naszych przemawiać! Jachowicz, wydając codziennie dwie karteczki tylko, nie mógł oczywiście rozwijać szerokich pomysłów, ale

ojcowskim, za serce chwytającym tonem mówił o rzeczach zwyczajnych, najzwyczajniejszych nawet, a jednak umiał zainteresować niemi dzieci; umiał niespodzianie wprowadzić morał z opowiadania, którego niepodobna było posądzać o chęć moralizowania; umiał nauczyć i wzruszyć. Ztąd powstały poufale stosunki między wydawcą a czytelnikami, tak dziećmi, jak i starszemi. Donoszono mu o cnotach i wadach, rozpowiadano sobie wzajemnie jakieś pouczające zdarzenia, pisano wypracowania na zadany przez wydawcę temat, robiono nad nimi uwagi; radzono sobie wzajemnie, poprawiano i bawiono się. Tańska w chwilach tylko ważnych umiała się zdobyć na wymowę serdeczną; Jachowicz miał ją na każde zawołanie.

W *Dzienniku* oprócz cnotliwych czynów i dowcipnych słówek dziatwy, spotykamy także artykuły informacyjne, powiastki, rozprawki pisane przez młodzieńskich czytelników. Znaczyli się oni zazwyczaj początkowemi tylko literami, wyjątkowo jedynie wymieniono tu nazwisko 11-to letniej panienci, która przysłała z prowincyi wierszem „podziękowanie dla wydawcy.“ Panienką tą była głośna pomiędzy 1838 a 1846 r. poetka Walentyna Trojanowska, jedna z redaktorek *Zorzy*, pisma dla dzieci, wychodzącego w 1843 i 1844 roku.

Oprócz nauk moralnych, bajek, powiastek i anegdot uwzględniano w *Dzienniku* nauki przyrodzone, szczególnież zoologią, o której pisał Jachowicz, Waga i inni; wiele było dalej wiadomości z geografii i to stosunkowo dosyć obszernych, np. o Islandyi i Arabii; wspomnienia narodowe łączono z innokrajowemi; o nowych dziełkach dla dzieci pisano dość często.

Drugim pismem był *Ziemiomysł*, wychodzący co dwa tygodnie pod redakcją nieznanego mi zkaładu Chruckiego, jak pisze p. Sobieszczański w *Encyklopedyi* Orgelbranda (większej VI, 323). Redaktor chciał widocznie trzymać się ściśle wzoru podanego przez Tańską, wprowadzając jedynie konieczne już ulepszenia i stanowiąc wyraźnie osobny dział zatytułowany: *Historja naturalna*. Zresztą są tu wspomnienia narodowe (z wyłączeniem wszelkich innych), podróże po kraju (Puławy, Arkadya i Nieborów, zwiedzenie grobów królewskich w Krakowie, o Kurpiach p. K. Wł. Wójcickiego i t. p.), powieści bardzo słabe niestety i po większej części tłómaczone mianowicie z angielskiego, wyjątki z dawnych pisarzy polskich, bajki i inne wierszowane utwory, niejednokrotnie przez dzieci nadsyłane. Wiele tu artykułów dobrze napisanych, pomiędzy którymi jest kilka pióra K. Wł. Wójcickiego; w ogólności jednak biorąc, zamało było zastosowania się do pojęcia dziecinnego, a pod koniec roku zapełniano numera byle czém, tłómacząc się tém, że „ważniejsze terażniejszych wypadków zatrudnienia odwołują od spokojnej literackiej pracy.“ Wtedy to pomieszczono w *Ziemiomyśle* poezycę Łapsińskiego z barwą ultra-romantyczną, nędzne pod względem pomysłu i formy, niezgrabnie naśladowane nieraz z Mickiewicza, a niewłaściwe dla dzieci.

Jako *curiosum* zanotować wypada pomieszczone tu *Krakowiaki i Mazurki z dziejów Polski*. W krakowiakach opowiedziano ciąg historii polskiej od Krakusa do śmierci Stefana Batorego; w mazurkach poprowadzono go dalej do czasów Zygmunta III do upadku „z niezgody wynikłego.” Wiersze dosyć zręcznie napisane; ale upamiętnione w nich zdarzenia nie zawsze rozumnie wybrane, a pogląd na dzieje suchy, kronikarski i ciasny: że poezyi w tych krakowiakach i mazurkach nie szukać, tego się łatwo domyśleć można.

Ziemomysł pod względem historyczno-literackim nie przedstawia żadnego względem przeszłości postępu. Przeciwnie rzecz się ma z trzecim pismem, ze *Skarbem dla dzieci*. *Skarbiec* wychodził w Puławach w „snopkach” (zeszytach) miesięcznych, których pojawiło się podobno ośm¹⁾; ja znam ich sześć. Odróżnił się on i zewnętrznje i wewnętrznje od poprzednich pism czasowych. Pominąwszy piękność wydania i wielkość formatu, zaznaczyć trzeba, iż on wprowadził u nas ilustracje do czasopism dziecięcych. Dotychczas zarówno przy *Rozrywkach* jak przy *Tygodniku*, *Dzienniku* i *Ziemomyśle* dodawano litograficzne portrety osób; nie używając obrazków do ułatwiania nauki. *Skarbiec* zaś mieścił w każdym swoim snopku cztery litografie, wykonywane częścią w Puławach, częścią w Warszawie; a litografie te prócz jednego portretu (arcybiskupa Woronicza), i jednej pamiątkowej mogiły (Kościuszki), służyły za środek uzmysłowienia szczegółów, które w artykułach dzieci czytały. Były tu więc miasta, gmachy, góry, zwierzęta, rośliny, okręty, maszyny, balony, dzwony nurkowe, a nawet jedna mapa; wszystko najściślej zastosowane do artykułów.

Pod względem zaś wewnętrznym *Skarbiec* nie był tyle do rozrywki ile do nauki przeznaczony. Najgłówniejszą jego treścią były wiadomości z nauk przyrodzonych i technologii. Sposób pisania był prosty, jasny; ale wszelkich ozdób stylowych naumyślnie widać pozbawiony. Czytano tutaj o palmie kokosowej, o żubrze, o bobrze, o koszenili, o okrętach, balonach, machinach prostych i t. d. Wiele z tych artykułów miało obok tekstu polskiego, przekład niemiecki lub francuzki. Te rozprawki stanowiły treść główną; gdyż w każdym numerze musiał być artykuł z zoologii i botaniki lub z mechaniki i technologii. Na drugim planie zostawiono geografją i biografją; moralizujących napomnień nie było wcale. Treść rozrywkowa zawarta była w dodatku, mieszczącym powiastkę pod napisem: *Henryś i Lucia*, napisaną przez R. L. Edgeworth, którą pomieszczono w 3 językach: angielskim, polskim i francuzkim, drukując ją w 3 szpaltach. Była ona przeznaczona dla bardzo małych dzieci, które jeszcze czytać dobrze nie umieją; a mają się jednocześnie dwu albo trzech uczyć języków. Wydawca wychodził z téj zasady, że w nauce języków, szczególnież żyjących, na początek najważniejszą jest rzeczą nabrać obfitości wyrazów, i oswoić się z wiadomościami językowemi; a to już przez rozmowę, już przez ustne

¹⁾ Estreicher: *Bibliografia XIX stulecia*, tom IV, 252.

tłómaczenie z obcego języka na ojczysty i naodwrot. Do tego drugiego celu miała posłużyć powiastka: *Henryś i Lucia*.

Skarbiec tedy wprowadził dwie nowości: ilustracye i ściśłość naukową; pierwsze były wprawdzie dość lichy, druga zbyt sucho i odstępcząco się przedstawiała; ale były to w każdym razie ulepszenia, które później miały być rozszerzone i uprzyjętnione. Ściśłość naukowa najmnieję się wówczas podobać mogła i dlatego bardzo późno, bo w najnowszych dopiero czasach znalazła zwolenników; treść jej atoli przeważnie przyrodniczą zużytkowano niebawem, tak samo, jak i pomysł illustrowania artykułów; chociaż wyznać trzeba, nie znalazło to na razie powodzenia.

Po roku 1831 długo niepodobna było myśleć o czasopismach dla dzieci, bo nawet i na dorosłych niewiele rachowano. Hofmanowa chciała wznowić swe *Rozrywki* w Paryżu; lecz przedsięwzięcie jej ustać musiało na dwu tomach, z powodów łatwych do odgadnienia. W Warszawie dopiero w r. 1835 zjawił się *Magazyn dla dzieci*, który był lichą spekulacją księgarską. Wychodził on co tydzień, mieścił liczne ilustracye w samym tekście i obiecywał bardzo urozmaicony program; przeważnie jednak obrabiał nauki przyrodzone, a mianowicie zoologią. Tak jak jego starszy brat *Magazyn powszechny*, był prostą kopiań francuzkiego oryginału, bardzo rzadko mieszcząc artykuły oryginalne. Jak dalece brakło w nim swojskości, dość powiedzieć, że w całym roczniku (1835) znajdowały się dwie rzeczy polskie: kościół Ś. Aleksandra w Warszawie i wizerunek Krasickiego, ze wzruszającą obietnicą, że w drugim roczniku podany będzie spis dzieł tego pisarza.. Artykułów oryginalnych jest zaledwie kilkanaście, na które się złożyły króciutkie bajki Towścika i Zajączkowskiego, wiadomości zoologiczne Jarockiego lub z dzieła Jundziłła i wreszcie zdania moralne Naruszewicza, Kochanowskiego, Krasickiego, Załuskiego i Gawińskiego. Powieści oryginalnej niema żadnej, są tylko przekłady z Krzysztofa Schmidta, Janina i Eugenii Foa. W następnym 1836 r. *Magazyn* trochę się poprawił; oprócz bowiem przyobiecanej wzmianki o dziełach Krasickiego, jest wizerunek Sarbiewskiego z króciutkim życiorysem na odwrotnej stronie; jest wiadomość o Góralach, Szkalmierzakach, Kijakach z Podgórze, Proszowiakach i Krakowiakach; jest wspomnienie o Jadwidze królowej; oprócz bajeczek i wierszy Józefiny O(sipowskiej), G. hrabianki (Günther), Józefa Towścika, Teofila N(owskielskiego), A. Szabrańskiego, dra. Jarockiego, są też oryginalne powieści Józefy Osipowskiej. Powieści te w liczbie 6-ciu są pisane w guście francuzkim; przedstawiają świat konwencyonalny i nadzwyczajne wypadki. Zbójcy litościwi, krutki porywające robione lilie i spuszczone je przed obraz Matki Boskiej dziurą w dachu kościelnym; dekoracyjne zabawy, rezonujące dzieci i t. p. historie są w nich rzeczą zwykłą. Zaletą ich jest styl żywy i dość zręczny dyalog.

Magazyn nie miał powodzenia i nie dziwimy się temu bynajmnieję. W r. 1837 nie wychodził; w następnym miał się pojawiać w zeszytach miesięcznych. Zaczęto je wydawać; lecz ukończono dopiero w r. 1845.

Ten trzeci rocznik był przeznaczony wyłącznie na uzupełnienie rozpoczętego w dwu poprzednich ciągu historii świętej, historii naturalnej, (t. j. ściśle mówiąc zoologii) i geografii powszechniej, jako trzech głównych w edukacji domowej przedmiotów.

Czasopiśmiennictwo dla dzieci podniosło się dopiero, ale na czas bardzo krótki, dopiero pod koniec życia Hofmanowej, kiedy w r. 1843 Paulina Krakowowa i Walentyna Trojanowska założyły *Zorzę* i przy współpracownictwie Lewockiej, Osipowskiej, Wł. Miniewskiego, Stanisława Jachowicza i wielu innych, podniosły przynajmniej belletrystyczną stronę czytelnicy dziecięcej. Wyrobiły się już były wówczas piękne talenta w zakresie powieściopisarstwa dla dzieci tak, że utwory tego rodzaju pomieszczone w *Zorzy* mogły się porównać z krótszemi mianowicie powieściami wydawczynie *Rozrywek*. *Żywiołu nowego*, *Zorza* nie wniosła do literatury pedagogicznej.

Taki-to był w przybliżeniu i w rysach ogólnych wpływ *Rozrywek* na rozwój czasopiśmiennictwa dziecięcego w kraju naszym, aż do czasu śmierci Hofmanowej. Dopóki była możność swobodniejszego ruchu, popęd nadany przez nie wytwarzał nowe wydawnictwa; później przyczynił się do wyrobienia talentów pisarskich w kierunku powieściowym. Żadne jednak czasopismo nie dosięgło, w ogóle biorąc, téj miary doskonałości, jaką posiadały *Rozrywki*.

DROGI ŻELAZNE W KRÓLESTWIE POLSKIM. PRAWA AKCYONARYUSZÓW *).

PRZEZ

A. Wrotnowskiego.

IX.

Jakkolwiek interesa prywatne innemi rządzą się prawami niż interesa publiczne, spotykają się przecież na polu niektórych jednakowych potrzeb.

*) Dokończenie. Patrz zeszyt za kwiecień r. b.

Jedną z takich jest właśnie potrzeba rządu, przyrodzona każdemu stowarzyszeniu łączącemu pewną liczbę osób, lub podejmującemu pewien zakres interesów. Dla każdego takiego stowarzyszenia mieć rząd, znaczy mieć porządek, siłę i życie. Ilekroć spotykamy w historii gdziekolwiek, kiedykolwiek i jakiegokolwiek stowarzyszenia, zawsze widzimy u ich steru zorganizowany rząd i zarząd. I w istocie, nie mogło się dzieć inaczej, skoro w każdym zebraniu i połączeniu ludzi, liczbą przechodzącą pewne rozmiary, władza nie może pozostać ani nieokreśloną, ani rozproszkowaną, boby wtedy nie była zdolną zadaniu swemu czynić zadość; mianowicie zaś, niemogłaby łączyć i w jednym kierunku używać sił, które, przy działaniu odosobnioném, musiałyby się udaremniać lub nawet wzajemnie sobie szkodzić.

Dziedzina działalności prywatnej jest więc pod tym względem podobną do politycznego porządku rzeczy w społeczeństwach, z kąd wszakże bynajmniej nie wypływa, iżby toż podobieństwo i pod innemi istniało także względami. Jakoż, różnią się przedewszystkiém stowarzyszenia prywatne (cywilne czy handlowe) od społeczeństw, samą już podstawą, z jakiej rząd każdego z nich swą prawowitość wywodzi. Rządowi stowarzyszeń prywatnych daje zawsze byt sama umowa stron; rząd zaś każdego społeczeństwa jest zawsze wynikiem jego dziejów, wyrazem ciężkich wstrząśnięć i nieprzewidywanych zdarzeń, nie zaś jakiegoś paktu społecznego czyli kontraktu.

Nie była też prawdziwą znana teoria słynnego myśliciela z Genewy ¹⁾, mająca w swoim czasie, a nawet i dziś niemało szkodliwego na umysły wpływu, jakoby podstawą układu społeczeństw był pakt czyli kontrakt (*contrat social*). Układ ten, jest zawsze i wszędzie rezultatem zaszytych w każdym społeczeństwie zdarzeń, nie zaś uprzedniego kontraktu, bądź wyraźnego, bądź domyślnego.

Działania rządu i jego podstawa, są to dwie idee zupełnie różne; na pierwsze z nich społeczeństwo może nie być bez pewnego wpływu, drugą zaś wytwarza sama jego przeszłość. Kontraktu, któryby stwarzał rząd i był podstawą jego bytu, niemożna znaleźć gdzieindziej, jak w stowarzyszeniach cywilnych i w spółkach bezimiennych; w tej tylko dziedzinie jest on istotną prawdą.

Wytworzeniem, zorganizowaniem i określeniem swego rządu, zajmują się przeto wszystkie umowy spółkowe. Czynią to i ustawy towarzystw dróg żelaznych w Królestwie. Na czele każdego z nich postawioną jest rada zarządzająca, jako przedstawiciel, zarząd i rząd spółki bezimiennój. Zakres nadanej tej radzie władzy, jest bardzo szeroki; jak to bowiem wynika z samej natury rzeczy, musi obejmować najobszerniejsze pełnomocnictwo do prowadzenia całego przedsięwzięcia, boby inaczej sam układ spółki był wadliwym, przeszkadzałby rozwojowi jej interesów, a nawet, mógł spowodować jej upadek.

¹⁾ J. J. Rousseau. *Du contrat social*. Rozdz. VI.

Rada zarządzająca wykonywa przeto w imieniu towarzystwa całość służących mu praw i jest na zewnątrz niewątpliwym jego wyrazem ¹⁾).

Pomimo tak szerokiego zakresu władzy, nadanej radzie zarządzającej, akcyonaryusze z prawnego na jęj działalność wpływu wyzuci nie są. Też same bowiem ustawy, idąc za przepisami kodeksu, pozostawiają im ważne pod tym względem prawa, mianowicie zaś:

1. Prawo wyboru organów towarzystwa.

2. Prawo decyzji w przedmiotach, mogących oddziałać na byt spółki bezimiennęj lub narazić ją na niebezpieczeństwo.

3. Prawo stawienia *veto*.

4. Prawo cofnięcia udzielonego mandatu i

5. Prawo żądania zwrotu zrzędzonej szkody.

Akcyonaryusze wykonywają, wszakże te prawa nieinaczęj, jak na swych ogólnych zebraniach, zwyczajnych i nadzwyczajnych, zwoływanych odpowiednio do zasad wskazanych przez każdą ustawę spółkową. Tylko bowiem takie ogólne zgromadzenie, prawnie zwołane i zebrane, wyobraża całość wszystkich akcyonaryuszów ²⁾ i tylko jego uchwały w granicach i w zgodzie z przepisami téjże ustawy, obowiązują całą spółkę bezimienną, a więc wszystkich razem i z osobna każdego z jęj uczestników ³⁾. Prawne wynikłości takiego ustroju rzeczonych towarzystw akcyjnych, są dla każdego widocznemi. Żadna mianowicie grupa akcyonaryuszów niema prawa, ani wydawania oddzielnych poza ogólnemi zebraniem uchwał, ani paraliżowania działalności rady zarządzającej; wszelki przeto głos lub zarzut, bądź jednego z nich, chociażby on znaczną liczbę akcyi posiadał, nie jest dopuszczalnym inaczęj, jak na tychże zebraniach. Rzeczzone więc prawa, których zakres i doniosłość wypada bliżęj objaśnić, są ściślej mówiąc, prawami przysługującemi ogólnym zebraniom akcyonaryuszów, albo raczęj, prawami więkkości akcyonaryuszów, biorących udział w tychże zebraniach.

1. Prawo *wyboru* członków rady zarządzającej, jest ściśle złączone z istotą każdęj spółki bezimiennęj, kodeks bowiem zastrzega je wyraźnie, w samém jęj określeniu, stanowiąc: że „spółka bezimienna jest zarządzaną przez pełnomocników czasowych i podlegających odwołaniu ⁴⁾).

¹⁾ §§ 18 i 26 ustawy Tow. drogi Warsz.-Wiedeńskięj, też §§ ustawy Tow. drogi Warsz.-Bydgoskięj, też §§ ustawy Tow. drogi Warsz.-Terespolskięj, §§ 17 i 25 ustawy Tow. drogi Fabryczno-Łódzkięj.

²⁾ § 30 ustaw drogi Wiedeńskięj, Bydgoskięj i Terespolskięj. § 29 ustawy drogi Łódzkięj.

³⁾ § 41 ustaw drogi Wiedeńskięj, Bydgoskięj i Terespolskięj, § 40 ustaw drogi Łódzkięj.

⁴⁾ Art. 31 kodeksu handl.: „la société anonyme est administrée par des mandataires à temps, révocables, associés ou non associés, salariés ou gratuits.“

Tego prawa nie przepomniała uwydatnić żadna z ustaw spółkowych, zastrzegła je zaś najwyraźniej dla dwu przyczyn: Raz dlatego, iż towarzystwo akcyjne, pozbawiające uczestników możliwości postawienia na swém czele tych, których oni za najodpowiedniejszych do zarządzania i kierownictwa poczytują, lub ograniczające ich w tym wyborze, nie miałyby tém samém jednej z głównych oznak, odróżniających spółkę bezimienną od spółek innego rodzaju; nie byłoby przeto tém, czém je założyciele i rząd uczynić zamierzają. Powtóre dlatego, że w tém prawie wyboru, głównie i przedewszystkiém streszcza się rękojmia, dająca akcyonaryuszom pewność, iż ich interes prowadzonym będzie w tym kierunku, jakiego sami pragną, skoro sami wskazują, kto wchodzić ma w skład organu spółki, mającego ją przedstawiać i działać w jej imieniu ¹⁾. Żadna téż organizacya spółki, przeciwna téj kardynalnej zasadzie kodeksowej, nie byłaby możliwą. Sama jednakże potrzeba wytworzyła zwyczaj oznaczania, w ustawach spółkowych, składu rady zarządzającej na pierwsze lata istnienia towarzystwa. Jakoż pierwszy skład téjże rady, nie mógłby w żadnym razie być zostawionym losowi, lub zależeć od wyboru akcyonaryuszów, którzy w chwili początkowania interesu nie są jeszcze wiadomymi, a już w téj chwili potrzeba kierownictwa podejmowanej sprawy jest dla każdego widoczną. Z saméj przeto natury rzeczy musi ono pozostać w ręku tych, którzy projektowane przedsięwzięcie wystudjowawszy, wyjednali koncesyą na budowę drogi i zatwierdzenie ustawy dla towarzystwa, mającego téż budowę prowadzić. Dziwić się więc nie należy, że koncesyonaryusze, będący zarazem założycielami towarzystwa akcyjnego, z konieczności wchodzi w skład pierwszej rady zarządzającej; co znowu zawiesza na pewien czas prawo wyboru, służące akcyonaryuszom.

Ustawy towarzystw dróg żelaznych w Królestwie, uczyniły także téj konieczności zadosyć. Pierwsza rada zarządzająca drogi Łódzkiej złożoną została z samych założycieli ²⁾; pierwsza rada drogi Terespolskiej, z założyciela i z osób, które wraz z nim należały do zawiązania towarzystwa ³⁾. Pomędzy członkami pierwszej rady zarządzającej dróg Wiedeńskiej i Bydgoskiej, wymienionymi wyraźnie w ustawach tychże towarzystw ⁴⁾, spotykamy także nazwiska wszystkich czterech koncesyonaryuszów. Każda przecież z tych ustaw wyraźnie objaśniła, że oznaczenie składu 1-éj rady zarządzającej, jest wyjątkiem na lat pięć od zasady ogólnej, podanej w słowach: „członków rady zarządzającej wybiera ogólne zebranie akcyonaryuszów“ ⁵⁾. Rzeczone ustawy poszły jeszcze dalej: prezes rady towarzystwa Łódzkiego i założyciel

1) § § 18 ustaw dróg: Wiedeńskiej, Bydgoskiej i Terespolskiej, § 17 ustawy drogi Łódzkiej.

2) § 19 ustawy drogi Łódzkiej.

3) § 20 ustawy drogi Terespolskiej.

4) § § 20 ustaw dróg Wiedeńskiej i Bydgoskiej.

5) § § 18 ustaw trzech dróg. § 17 ustawy drogi Łódzkiej.

towarzystwa Terespolskiego, pozostać mieli prezesami przez lat pięć, członkami zaś tych rad przez lat piętnaście. W ustawach zaś dla dróg Wiedeńskiej i Bydgoskiej, zastrzeżono nawet, że każdy z czterech założycieli będzie członkiem rady zarządzającej przez cały czas istnienia towarzystwa (a więc dożywotnim); że prezes rady mianują wyłącznie sami założyciele, inni zaś jej członkowie biorą udział w jego wyborze dopiero wtedy, gdy dwaj założyciele przestaną należeć do jej składu.

Wszystkie te zastrzeżenia, aczkolwiek zamieszczone w ustawach zatwierdzonych przez rząd, nie mają jednakże skuteczności bezwzględnej. Znaczą mianowicie, że rada zarządzająca upoważnioną jest nie poddawać owych członków dożywotnich ponownemu wyborowi; samych wszakże akcyonaryuszów nie pozbawiają ani prawa zażądania i uchwalenia, iż każdy z rzeczonych członków służący mu mandat traci, ani prawa rozporządzenia nowego na jego miejsce wyboru. Inaczej bowiem, główna cecha, a nawet sama istota spółki bezimiennnej byłaby obaloną, czego przecież rząd przy zatwierdzaniu ustawy bynajmniej nie miał na widoku, skoro w samych aktach koncesyi uwzględnił, że zawiązywane towarzystwa akcyjne mają być spółkami bezimiennymi, poddaniemi wszelkim przepisom prawodawstwa ogólnego. Najuczniejsi prawnicy francuzcy nie mają też żadnej pod tym względem wątpliwości. Objasniają oni, że warunek ustawy spółkowej, mianujący administratorów spółki bezimiennnej na cały czas jej trwania, lub uznający ich za nieodwołalnych, byłby warunkiem bezskutecznym ¹⁾. Zdanie

¹⁾ „Dans les sociétés anonymes la clause des statuts, qui nommerait les administrateurs pour toute la durée de la société, serait inopérante. Il en serait de même de celle qui les déclarerait irrévocables“ (*Troplong loco citato*, N. 669, 2).

Inni znowu uczeni piszą: „L'article 31 du code de Commerce décide que la société anonyme sera administrée par des mandataires à temps et révocables; mais si par un article de l'acte de société, on avait nommé des administrateurs pour tout le temps de la durée de la société, cette clause serait-elle valable? Nous ne le pensons pas. En effet, il faut d'abord bien remarquer que toutes les dispositions de la loi relatives à l'organisation des sociétés anonymes sont d'ordre public, car toutes ont pour but de paralyser le pernicieux effet, que pourrait avoir pour les tiers l'abus des privilèges extraordinaires, accordés aux associés et aux administrateurs de ces sociétés; et c'est parce qu'on a regardé tout ce qui a rapport à l'établissement des sociétés anonymes comme intéressant l'ordre public, et afin que l'autorité fut mise à portée de reconnaître si la loi était exactement suivie, qu'une ordonnance royale est exigée pour en autoriser l'existence. Dès lors il est impossible de ne pas reconnaître qu'il n'est pas permis de déroger aux dispositions de la loi relatives à l'organisation de ces sortes de société; une décision contraire violerait ce principe, que l'on ne peut déroger par des conventions particulières aux lois qui intéressent l'ordre public (code napol., art. 6). Cette seule considération suffirait pour démontrer que l'on ne peut par l'acte de société

to, jako oparte na wyraźnej literze kodeksu, ma pełne zastosowanie do ustaw, które są przedmiotem tego studyum. Rzeczzone zastrzeżenia nie są przeto ani obaleniem, ani ograniczeniem prawa wyboru, zawsze w zasadzie przysługującego akcyonaryuszom. Pamiętać jednakże należy, że wykonywanie tego prawa w obec rzeczonych zastrzeżeń nie następuje z urzędu, ale jest zależnym od żądania samychże akcyonaryuszów i od uchwały ogólnego ich zebrania; że więc znajduje swój wyraz w prawie cofnięcia mandatu, o jakim z kolei pomówić nam przyjdzie.

Że każdy z osobna członek rady zarządzającej i cały jej skład ma przedewszystkiem obowiązek najpełniejszą względem ogółu akcyonaryuszów zachować dobrą wiarę, że przeto, żadnych ani bezpośrednich ani pośrednich korzyści i zysków z przedsięwzięcia spółkowego ciągnąć nie powinien; tego dowodzić niema potrzeby, skoro dobra wiara jest podstawą każdej spółki, każdej administracji i każdego pełnomocnictwa. Wybór na członka rady jest właśnie mandatem opartym na zaufaniu do charakteru wybranego, wszelkie zatem z jego strony uchyczenie przeciwko zasadom uczciwości, byłoby widoczną zdradą tego zaufania, i nigdy i nigdzie niepowinno uchodzić bezkarnie. Przy tego rodzaju nadużyciach, nawet stosowanie okoliczności łagodzących winę i karę, musiałyby oddziaływać szkodliwie na moralność publiczną; tém

déroger à la disposition de l'art 31 du code de Commerce, qui veut que la société anonyme soit administrée par des mandataires à temps. Mais d'ailleurs les termes mêmes de cet article prouvent, de la manière la plus évidente, que le législateur a voulu que la qualité de mandataires à temps, pour les administrateurs des sociétés anonymes, fut l'essence de ces sortes de sociétés; car s'il avait voulu seulement laisser aux associés la faculté d'avoir des mandataires à temps, une disposition expresse était inutile; il suffisait de dire que la société anonyme serait administrée par des mandataires; ce mot seul renfermait tout, car tout mandant peut nommer son mandataire, ou pour toute la durée d'une affaire, ou pour un temps déterminé, sans avoir besoin d'une disposition de la loi qui l'autorise à le nommer à temps. Il en est de même, et à plus forte raison, de le révocabilité: elle est aussi une condition essentielle de la société anonyme, et des administrateurs ne pourraient être déclarés irrévocables par les statuts. Nous avons dit, à plus forte raison, parce qu'au moyen du droit de le révoquer, on peut se débarrasser d'un mandataire dans lequel on n'a plus de confiance, même lorsque son mandat a une durée illimitée, tandis qu'il est impossible de se défaire d'un mandataire irrévocable. De ce que les administrateurs des sociétés anonymes sont essentiellement temporaires et révocables, il résulte que si une clause des statuts avait nommé des administrateurs pour tout le temps de la durée de la société, et les avait déclarés irrévocables, cette clause serait nulle, et devrait être regardée comme non écrite" (Malepeyre et Jourdain, N. 363 i 364). Tegoż zdania jest Delangle (*Commentaire sur les sociétés commerciales*, N. 426, 427, 428, 429, 430, 431, 436).

więc bardziej dziwić się można wyrokom wydanym gdzieindziej w sprawach smutnie słynnych, wyrokom pozostawiającym bez odpowiedniego ukarania jawnie wykazane nadużycia dobrej wiary przez administratorów spółek bezimiennych. Oburzenie opinii publicznej było w tych razach najzupełniej usprawiedliwionem; złe bowiem daje o sobie świadectwo społeczność, wśród której można bezkarnie ciągnąć korzyści ze szkodą interesu akcyonaryuszów, dających mandat, i przeistaczać tenże mandat w źródło zysków pełnomocnika.

Drugim organem każdej spółki bezimiennej jest komisya rewizyjna, mająca na celu każdoroczne rachunki dochodów i wydatków spółkowych sprawdzić i odpowiednie sprawozdanie ogólnemu zebraniu akcyonaryuszów przedstawić. Użyteczność a nawet konieczność wytworzenia tego organu spółki jest dla każdego widoczną, skoro rozpoznanie rocznych rachunków nie jest zadaniem ani łatwem, ani dającym się załatwić na posiedzeniu ogólnego zebrania; wymaga więc i czasu i uzdolnienia i pracy ściślejszego składu osób, otrzymujących od całej spółki specjalny mandat do rozpatrzenia w jej imieniu bardzo wielkiej liczby cyfr i dowodów. Że zaś w rachunkach i cyfrach odzwierciadla się zawsze cała działalność spółki i kierunek w jakim jej przedsięwzięcie jest prowadzonem; komisji więc rewizyjnej przysługuje jednocześnie prawo czynienia wniosków do ogólnego zebrania akcyonaryuszów, wniosków mających na celu uznanie lub krytykę tej działalności i tego kierunku.

Członkowie komisji rewizyjnych wybieranymi są corocznie z pomiędzy akcyonaryuszów, przez ich ogólne zebrania ¹⁾.

2. Ustawy spółkowe zastrzegają, iż bez upoważnienia lub zatwierdzenia udzielonego przez ogólne zebranie akcyonaryuszów, rada zarządzająca nie jest władną dopełniać czynności w przedmiotach następujących: *a)* w przedmiotach przedłużenia drogi żelaznej, zbudowania jej odnog, wyjednania nowych nadań, urzędzenia i eksploataowania kopalń, fabryk kruszcowych i wszelkich innych zakładów ²⁾; *b)* w przedmiocie zaciągania długów ³⁾; *c)* w przedmiocie zawierania umów z innymi towarzystwami w celu przedłużenia lub odnowienia nadania, w celu alienacji lub wydzierżawienia drogi, budynków i gruntów należących do towarzystwa, w przedmiocie zmian lub uzupełnień ustawy, albo powiększenia kapitału towarzystwa lub przedłużenia czasu jego trwania; ilekroć zresztą projektowanem jest złączenie towarzystwa w jedno z towarzystwem inną drogi żelaznej ⁴⁾.

¹⁾ § 40 ustawy drogi Terespolskiej. § 39 ustawy drogi Łódzkiej. Ustawy dróg Wiedeńskiej i Bydgoskiej przepomniały o tak ważnej dla akcyonaryuszów rękojmi (§ 40), i dopiero przy zaprowadzeniu późniejszych zmian w tych ustawach, ten błąd został naprawionym.

²⁾ § 26 lit. *g* ustaw Wiedeńskiej, Bydgoskiej, Terespolskiej § 25 lit. *g* ustawy Łódzkiej.

³⁾ § 26 lit. *h* tychże ustaw i § 25 *h* ust. Łódzkiej.

⁴⁾ § 26 lit. *i* tychże ustaw i § 25 lit. *i* ustawy Łódzkiej.

Każda więc zmiana w zakresie działań spółki bezimiennéj lub w jéj organizacyi, i wszelka alienacya lub obciążenie majątku spółkowego, a więc wszystko co na byt téjże spółki oddziaływa lub mogłoby narazić ją na niebezpieczeństwo, nastąpić może nieinaczej, jak za decyzyą ogółu samychże akcyonaryuszów. Uchwały ogólnego zebrania wykonane być mogą dopiero po wyjednaniu zatwierdzenia rządowego ¹⁾.

3. Obowiązek składania rachunków wynika z samej natury każdego pełnomocnictwa. Jestto jedna z wybitniejszych zasad prawodawstwa ogólnego ²⁾. Zasada ta została rozciągniętą do stosunków spółkowych ³⁾. Ustawy dróg żelaznych mieć chcą, iżby rachunki, poparte dowodami usprawiedliwiającymi, składane były corocznie pod zatwierdzenie ogólnego zebrania akcyonaryuszów ⁴⁾.

Prawo rozpoznawania, zatwierdzania lub nieprzyjęcia rachunków, przysługujące ogólnemu zebraniu, stawia akcyonaryuszów w możności, nietylko przeświadczenia się o rzetelności przedstawionych cyfr i o majątkowym stanie spółki, ale zarazem wszechstronnego ocenienia całego kierunku nadanego przez radę zarządzającą przedsięwzięciu spółkowemu. Pod względem rzetelności rachunków, akcyonaryusze muszą polegać na wnioskach własnego swego organu: komisyi rewizyjnéj, wybranéj właśnie w celu sprawdzenia cyfr i dowodów. I w istocie, sprawdzenie to wymagające organicznego opracowania, nie dałoby się wykonać inaczej; niepodobna mianowicie pojąć, iżby pojedynczy akcyonaryusz był w możności stawiać skutecznie zarzuty przeciwko cyfrom i dowodom bez poprzednich nad niemi studyów, których właśnie nie uczynił. Każdy z nich przecież powziąć może dostateczne wyobrażenie o stanie interesów towarzystwa ze sprawozdań i bilansów, których ostateczne rezultaty i cyfry w odpowiednich zestawione grupach, na każde pytanie wyczerpującą dają odpowiedź. Ilekroć zaś z tychże sprawozdań i bilansów ogólne zebranie nabierze przeświadczenia, iż przedsięwzięcie nie jest prowadzoném w takim kierunku, jaki mu właśnie większość akcyonaryuszów nadaćby pragnęła: jest ono wtedy władném, rzezczoney kierunek skrytykowsawszy, zalecić radzie zarządzającéj, w jaki sposób tenże kierunek ma być na przyszłość zmienionym. Rada zarzą-

¹⁾ Jak wyżej.

²⁾ „Tout mandataire est tenu de rendre compte de sa gestion.” Art. 1993 Kod. Nap.

³⁾ L'administrateur doit le compte de sa gestion. Il doit le rendre aux époques fixées par le contrat. Si le contrat garde le silence, les associés peuvent exiger qu'il leur soit présenté à certains intervalles périodiques, (Duvergier nr. 243. Troplong nr. 700, 2^o). „Du principe que l'administrateur de la société anonyme est assimilé au mandataire, naissent les conséquences suivantes:... 4^o il est tenu de rendre compte de sa gestion.” (Delangle nr. 443).

⁴⁾ §§ 26 lit. t i 43 ustaw dróg Wiedeńskiej, Bydgoskiej i Terespolskiej, § 25 lit. t i 42 ustawy Łódzkiej.

dzająca nie stosująca się do wskazówek przez ogólne zebranie uchwalonych, nie otrzymałaby zakwitowania z administracji i zatwierdzenia rachunków.

Jestto więc prawdziwe *veto* służące akcyonaryuszom, wymagające bezwątpienia słuszych powodów (*veto cognita causa*), ale niewątpliwie skuteczne, skoro musiałyby pociągnąć usunięcie się całego składu rady zarządzającej, potępionego przez wyrzeczoną nieufność ogólnego zebrania. A jakkolwiek uznanie iż dotychczasowy kierunek jest wadliwym, nie może udaremnić faktów już dokonanych i nie oddziała na przeszłość, mogłoby przecież stać się dla akcyonaryuszów podstawą do cofnięcia mandatu, gdyby pomimo doniosłości zarzutów, członkowie rady sami nie uznawali za właściwe, od dalszego zarządu się cofnąć.

Że podstęp, albo, co pod względem prawnym wychodzi w skutkach na toż samo, że ciężka wina (*la faute lourde*), stanowiłyby same przez się dostateczny powód do użycia tegoż *veto*, dowodzić niema potrzeby. Jakoż, wzgląd na dobro spółki jest względem dominującym w każdym stosunku spółkowym ¹⁾; a dobra wiara, będąca domyślnym warunkiem każdego kontraktu, powinna szczególnież towarzyszyć działaniom administratorów spółek i stowarzyszeń, i na każdym czynie tychże administratorów kłaść swą wybitną cechę ²⁾. Każdy wreszcie administrator spółki działać winien tak, jak działa pilny ojciec rodziny (*pater familias diligens*); z tej zaś reguły prawnej ³⁾, wynika znowu obowiązek wynagrodzenia szkody zrządzonej spółce przez ciężkie zaniedbanie lub winę.

4. Wyżej już wyjaśniono, że administratorowie spółek bezimiennych są odwoalnymi w każdej chwili, na wniosek akcyonaryuszów, za decyzją ogólnego ich zebrania, wydaną bez potrzeby przytaczania motywów, że zastrzeżenia ustaw spółkowych, zasadzie tej przeciwne, byłyby zawsze bezskuteczni. Jakoż, różnią się pod tym względem spółki bezimienne od firmowych i komandytowych, których administracja jest przedewszystkiem zależną od umowy spółkowej, a dopiero w braku wyraźnej stypulacji, urzadza się wedle zasad o pełnomocnictwie.

Ustanowienie jednego ze spółników administratorem spółki w akcie jój zawiązania, jest jedną ze składowych części samego kontra-

¹⁾ „Chaque associé est tenu envers la société des dommages qu'il a causés par sa faute.” Art. 1850, Kod. Nap.

²⁾ Zasada wprowadzona do Kodeksu Napoleona z prawodawstwa rzymskiego, jeszcze surowszego przeciwko spółnikowi krzywdzącemu innych spółników, skoro skazany na skutek akoyi *pro socio* zwanój, podpadał infamii. (L. 1. *Dig. de his qui not. infam.*). W oracyi Cycerona *pro Roscio, comaedo*. (nr. 6 i 8) czytać można zdania, zawsze skwapliwie powtarzane przez wszystkich prawników: „Recte igitur majores eum, qui socium fefellisset, in virorum bonorum numero non putarunt haberi oportere!” a także: „in rebus minoribus socium fallere turpissimum est.”

³⁾ Art. 1137 Kod. Nap.

ktu spółkowego i właśnie dlatego różni się od zwyczajnego pełnomocnictwa. Ustanowienie to poczytywać należy za główny powód, skłaniający tegoż spółnika do przyjęcia uczestnictwa w zawiązującej się spółce i zarazem za powód wejścia do niej innych jej uczestników.

Administracja spółki nie może przeto być mu odjętą przed terminem zakreślonym umową spółkową i nawzajem, nie jest on władnym, powierzonej sobie administracji opuścić przed tymże terminem, bez obustronnego zawodu spółników. Odjęcie mandatu nie może więc nastąpić inaczej, jak dla powodów bardzo ważnych: w razie udowodnionej małwersacyi, nierzetelności, marnotrawstwa lub złego zarządzania spółką i tylko za wyrokiem sądownym.

Przeciwnie zaś, spółnik ustanowiony administratorem spółki nie w akcie jej zawiązania, lecz przez jej uchwałę, niczem się nie wyróżnia od zwykłych pełnomocników, odwołałych na każde żądanie pełnomocodawcy, którym jest większość uczestników spółki ¹⁾.

Takim administratorem zawsze odwołałym, jest właśnie każdy członek rady zarządzającej ²⁾. W przedmiocie odjęcia mu mandatu, nie może być żadnego sporu przed sądami; uchwała ogólnego zebrania akcyonaryuszów, rzeczony mandat odejmująca, jest ostateczną i natychmiast otrzymuje pełny skutek ³⁾.

5. W przedmiocie odpowiedzialności członków rady zarządzającej za skutki czynów wykonywanego zarządu, rozróżnić należy odpowiedzialność względem osób trzecich, wchodzących w stosunki umowne ze spółką, od odpowiedzialności względem saméjże spółki.

Względem osób trzecich, członkowie rady zarządzającej nie zaciągają żadnej, ani osobistej, ani solidarnej odpowiedzialności, za skutki zobowiązań, jakie imieniem Towarzystwa przyjmują. Ta główna reguła postawiona wyraźnie w kodeksie i w ustawach spółkowych ⁴⁾, jest prostém następstwem zasady, stawiającej spółnika zarządzającego interesami spółki, na równi z każdym pełnomocnikiem, odpowiedzialnym jedynie w razie przekroczenia granic otrzymanego pełnomocnictwa. Nie działając we własnem imieniu, nie może on być pociągany do odpowiedzialności za zobowiązania, jakie przyjął w zastępstwie swego

¹⁾ Art. 1856 Kod. Napol. „Le pouvoir de l'associé chargé de l'administration par une clause spéciale du contrat de société, ne peut être révoqué sans cause légitime, tant que la société dure; mais s'il n'a été donné que par acte postérieur au contrat de société, il est révocable comme un simple mandat.”

²⁾ Por. ur. 4 na str. 38, a także *Troplong* nr. 669 i 671, *Delangle* nr. 428 i nast.

³⁾ „Dans tous les cas, la majorité fait loi.” *Delangle* nr. 437.

⁴⁾ Art. 32 Kod. Han.: „Les administrateurs ne contractent à raison de leur gestion, aucune obligation personnelle ni solidaire relativement aux engagements de la société.” § 28 ustaw. drog. Wied. Bydg. i Terespolskiéj § 27 ust. drogi Łódzkiéj.

mocodawcy, pod warunkiem wszakże, iżby spełniana czynność prawna, w rzeczonych zamykała się granicach. Granicami temi w spółce bezimiennnej są właśnie przepisy ustawy spółkowej.

Gdyby np. rada zarządzająca zaciągnęła pożyczkę bez zezwolenia ogólnego zebrania akcyonaryuszów, a tém samym rzeczona granice przekroczyła, dający też pożyczkę, będąc pozbawionym akcji o zapłatę przeciwko spółce bezimiennnej, miałby prawo żądać téjże zapłaty od członków rady zarządzającej, którzy bez mandatu w imieniu towarzystwa zobowiązanie zaciągnęli ¹⁾).

Odpowiedzialność znowu względem spółki, czyli względem akcyonaryuszów, jest jedynie zastosowaniem ogólnej zasady prawodawstwa cywilnego w materji o szkodzie zrządzonej komukolwiek przez niedbalstwo lub winę; nie istnieje bowiem żaden słuszny powód, dla któregoby spółnik zarządzający interesami spółki, nie miał stać pod tąż zasadą na równi z każdym pełnomocnikiem. Szkada przeto zrządzona towarzystwu akcyjnemu przez podstęp lub winę członków rady zarządzającej, powinna być przez winnych wynagrodzoną ²⁾.

Dochodzenie zresztą zwrotu szkód jest ułatwioném przez poddanie pod sąd polubowny wszelkich sporów, wynikających z interesu spółkowego pomiędzy akcyonaryuszami. Ustawy spółkowe, określając skład i atrybucye tegoż sądu, stanowią zarazem, iż jego wyrok ma być zawsze ostatecznym; spór zaś dotyczący ogólnego i zbiorowego interesu

¹⁾ „Les tiers qui traitent avec une société anonyme doivent savoir que les directeurs ou administrateurs ne contractent pas avec eux personnellement. Ces directeurs ou administrateurs ne sont responsables que de l'exécution de leur mandat; au delà, point d'obligation personnelle (*Troplong* nr. 454).” „C'est aux tiers, quand on leur propose un engagement, de s'enquérir des forces de la société et de mesurer à ses ressources le crédit qu'ils veulent lui faire; c'est à eux, s'ils éprouvent des inquiétudes sur la solvabilité de la société, de réclamer de ses mandataires une hypothèque, un gage, une sureté quelconque. La personne et la fortune de ceux-ci sont à l'abri de toutes poursuites. Mais cette immunité n'est pas sans condition; elle tiens à l'exécution fidèle du mandat. Comme tout autre mandataire, le gérant de la société anonyme n'est inexpugnable que dans son mandat; au delà, c'est pour son compte qu'il agit et s'engage. Si la société refuse de payer et prouve que l'engagement est étranger à ses affaires, il doit payer. Les tiers, auxquels est déniée toute action contre la société, ont un recours légitime contre la personne avec laquelle ils ont traité (*Delangle* nr. 443 i 443).

²⁾ Art. 1992 Kod. Napol.: „Le mandataire répond non seulement du vol, mais encore des fautes qu'il commet dans sa gestion.” Art. 1992 tegoż kodeksu: „Le mandataire est tenu d'accomplir le mandat [tant qu'il en demeure chargé, et répond des dommages-intérêts qui pourraient résulter de son inexécution.” Art. 1850 tegoż kodeksu: „Chaque associé est tenu envers la société des dommages qu'il a causé par sa faute.” §§ ustaw spółkowych zacytowane w przypisku 4 str. 45.

spółki bezimiennój, a podnoszony przeciwko radzie zarządzającej lub któremu z jej członków, nie może być popierany inaczey, jak w imieniu całej spółki, to jest ogółu jej uczestników i na mocy poprzedniej uchwały ich ogólnego zebrania. Ilekroć przeto toż zebranie uznając, iż do sporu niema zasady, upoważnienia swego odmówi; żaden w takim razie akcyonaryusz nie jest władnym wprowadzać aktoratu na drogę sądową we własnym swém imieniu. Uznając znowu zasadę do sporu i udzielając upoważnienie do jego wniesienia, ogólne zebranie obowiązane jest wyznaczyć jednocześnie komisarzy do popierania żądań przed sądem polubownym, w imieniu całej spółki ¹⁾.

X.

Przepisy prawodawstwa ogólnego zestawione w rozdziale poprzedzającym, a przez każdą z ustaw spółkowych uszanowane, a nawet na korzyść akcyonaryuszów rozszerzane, porządkują więc należycie stosunki uczestników spółek bezimiennych z zarządami tychże spółek.

Odróżniają one przedewszystkiem, *czyny zarządzania* majątkiem i interesami spółki, od *czynów rozrządzania* tymże majątkiem i *ogólnego kierunku* nadawanego tymże interesom. Z rozróżnienia tego wynika następstwo, ważne w kwestyach kompetencyi, jaka ogólnym zebraniom akcyonaryuszów i radom zarządzającym wzajemnie przysłuża, to mianowicie, iż ciż akcyonaryusze, ani pojedynczo, ani w ogólnych zebraniach, nie są dopuszczonymi do roztrząsania czynów, wchodzących w zakres zarządzania, jak np. oznaczania liczby urzędników, ich mianowania, przeznaczania dla każdego z nich rodzaju zajęcia, ustanawiania dla nich płacy lub nagród i w ogólności tego wszystkiego, co jest wynikiem prowadzenia eksploatacyi na drodze żelaznej lub administrowania tąż drogą i interesami towarzystwa akcyjnego. Niedopuszczenie akcyonaryuszów do mieszania się w czyny administracyi, jest zasadą opiekuńczą dla każdej spółki bezimiennój; zapobiega bowiem anarchii, któraby musiała wynikać, gdyby oni zamiast poprzestawać na wskazywaniu ogólnego kierunku, w jakim interesa spółkowe prowadzone być mają, pragnęli brać bezpośredni lub pośredni udział w samym prowadzeniu tych interesów i w wykonywaniu zarządu.

Przeciwnie zaś, są oni wszechwładnymi nie tylko pod względem wskazywania ogólnych zasad do prowadzenia interesu spółkowego, ale i w tém wszystkiem, co ma za przedmiot substancją majątku spółki lub rozporządzanie tymże majątkiem, albo wreszcie, co może wpłynąć na zmianę stosunków, przyjętych za podstawę przy zawiązaniu spółki.

Jakoż, wybrani przez samychże akcyonaryuszów członkowie rady zarządzającej, są nie tylko odpowiedzialnymi za szkodę zrzadzoną spółce przez podstęp lub zaniedbanie, i każdoczesnemu ulegają odwołaniu, ale

¹⁾ § 50 ustaw dróg: Wied., Bydg. i Teresp. § 49 ustawy drogi Łódzkiej.

nawet nie bez ich decyzji w rzeczonych przedmiotach przedsięwziąć nie są władnymi.

Na drodze więc prawodawczej uczyniono wszystko czego wymagały: natura stosunku spółkowego, idea sprawiedliwości, wysnute z niej wszystkie zasady kodeksowe i bezpieczeństwo każdego z akcyonaryuszów; dla każdego z nich bowiem stoi otworem bogaty zbiór broni, z którego wolno mu zapożyczać tę właśnie broń, jaką sam wybierze. Ze stanowiska *teoryi* jest to prawdą zaprzeczeniu nie ulegającą.

W rzeczywistości przecież, dzieje się inaczej. Codzienne przykłady dowodzą, iż wszystkie przepisy prawodawstwa, acz doskonałe i wyczerpujące przedmiot, *zabezpieczają interes akcyonaryuszów w tych jedynie razach, gdy u steru spółki stoją ludzie uczciwi i zdolni.* Ilekroć bowiem kierownicy spółki bezimiennój, odłączając własny interes od jej interesu, i nieodróżniając tego co godziwe od tego co niegodziwe, szukają przede wszystkim własnego zysku, dochodzą wtedy do celu łatwiej w spółce bezimiennój niż w udziałowej lub firmowej. Akcyonaryusze, pomimo tylu praw, są w takich razach bezsilnymi. I znowu mocniejszy krzywdzi słabszego w tej, tak samo jak we wszystkich innych dziedzinach działalności ludzkiej, i znowu ujemne strony społeczeństwa, czynią tu rozbrat z zasadą, najpiękniejszą ze wszystkich teoretycznych zasad: ze sprawiedliwością; na tej zaś drodze znajdują wielkie ułatwienie w samęj *naturze* spółek beimiennych, we właściwym a koniecznym ich ustroju.

Mieliśmy już sposobność przytoczyć, iż z wyjątkiem prawa do zwrotu szkody wyrządzonej akcyonaryuszowi osobiście, jak np. odmówienia mu wypłaty dywidendy lub innej należności, wszystkie prawa opisane w poprzedzającym rozdziale, są prawami przysługującymi całej spółce, jej ogółowi, a więc *większości* akcyonaryuszów składających ogólne zebrania. Zasady poddające mniejszość zdaniu większości, nie może pominąć żadne prawodawstwo nigdy i nigdzie, a zwłaszcza w przedmiotach majątkowych i w kwestiach czysto pieniężnych, skoro ta zasada jest jak się rzekło opiekuńczą dla ogółu interesowanych, zapobiegająca anarchii i oratorskim popisom warchołów finansowych, wicherzających na tém polu tak samo, jak wicherzą warchołowie polityczni w dziedzinie społecznej i politycznej.

Że w spółkach dobrze i uczciwie prowadzonych, jednomyślność głosów na zebraniach ogólnych zapewnioną jest zawsze dla każdego wniosku przedstawionego przez radę zarządzającą, temu się dziwić nie należy. Każdy bowiem z głosujących odmawiając swego poparcia tym, którym spółka dobre rezultaty zawdzięcza, dawałby jednocześnie dowód, iż pełnego zaufania do składu rady zarządzającej już nie ma, że przeto zerwanym został główny łącznik między nim a tą radą i nic innego nie pozostaje, jak dany jej mandat cofnąć. Często krytykowany indyferentyzm akcyonaryuszów nie przychodzących na zebrania ogólne, tak dalece, że w samęj rzeczy bez uproszenia ze strony rady, rzad-

ko mogłyby one przyjść do skutku ¹⁾, jest także naturalnym następstwem owego zaufania, i przeświadczenia o dobrém prowadzeniu interesów spółkowych. Spółka bezimienna jest bardziej stowarzyszeniem kapitałów, niż osób do których te kapitały należą. Akcje przechodzą nieustannie z rąk do rąk; ci więc, którzy ten papier posiadają tylko chwilowo, jako środek czasowego oprocentowania swych pieniędzy lub w celu odprzedaży z zyskiem na kursie, nie uważają się zwykle za uczestników spółki, i byle mieli dywidendę lub procent, o niczém więcej słyszeć nie chcą. Że zaś członkowie rady zarządzającej, są uczestnikami spółki na seryo ²⁾, a nawet są zwykle tak zwanymi *wielkimi* akcyonaryuszami, to jest posiadaczami znacznej liczby akcji, rzeczony przeto indyferentyzm łatwym jest do wytłómaczenia. Posiadacz bowiem nie wielkiej liczby akcji wnioskuje, iż obok obowiązków wynikających z przyjętego mandatu, względ na własny majątek umieszczony w akcyach, będąc dla członków rady zarządzającej bodźcem, jest dlań zarazem rękojmią prawidłowego prowadzenia interesów spółkowych.

Że poważny i gruntowny rozbiór przedmiotów przychodzących pod rozpoznanie ogólnego zebrania, byłby pożądanym zawsze i wszędzie: tego dowodzić niema potrzeby. Rozbiór ten wszakże, nieinaczej byłby pożytecznym a nawet możliwym, jak po ścisłych studyach, i przez tych, którzy je podjęli przed posiedzeniem ogólnego zebrania. Nigdzie przecież nie widzimy, iżby *w obec dobrych rezultatów spółkowych*, akcyonaryusze przychodzili na też zebrania, dostatecznie obeznani z rzeczą i do gruntownej dyskusyi należycie przygotowani; i dla tego na podstawie rzeczywistości, przyjąć musimy za regułę, że brak ożywionych rozpraw na zebraniach ogólnych, zgodność poglądu akcyonaryuszów z poglądem rady zarządzającej, słowem cisza i spokój, są najwymowniejszym dowodem dobrego stanu interesów spółkowych i uczciwego ich prowadzenia; że tej ciszy i tego spokoju można winszować przedewszystkiém każdemu z akcyonaryuszów, nie zaś, (jak to niektórzy czynią), wyrzucać im ospałość. Monotonność ogólnych zebrań nie podoba się wprawdzie tym, którzyby wszystko na podobieństwo ustroju państwowego a mianowicie parlamentarnego urządzać pragnęli; interes wszakże pieniężny, będący głównym celem każdej spółki bezimiennnej, z życiem publicznym porównywać się nie da i właśnie na owej ciszy i monotonności najwięcej wygrywa.

¹⁾ Ustawa każdej spółki bezimiennnej oznacza, iż do ważności ogólnego zebrania akcyonaryuszów, potrzebną jest obecność pewnej ich liczby, i *minimum* kapitału akcyjnego, jakie oni reprezentować mają.

²⁾ Ustawa każdej spółki bezimiennnej zastrzega: iż każdy członek rady zarządzającej powinien posiadać na własność, wskazaną przez tęż ustawę ilość akcji; że akcje te złożone być winny w kasie Towarzystwa, i że przez cały czas sprawowania obowiązków członka rady, nie mogą być ani zbywane, ani obciążane.

Wprost przeciwne rozpoczyna się dla akcyonaryuszów zadanie, gdy w łonie rady zarządzającej zagnieździ się spekulacja na własną rękę i szachrajstwo, szkodliwe dla nich zawsze i w końcu doprowadzające do straty funduszów włożonych w przedsięwzięcie spółkowe. I wtedy właśnie przekonać się można, jak dalece zła wiara umieć ubezwładniać najlepiej obmyślane zasady i przepisy prawodawcze. Co zaś smutniejsza, niema na taki stan rzeczy radykalnego środka, gdyż jak nadmieniono, wynika on z ustroju spółek bezimiennych, a głównie z owej zasady *większości głosów*, której przecież obalić niepodobna.

Zarzuty, albo z natury swój doniosłe, albo przez poważną mniejszość obradujących popierane, tylko w tych krajach nie pozostają bez wpływu na postępowanie administratorów spółek bezimiennych, gdzie społeczeństwo nie zatraciło zmysłu moralnego, i gdzie nie zatarło się jeszcze poszanowanie dla opinii publicznej. Pozyskanie bowiem większości głosów dla wszelkiego wniosku, zdaniu rady zarządzającej przeciwnego, jest rzeczą nadzwyczaj trudną, prawie niepodobną; zkład znowu wynika, iż w rzeczywistości, ogólne zebrania akcyonaryuszów zawsze zgadzają się na wszystko, czego od nich też rada zażąda.

Dzieje się to zaś z przyczyn następujących:

1. Rada zarządzająca, ustanawiana przy zawiązywaniu spółki bezimiennej, rozpoczyna swe działania przy bezwarunkowym poparciu nietylko większości, ale nawet wszystkich akcyonaryuszów wogóle i każdego z nich z osobna. Niemoże zaś być inaczej, skoro też rada jest wtedy wyrazem ich woli, a nawet zachętą do wzięcia uczestnictwa w powstającym przedsięwzięciu spółkowym. Zaufanie więc do składu tejże rady jest wówczas najpełniejszym. Późniejsze dopiero jej działania mogą wywołać krytykę i niezadowolenie, a więc owo zaufanie podkopać; nie następuje to przecież bez powodów przeważnych, bez wykrycia faktów nieudolności lub złej wiary. Wykryciu tych faktów staje znowu na przeszkodzie toż samo zaufanie, na którym polegając, akcyonaryusze mało wglądają w sposób prowadzenia interesów spółkowych, a nawet większa ich część zaniedbuje brać udziału w ogólnych zebraniach. Dziwić się więc nie można, iż czyny dla akcyonaryuszów szkodliwe wychodzą zwykle na jaw zapóźno, wtedy mianowicie, gdy już niepodobna zapobiedz złemu. I wtedy wszakże, do świadomości prawdziwego stanu rzeczy przychodzą tylko posiadacze większej liczby akcji, szczególnie zaś ci, którzy w ogólnych zebraniach biorą udział, a przynajmniej roczne sprawozdania i bilanse troskliwie sprawdzają. Przeciwnie zaś ogół akcyonaryuszów, a mianowicie każdy z osobna posiadacz kilku lub kilkudziesięciu sztuk akcji, wyczekuje jedynie chwili zrealizowania kuponu dywidendowego i o nic więcej nie pyta. Najczęściej przeto zaufanie, będące podstawą wyboru członków rady i zatwierdzania wszystkich jej wniosków, dopiero wtedy przeistacza się w niechęć, gdy albo dywidenda jest bardzo niską, albo gdy jej niema wcale. W takich wszakże razach znika jednocześnie ufność do samego przedsięwzięcia spółkowego i wartość akcji codziennie się obniżając,

dochodzi czasami nawet do zera. Wdanie się w sprawę prokuratora sądowego, może wprawdzie doprowadzić do wymiaru kary na oszukujących; oszukanym wszakże nie wynagradza strat poniesionych. W rezultacie przeto, akcyonaryusze źle umieściwszy swą ufność, ponoszą tego skutki, tak samo jak każdy inny mocodawca, który się pomyliwszy w wyborze pełnomocnika, ponosi skutki jego niezdolności lub złej wiary i zdrady. W spółkach bowiem, tak samo jak i w mandacie, bezskutecznymi są wszelkie przepisy prawodawcze, wydawane w celu zabezpieczenia mocdawcy od błędów lub złej wiary pełnomocnika, czyli od następstw nieszczęśliwie uczynionego wyboru, co do którego żadne mieszanie się prawodawcy lub władzy nie jest możliwem.

2. Interesa zresztą każdej spółki bezimiennnej są z natury rzeczy skomplikowane; wszelka więc krytyka sposobu ich prowadzenia musiałaby przedewszystkiem być rezultatem gruntownych studyów, inaczej bowiem każdy zarzut okaże się być powierzchownym, będzie przez radę z łatwością odpartym i jeszcze wzmocni zaufanie większości akcyonaryuszów, zamiast je osłabić. Otóż, w regule ogólnej, żaden z nich nie chce, a często nie jest nawet w możności poświęcić dość potrzebnego na te studia czasu; z kąd znowu wynika, iż każdy poprzestawać musi na tych jedynie wiadomościach, jakie wyczytuje w rocznych sprawozdaniach. Interesu więc spółkowego dostatecznie nie zna.

3. Przypuściwszy wszakże, że jeden lub kilku akcyonaryuszów, z jakiegobądź powodu o losy spółki zaniepokojonych, zada sobie trud rozpoznania prawdziwego stanu rzeczy i odpowiednie zarzuty zechce podnieść na ogólném zebraniu, musi więc wtedy rozwinąć działanie dla rady zarządzającej nieprzyjazne, czyli jaśniej mówiąc, wypowiedzieć jej otwartą walkę. Musi mianowicie i to przedewszystkiem, dążyć w takim razie do zmiany składu rady, a następnie do wywołania aktoratu o wynagrodzenie szkód przeciwko tym, którzy je spółce zrzadzili. Większość głosów na ogólném zebraniu jest dla każdego z tych założeń zarówno konieczną; akcyonaryusz przeto zamierzający wystąpić z zarzutami, powinien się o tę większość wcześniej upewnić, inaczej bowiem straci napróżno czas i pracę. Ale i ze strony rady będą wtedy czynione starania przeciwne; tém pilniejsze, im na żywszą zanosi się walkę, im podniesione zarzuty są ważniejszymi, im większe interesa pieniężne będą wprowadzone w grę.

Każdy atakowany zawsze się broni; starania te są więc wówczas rzeczą bardzo naturalną. Otóż w tej gonitwie o większość głosów na zebraniu ogólném, powołanem do wyrzeczenia między atakującym a radą zarządzającą, wszystkie szanse zwycięstwa będą zawsze po jej stronie. Jakoż pomimo rozgłosu, jaki podobnego rodzaju wojnie zawsze towarzyszy, i pomimo rozbudzonego interesu każdego z akcyonaryuszów, bardzo wielka ich liczba na toż zebranie nie przyjdzie wcale; jedni z racy różnych przeszkód; drudzy jako obojętni: skutkiem czego staną naprzeciw sobie, z jednej strony sami atakujący, z drugiej ci wszyscy, których jakikolwiek wzgląd czyni przyjacielni członków rady,

a przedewszystkiém ona sama. Nawet przy zupełnym upadku spółki i obniżeniu ceny akcji do zera, wielka liczba akcyonaryuszów nie zechce sobie zajmować czasu ogólnemi zebraniem; zwykle bowiem w takich razach odpisują oni na stratę fundusze umieszczone w akcyach i o upadłém przedsięwzięciu słysząc już więcej nie chcą. Że zaś każdemu służy prawo do tyłu głosów, ile przypada na przedstawiony przezeń kapitał, rada zaś składa się zwykle z posiadaczy znacznej liczby akcji; głosowanie więc musi wypaść na jej korzyść.

Istnieją wprawdzie w ustawach spółkowych zastrzeżenia, ograniczające *maximum* głosów dla posiadaczy wielkiej liczby akcji, stanowiące np. iż każde 40 akcji daje głos jeden, żaden zaś akcyonaryusz nie może mieć więcej nad 10 głosów ¹⁾. Zastrzeżenia te przecież nie mogą przeszkodzić, iżby posiadacz kilku tysięcy akcji, po przedstawieniu we własnem imieniu tylko 400 sztuk, nie rozpozyczył reszty swym przyjaciółom w celu, iżby na zebraniu być mogli. Wypożyczanie akcji nie może być nikomu wzbronioném przez żadne prawo; nikt też nie ma tytułu badać zgłaszających się na ogólne zebranie, czy akcje, przez nich przedstawiane, są lub nie są ich własnością, tak samo, jak nikomu nie służy prawo dochodzenia, czy bilet bankowy oddawany w zapłacie, pochodzi lub nie pochodzi z pożyczki. Zapominać bowiem nie należy, iż akcje tak samo jak bilety bankowe są bezimiennemi i że w rzeczach ruchomych, posiadanie jest samo przez się tytułem zupełnie wystarczającym ²⁾.

Niejednokrotnie wprawdzie usiłowano przez odpowiednie przepisy, wzbronić lub utrudnić wstęp pozornym posiadaczom akcji, jedynie przez grzeszność przybywającym na ogólne zebrania (*actionnaires de complaisance*). Usiłowania te przecież okazały się zawsze bezskutecznemi i niewykonalnemi, są bowiem przeciwnemi samej naturze rzeczy i zarazem naturze każdego papieru wystawionego na okaziciela. I rzeczywiście, ani żaden przepis, ani żaden wzgląd nigdy temu zapobiedz nie potrafi, iżby na zebraniach ogólnych nie znajdowali się posiadacze akcji zapożyczonych, czyli ich posiadacze chwilowi, skoro nieuznając za dostateczny dowód *samego faktu posiadania* rzeczy ruchomej, a zwłaszcza papieru publicznego, wystawionego na okaziciela, musiałyby prawodawca nie tylko obalić zasadę zamieszczoną w art. 2279 Kod. Napol., ale co gorsza, stosunki prywatne pozbawić rękojmi, zabezpieczającą każdego, kto rzeczony papier przedstawia przed inkwizycją, usiłującą wglądać w jego interesa i sprawdzać stan jego kieszeni. Je-

¹⁾ Taką zasadę przyjęła ustawa drogi Wiedeńskiej w § 39; ustawy dróg Terespolskiej i Bydgoskiej dają jeden głos każdemu 20 akcyom, a *maximum* głosów dla jednego akcyonaryusza ustanawiają na głosów 10 (§ 39). Zachowując także *maximum*, ustawa drogi Łódzkiej daje jeden głos każdemu 10 akcyom.

²⁾ „En fait de meubles, la possession vaut titre,” art. 2279 Kodeksu Napoleona.

dno więc złe nie dałoby się usunąć bez wprowadzenia drugiego złego, dla stosunków ekonomicznych i prawnych nierównie szkodliwszego.

Dla zapewnienia sobie większości głosów, potrzeba więc rozporządzać większością kapitału spółkowego, kapitału własnego połączonego z kapitałem swych w rozpoczynanej walce stronników lub przyjaciół.

Jak dalece zaś jest rzeczą trudną, dojść do pewności takiego rozporządzenia, mieliśmy dowód z walki stoczonej przed niewiele laty pomiędzy akcyonaryuszami jednej z naszych spółek bezimiennych, z walki podniesionej przez akcyonaryusza mającego wielkie środki pieniężne. Dla zapewnienia większości głosów, skupił on lub zapewnił sobie większą połowę wszystkich akcji przez rzezoną spółkę wypuszczonych. Jest to środek niewątpliwy i jedyny, ale niedostępny w zwyczajnych stosunkach, absolutnie niedostępny dla tych, którzy nie rozporządzają milionami rubli.

Jest więc rzeczą widoczną, iż w każdej spółce bezimienną, główną rękomią dla akcyonaryuszów jest najpełniejsza dobra wiara w postępowaniu tych, którzy kierują przedsięwzięciem spółkowym; ilekroć zaś ta dobra wiara zaczyna słabnąć, jednocześnie i ta rękomią słabnie w odpowiednim stopniu. Ze wszystkich bowiem umów i stosunków kontraktowych, znamy tylko jeden, w którym wpływ akcyonaryuszów: mianowicie zaś kontrakt o spółkę komandytową.

Tylko spółnicy komandytowi są na stanowisku jeszcze trudniejszem, ilekroć w prowadzeniu przedsięwzięcia spółkowego, spółnicy firmowi czynią z dobrą wiarą rozbrat ¹⁾; każdy bowiem inny stosunek ustalony umową lub określony w samym kodeksie *a oparty na zaufaniu jednych do drugich*, daje każdej ze stron i równe prawa i jednakowy wpływ przy samem prowadzeniu interesu i jednakowe stanowisko.

A chociaż na każdym pełnomocnictwie można się zawiąć i trzeba ponieść wszystkie skutki zawodu, ilekroć wybór pełnomocnika z jakiegobądź względu szczęśliwym nie jest, zupełnie tak samo jak mogą się zawiąć i muszą ponieść wszystkie skutki zawodu akcyonaryusze, ilekroć uczynili nieszczęśliwy wybór zarządu spółkowego; przy odjęciu przecież mandatu nie mają oni tej łatwości, jaka przysługuje każdemu innemu mocodawcy, który sam, bez potrzeby starania się o większość głosów, dane przez siebie pełnomocnictwo władnym jest każdej chwili bez żadnych motywów odwołać.

¹⁾ „L'associé commanditaire ne peut faire aucun acte de gestion, ni être employé pour les affaires de la société, même en vertu de procuration,“ Art. 27 Kodeksu handl. „en cas de contravention à la prohibition mentionnée dans l'article precedent, l'associé commanditaire est obligé solidairement avec les associés en nom collectif pour toutes les dettes et engagements de la société. Art. 28 tegoż Kodeksu.

Z przyjemnością przychodzi nam zaznaczyć, że żadna z zestawionych tu uwag nie została wywołaną postępowaniem zarządów, kierujących spółkami bezimiennymi, istniejącymi u nas, a w szczególności towarzystwami czterech naszych dróg żelaznych. I rzeczywiście, nadużycia dobrej wiary i inne zboczenia są dotąd na tutejszym placu wyjątkami bardzo radkimi, surowo potępianymi przez opinią publiczną.

Podejmując wszakże rozbiór zasad rządzących każdą spółką bezimienną i odnosząc je do jej ustroju, czyli zapatrując się na rzeczy przedmiotowo, znaleźliśmy się w konieczności uwydatnić ujemną stronę stanowiska, jaką *sama natura tego stosunku* wytwarza dla akcyonaryuszów, składających swe zasoby w obce ręce. Że zaś tę ujemną stronę umiano *gdzieindziej* z ich szkodą wyzyskać, dla nikogo jnż dziś nie jest to tajemnicą.

Z powyższego ogólnego poglądu wysnuwa się znowu dla każdego akcyonaryusza a zwłaszcza dla posiadacza niewielkiej liczby akcji, ta praktyczna konkluzya, iż ilekroć on w kierunku przedsięwzięcia spółkowego pod jakimkolwiek bądź względem zadowolonym nie jest, a tém samém zaufanie do składu rady zarządzającej zaczyna tracić, *nie pozostaje mu wtedy nic innego, jak akcyje swe niezwłocznie sprzedać*, czyli jaknajspieszniej wyjść z uczesnictwa spółkowego. Że zaś niezadowolenie z rzeczzonego kierunku, niezawsze i niekoniecznie wywołaném bywa złą wiarą po stronie zarządzających; że z drugiej strony, spieniężenie akcji naszych dróg żelaznych na giełdzie nie jest trudném, powyższa więc praktyczna konkluzya może się *wszędzie* stać praktyczną radą dla każdego, kto się w podobném znajdzie położeniu.

ERAZM CIOŁEK,

BISKUP PŁOCKI (1503 — 1522 R.).

DYPLOMATA POLSKI XVI-go WIEKU.

Do rzędu postaci wybitnych a mało znanych w naszych dziejach, należy niezaprzeczenie także żyjący w XVI wieku biskup płocki, Erazm Ciołek. Literatura nasza historyczna posiada wprawdzie kilka, bo aż cztery obszerniejsze prace zajmujące się żywotem Ciołka, atoli żadna z nich nie wyczerpuje nawet w danych warunkach założonego przedmiotu, żadna nie wystawia w należyтім świetle czynów i charakteru biskupa. I nie dziw, bo z owych czterech prac jedna tylko, żeby prawdę powiedzieć, polega na samodzielném badaniu. Jest nią

żywoć Ciołka, pióra hr. Ossolińskiego, w pierwszym tomie jego Wiadomości historyczno-krytycznych pomieszczone. Późniejsi, co o Ciołku pisali: ks. Łętowski w Katalogu biskupów, prałatów i kanoników krakowskich, Julian Bartoszewicz w treściwym, choć pobieżnym artykule o Erazmie, w Encyklopedyi Powszechnój, wreszcie senator, Konstanty Horszowski w ogłoszonej zeszłego roku pracy o Ciołku, podają wprawdzie niektóre nowe szczegóły o życiu biskupa płockiego, atoli w ogólności polegają na monografii Ossolińskiego, od którego zresztą w pojowaniu charakteru swego bohatera znacznie się różnią. Od czasu jednak, kiedy pisał Ossoliński, minęło z górą pół wieku, wydane zostały niektóre zbiory źródeł, które albo całkiem, albo choć w części, nieznanne były Ossolińskiemu, tak że nowe, wedle możności wyczerpujące opracowanie ciekawego z wielu względów życia biskupa płockiego, wydało się rzeczą wcale na czasie, choćby już z tego powodu, że przeciwnik jego, osobistość zresztą od Ciołka o wiele ważniejsza, arcybiskup gnieźnieński, Jan Łaski, doczekał się niedawno źródłowej wyczerpującej monografii.

Niestety, pisząc żywoć Ciołka nie rozrządzaliśmy ani w przybliżeniu tak bogatym materiałem źródłowym, jak profesor Zeissberg w swój pracy o Janie Łaskim. Źródła bowiem, z którycheśmy czerpali nasze wiadomości o życiu i czynach Ciołka, są bardzo skąpe i ubogie tak, że dosyć w każdym razie wydatną postać płockiego biskupa-dyplomaty, tylko w mglistych, niewyraźnych zarysach pozwalają przedstawić. Posiadamy (cztery) mowy Ciołka, przezeń przy różnych sposobnościach miane; posiadamy niektóre listy doń i przezeń w sprawach publicznych i prywatnych pisane, a przez zbieracza Tomicyanów Górskiego w znanym całemu światu zbiorze przechowane, mamy nieliczne bule papieżkie Ciołka się tyżące, parę innych dokumentów, parę wierszy złośliwych a dowcipnych, przez Krzyckiego na Ciołka napisanych, i oto, jeśli dodamy urywkowe o nim wzmianki, porzucane po dziełach współczesnych pisarzy, i kilkanaście podpisów na dyplomatach—oto wszystkie źródła do dziejów Ciołka.

I.

Podania o pochodzeniu i młodości Erazma. Erazm w Akademii Krakowskiej i na dworze wielkiego księcia Aleksandra.

Opis życia Erazma zacząć trzeba od trudnego problematu. „Kto był ten Erazm—mówi Łubieński—zkać się wziął, na czym urósł, nawet w wieku, w którym żył: nie wiadano“¹⁾. Najciemniejszą z całego jego żywota kwestyą jest kwestya jego rodu i pochodzenia. Do

¹⁾ *Series vitae ac res gestae episcoporum Plocensium, Cracoviae, 1642, pag. 154.*

dzis dnia bynajmniej nie rozjaśniona, na późniejsze Erazma losy, a dla zawiści, jaką przypisywane mu nieszlacheckie urodzenie jego obudziło, i na charakter jego nie mało wpływająca, jest ona jakby zwiastunem, prototypem tych wszystkich wątpliwości, jakie w dalszym ciągu jego żywota tak dotkliwie czuć się dają, i już z tego powodu zasługuje, ażeby ją wszechstronnie zbadano.

Rok urodzenia Ciołka nie jest wiadomy: nie ujrzał jednak świata przed r. 1450; a jeżeli wolno ze słów Janockiego, który twierdzi, że umarł w pełni wieku męzkiego ¹⁾, a umarł Erazm w r. 1522, wnosić na czasurodzenia, to się urodził prawdopodobnie dopiero po r. 1460. Za tém przemawia po części przynajmniej już i ten wzgląd, że w r. 1485 zapisał się na Uniwersytet Jagielloński. Urodził się zaś w Krakowie, o czém podług wielostronnych świadectw wątpić nie można ²⁾. Ale na tém też kończą się nasze pewniejsze o pochodzeniu Erazma wiadomości. Pozostaje do rozwiązania na owe czasy bardzo ważna kwestya: czy Erazm był szlacheckiego pochodzenia, czyli też, jak mu wielokrotnie zarzucano, z nieszlacheckich i w ogóle z jakich pochodził rodziców; z tém wiąże się już samo przez się pytanie: jak się Erazm (znany pod dwoma imionami: Erazma i Ciołka) właściwie nazywał, jakiego herbu używał, i jakie były pierwsze jego życia koleje. Zestawimy wszystkie świadectwa, jakimi tylko rozporządzamy, a może nam się uda choćby do prawdopodobnych dojść rezultatów.

Pierwszą wiadomość o rodzie Ciołka mamy przechowaną u Janockiego, a względnie u Górskiego. „Ze wszystkich podań o pochodzeniu Ciołka, wydało mi się, powiada Janocki, najprawdopodobniejszym zdanie Stanisława Górskiego, złożone przezeń w jego *Historji tajnej*, którą przechowywała biblioteka Zaluskich. Podług tój *Historji* uro-

¹⁾ *Janociana sive clarorum atque illustrium Poloniae auctorum macenatumque memoriae miscellae*, tom II, N. XLII, str. 85: *vigente adhuc aetate periit.*

²⁾ Tak przynajmniej twierdzą współcześni w Krakowie zamieszkali: Decyusz i Wapowski, z których przynajmniej pierwszy, jak o tém z pewnością wiemy, osobiście znał Erazma, niejednokrotnie się z nim stykając (Decyusz w dziele: *De rebus Sigismundi primi* pag. 298, w Rotormoa: *Polonicae historiae corpus*, tomie II, zwie go: *Erasmus Szozolek Cracoviensis*. Wapowski w swojej kronice, wydania Szujskiego (*Scriptores rerum polonicarum*, t. II, str. 187: *Erasmus Vitelius de Cracovia*). Podobnie twierdzi Górski Stanisław w przypisach do poezyj Krzyckiego (Rękopis Zakładu narodowego im. Ossolińskich, N. 158, zawierający *Poemata Andreae Cricii episcopi*, str. 112 i 116). To drugie miejsce jest i w *Acta Tomicianae*, tomie V, str. 161, N. CLVII i metryka uniwersytecka krakowska. (Zobacz: *Statuta nec non liber promotionum philosophorum ordinis in universitate studio-sorum Jagellonica*, wydał Józef Muczkowski, Kraków, 1849, na str. 100 i 109 i *Das aelteste Matrikelbuch der Universitaet*, Krakau, wydał dr. Zeissberg (Inebрук, 1872) na str. 63.

dził się Erazm w połowie XV-go wieku w Krakowie, z ojca szlachezca z domu Ciołków i z matki mieszczańki krakowskiej, z którą ojciec jego nieprawy stosunek miłosny utrzymywał. Choć źle wychowany, potrafił jednak wydostać się na wierzch. Chłopięciem będąc, grą na cytrze zarabiał na utrzymanie; przyjemnej postaci, zadziwiał dowcipem, śmiałością ducha, zarówno jak urodą ciała. Przypadek zdarzył, że młodego gęślarza jakiś dworzanin przedstawił Aleksandrowi, podówczas jeszcze wielkiemu księciu litewskiemu. Polubił go książę, nietyle z gęśli, co z dowcipu i urody—mówi Janocki—łożył na niego, posłał do szkół, a zostawszy królem, uszlachcił, obdarzył herbem Sulima i zrobił biskupem płockim¹⁾. Od tegoż Górskiego pochodzą jeszcze inne dwa świadectwa, dotyczące pochodzenia Erazma. W komentarzach do (wymierzonych przeciw Erazmowi) wierszy Krzyckiego, Górski dwukrotnie tak pisze o Erazmie: „Erazm Ciołek, biskup płocki, plebejskiego pochodzenia z Krakowa, obdarzony szlachectwem i do rodu Drya (który jako herbu używa czarnego na dwie połowy podzielonego orła z trzema kamieniami) przybrany, był człowiekiem wyniosłego ducha i t. d.“²⁾; a na inném miejscu te są jego słowa o Erazmie: „Był ten biskup lutnistą, synem księdza z Krakowa; wysokiej postawy i dobrej tuszy, służył na dworze króla polskiego Aleksandra, którego względami się cieszył. Z plebejusza szlachcicem zrobiony, został wyniesiony do biskupiej godności³⁾. Wszystkie te trzy świadectwa, jakkolwiek po części sprzeczne pomiędzy sobą, zgodne są w tém, że Erazmowi nieszlacheckie pochodzenie przypisuje; i u Janockiego bowiem, Erazm, jakkolwiek z ojca szlachezca pochodził, potrzebował uszlachcenia; zresztą Janocki może nie dość wiernie oddał nam treść podania Górskiego, gdyż w inném dziele nie mówi nic o szlachectwie ojca jego, podając natomiast, że się w „nikczemném i nieznaném miejscu“ urodził⁴⁾.

Inne źródło z tego czasu, wprawdzie dokumentalnej powagi, jest jednak tak lakoniczne, że ani *za* ani *przeciw* szlachectwu Ciołka świadczyć nie może. W księdze imatrykulacyi i promocyi Uniwersytetu Krakowskiego, zapisany jest Erazm jako „syn Stanisława Ciołka

1) Janocki: *Nachricht von denen in der hochgraeflich Załuski'schen Bibliothek sich befindenden raren polnischen Büchern*, 5 Theile, część 3, N. I, od str. 8—12 o Erazmie. Nicco odmiennie opowiada młodość Erazma Janocki w swém późniejszym dziele (p. t. *Janociana*, t. II, N. XLII, str. 82—83), którego jednak—ślepy—już sam nie pisał.

2) Wspomniany już rękopis Zakł. Im. Ossolińskich, N. 158, str. 116. Stoi tu: *clari animi homo erat*, Acta Tomiciana, t. V, N. CLVII, str. 161, wydrukowano: *etati animi wyniosłego ducha*.

3) Rękopis Ossol., N. 158, str. 112.

4) *Janociana*, t. II, N. XLII, str. 82: *vili et obscuro loco natus*.

z Krakowa,“ co chyba dowodzi, że ojciec jego zwał się Stanisław ¹⁾. Tak nazywa się on i w innym dokumencie z r. 1502, który zdaje się przemawiać za szlacheckim pochodzeniem Erazma. Oto, gdy piastujący podówczas już wielorakie godności Erazm (był wtedy sekretarzem króla Aleksandra, kanonikiem wileńskim i protonotaryuszem apostolskim), zapragnął w r. 1502 także godności kanonika krakowskiego, a kapituła mimo wyraźne życzenie króla, którego względami cieszył się kandydat, za kanonika przyjąć go nie chciała, podając za powód nieszlacheckie jego pochodzenie i powołując się na zatwierdzone listami królewskimi swoje swobody; złożył Aleksander sąd, przed którym Erazm miał wykazać płonność czynionych mu co do nieszlacheckiego jego urodzenia zarzutów, i tём samém szlachectwo swoje udowodnić. Dokument królewski przy tój sposobności wydany, a zawierający wywód jego rzekomego szlacheckiego pochodzenia, poucza nas o tój sprawie. Podany przez króla na kandydata do kanonii, odrzucony przez kapitułę, gdy mu się ani protekcyja królewska, ani własne zaręczenie dla oporu kapituły, która osobiście przed królem stanęła, na nic nie przydały, zażądał Erazm, żeby mu król dozwolił dowieść prawdziwości słów swoich. Nazajutrz tedy po owém przyjściu kapituły, zasiadł król na zamku krakowskim z swą radą, ażeby wysłuchać zeznań świadków, którzy mieli stwierdzić szlachectwo Erazma. Dowodów innych nie miał. Stanęło świadków ośmiu; kapituła natomiast tą razą nie przyszła, choć ją wzywał do tego król przez swego dworzanina Stynka, podkomorzego łęczyckiego. Dwaj pierwsi świadkowie, Marcin z Wroginowic i Zygmunt Stosz, obaj ludzie rycerskiego stanu, zeznali najpierw „iż znali niegdyś Stanisława, obywatela krakowskiego, mającego dom własny w Krakowie na ulicy św. Anny, postępującego zawsze jako szlachcic, na dowód czego przytaczali, że sami jako goście częstokroć w domu rzeczonego ś. p. Stanisława przebywali, i że wiele razy zdarzyło się im lub innym w roznowie z gospodarzem sprzeczać się i onemu nieszlacheckie pochodzenie wymawiać, zawsze tenże ś. p. Stanisław przy swém szlachectwie obstawał, tak iż każdemu sprzeczącemu się z nim rycerzowi, śmiało się stawiał, odpierając zarzuty i pokazując gotowość krew i życie za to położyć, że jest szlachcicem choć nie bogatym, ale tak dobrze, jak każdy bogaty szlachcic z szlachetnych rodziców szlachetnie urodzonym.“ Zeznanie to ich potwierdził przez posłańca także Piotr Myszkowski, wojewoda łęczycki. Po tych zeznaniach mówili inni świadkowie. Badali ich zaś wyznaczeni do tego przez króla: Stanisław z Chodcza, kasztelan i starosta lwowski, Jan Rabsztyński, marszałek nadworny i starosta sędmirski i Jan Łaski, dziekan wrocławski i kanonik krakowski, który, mimo że był członkiem kapituły, był obecny przy tój sprawie jako (starszy) sekretarz królewski. Złożywszy przysięgę, zeznali tedy: Jan Farurej

¹⁾ *Statuta nec non liber promotionum*, str. 100, i *Das aelteste Matrikelbuch der Universitaet Krakau*, wydał Zeissberg, str. 63.

z Grambowa, dzierzawca z Ossownicy w Bieckiem i Mikołaj Sulima Roski z Rosy w Sandomierskiem, że ojciec Erazma, Stanisław Ciołek, był szlachcicem, synem Stanisława z Grabowa, dziada Erazma, i że obaj używali herbu Sulima. Kacper z Sułowa i Łukasz z Faszczyczewa, herbu Osmoróg (z ziemi krakowskiej) zeznali, że Katarzyna, babka Erazma, po mieczu była z rodziny herbu Osmoróg. Wreszcie Zawisza i Marcin z Wojnarowa, również Krakowianie, z rodu używającego za herb Strzemię, oświadczyli, że prababka Erazma po mieczu, której imienia jednak nie znali, była również szlachcianką tegoż co i zeznający herbu Strzemię. Jan Łaski, sekretarz królewski odczytał te zeznania przed królem i radą, poczem król uznał i potwierdził szlachectwo Erazma, przypuszczając go tém samém do wszelkich godności i urzędów, które tylko szlachcie w Koronie były otworem, z tym dodatkiem, że zniósł na wieczne czasy „wszelki brak szlacheckiego pochodzenia, gdyby się w nim jaki okazał.“ Działo się to w Krakowie r. 1502, 14 kwietnia ¹⁾.

Dokument ten jednak tylko pozornie osłabia wiarogodność świadectw Górskiego i nasze o nich zdanie. Dowody bowiem szlachectwa Erazma w nim zawarte, nie były wcale wystarczające, chociaż im król uwierzył. Pierwsi, główni świadkowie zeznali tylko, że ojciec Erazma napierał się szlachectwa; nie stwierdzając go wyraźnie orzekli, że się za szlachcica uważał, że jednak tak oni sami, jak i inni nieszlacheckie mu pochodzenie zarzucali. Owym dodatkiem zaś, którym znosił (już po dowiedzioném szlachectwie!) wszelkie braki Erazmowego urodzenia (jeśliby się jakie okazały!) stwierdził król wyraźnie, że sam wątpił o prawdziwości przytoczonych dowodów, a tém samém niszczył prawny, choć nie faktyczny skutek wydanego wyroku. Oczywiście do niewątpliwiej prawdy dojść tu trudno, ale wszystko przemawia za tém, że rzecz była podrobioną, świadkowie może przekupieni, słowem cała sprawa oszustwem, na które się odważył ambitny Erazm, licząc na łaskę królewską i widząc, że niema innego sposobu przełamania upor kapituły. Jan Łaski, późniejszy arcybiskup gnieźnieński, a podówczas sekretarz królewski (prawda, że wróg Erazma), który badał zeznania świadków, sam później przed innymi uważał Erazma za „chłto-

¹⁾ „Quem nos quoque ex plenitudine auctoritatis nostrae et superabundanter habilitamus, omnem nobilitatis geniturae defectum, siquis in eo esset abolendum et abolemus tenore praesentium mediante in perpetuum.“ Wyrok jest w Leopolda Huberta *Pamiętnikach historycznych*, tomie I (Warszawa, 1861 r.), od str. 262—267 (wraz z polskim przekładem). Poprawniej odbity jest w rozprawce p. t. „Rozbiór krytyczny biografów Erazma Ciołka, biskupa płockiego...“ przez Konstantego Hoszowskiego (Kraków, 1875, odbitka z trzeciego tomu *Rozpraw i sprawozdan z posiedzeń wydziału historyczno-filozoficznego Akademii Umiejętności w Krakowie*), od str. 20—29.

pa," za wdziercę w szlacheckie towarzystwo ¹⁾, a Filip Beroaldi, sławny humanista i profesor w Bononii, może nauczyciel Erazma, przypisując mu, już biskupowi, w r. 1505 jedno z dzieł swoich, napomyka w liście dedykacyjnym, że urodzenie mało, natomiast wiele cnota i wiedza znaczą ²⁾. Taka też była powszechna o Erazmie tradycja; a dodać należy, że nie wpłynęły na nią świadectwa Górskiego, bo tak jego historia tajna, jak i zbiór poczyi Krzyckiego, do których je dołączył, do dziś dnia spoczywają w rękopisie. Kromer, kreśląc charakter króla Aleksandra, dodaje: „Z Erazmem Ciołkiem, plebejuszem, jak sądzono,... był bardzo poufały i t. d. ³⁾.” U Bielskiego (Joachima) odpadło zastrzeżenie. Pisze on: „W Erazmusie (co go zwano Ciołkiem) biskupie płockim, najwięcej się kochał król Aleksander i biskupstwo mu dał, chociaż nie był szlachcic i tegoż do papieża i cesarza w poselstwie syłał ⁴⁾.” Wiedział Bielski, że Ciołek to herb rodziny szlacheckiej, dlatego biskup plebejusz musiał mu się nazywać właściwie Erazmem, a tylko w przezwisku otrzymać imię Ciołka. Z późniejszych pisarzy może nas tu obchodzić tylko jeden Niesiecki, który w swojej *Koronie polskiej* zaliczył naszego biskupa do herbu Ciołek ⁵⁾. Nie dowodzi to jednak bynajmniej szlacheckiego pochodzenia Erazma, którego późniejszego szlactwa, jako faktu niewątpliwego wcale, przeczyć nie myślimy. Inni heraldycy: Paprocki, Okolski i t. d., nieuważali snąć Erazma za szlachcica, gdyż w swych dziełach nic o nim nie mówią ⁶⁾.

W przeciwieństwie do wiarogodności powyższych świadectw nie zasługują natomiast satyryczne wiersze Andrzeja Krzyckiego o Erazmie na najmniejszą wiarę. Satyra w ogóle może mieć tylko bardzo

1) Acta Tomiciana, t. VI nr. L. *Joannes Laski, archiepiscopus Gnesnensis, Legatus natus et Primas Regni Poloniae Sigismundo Regi Poloniae*; str. 58 *Erasmus... rustico more suo, cui ut ignobili omnia, quantum vis ignobilia, licent.*

2) *Opusculum Philippi Beroaldi de terrae motu et pestilentia cum annotamentis Galeni impressum Bononiae a. 1505*; patrz d-ra Teofila Żebrowskiego „Bibliografią piśmiennictwa polskiego z działu matematyki, fizyki“ (Kraków 1873 r.) str. 70, nr. 203 (Seb. Ciampi nie zna tego dziełka Beroaldiego, przynajmniej nie wymienia go w swęj *Bibliografia critica*).

3) Zobacz dzieło jego: *De rebus gestis Polonorum*, wydanie Kolońskie r. 1589, str. 457,6; księga XXX.

4) Kronika polska Marcina Bielskiego, nanowo przez syna jego Joachima wydana (Kraków 1597) str. 502.

5) Wydanie z r. 1728, tom I, str. 319. Wydanie Bobrowicza (w Lipsku r. 1839) tom III, str. 139. Za Niesieckim idzie Rzepnioki Franciszek w swych *Vitae praesulum Polonorum* (Poznań r. 1762, tom II, stron. 250—251).

6) Lubińskiego, Bużńskiego, Naramowskiego i innych, którzy tu i owdzie napomknęli coś o Erazmie, pomijamy.

małe znaczenie, jako źródło dziejowe; rzuca ona wprawdzie światło na wypadki i daje poznać tendencje i ducha czasu, zwłaszcza z jego ujemnej strony, ale zazwyczaj przeciąża swój pędzel barwami i z tego powodu należy się z nią ostrożnie obchodzić. Szczególnego jednakże, specjalnego do jednostek zastosowania, satyra w badaniu dziejów absolutnie mieć nie może; tu zaś tém mniej, że jest raczej paszkwilem, niż satyrą, że wyszła z pod pióra otwartego nieprzyjaciela Erazma, którego pamięć ile możności jaknajwięcej zożydzić, musiało być naturalnym zadaniem Krzyckiego, zręcznego, zabiegłego, przytém jak wszyscy humaniści wysoce interesownego jego wroga ¹⁾.

¹⁾ Że Krzycki był nieprzyjacielem Erazma, przyznaje biograf jego, wspomniany Górski, który jak twierdzi dr. Węclewski (w rozprawie: „O poezjach Andrzeja Krzyckiego“ w I tomie: *Pamiętnika Akademii Umiejętności w Krakowie*, wydziału filolog. i histor.-filozof., Kraków 1874, str. 223), bezstronnie ocenia charakter Górskiego. Na str. 5 rękopismu Ossolińskich nr. 158 pisze Górski o Krzyckim: *Cum Erasmo Ciolek... odia exercuit*, a nieco niżej powołuje się na źródło, z którego tę i inne wiadomości zacerpnął i do których czytelnika odsyła: *Haec omnia tam in poematibus quam epistolis Criticii et Thomicii inter epistolas regias scriptis, copiose cognosci possunt*. Że zresztą przedmowy na czele poezji Krzyckiego, umieszczonej autorem nie kto inny jest, tylko Górski, to także widać z jego własnych słów na str. 5. *Collecta sunt autem per me Stanislaum Górski etc.* (Porównaj także rozprawę d-ra W. Kętrzyńskiego o Stanisławie Górskim, kanoniku plockim i krakowskim i jego dziełach w VI tomie: *Roczników Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego*, Poznań 1871, na str. 90 i 135, nr. 53). Że Krzycki był nieprzyjacielem Erazma, powiada także Janocki (*Nachricht von raren Polnischen Büchern*, część III, nr. XLII, str. 85), który go głównym jego wrogiem nazywa i więcej niż 100 paszkwilów nań pisać każe. Gdzieby one były, nie wiemy, może nie wszystkie weszły w zbiory jego poezji, a może też Janocki, który się nie zwykł bardzo liczyć ze słowami i często, czyto co naganie czy pochwałę przesadza i tutaj sobie wybryku pozwolił, albo też w ogólności paszkwile Krzyckiego na cały świat pisane (po humanistycznemu!) miał na myśli. Z tych, które myśmy poznali, warto przeczytać, zwłaszcza jeden, napisany przez Krzyckiego z powodu zabiegów, jakie Erazm czynił o kapelusze kardynański podczas swego ostatniego pobytu w Rzymie. (Jest on odbity w *Tomicyanach*, tomie V, pod nr. LXXXV, na str. 82—83). Inny wiersz Krzyckiego na Erazma datuje widocznie z wcześniejszej epoki, kiedy stosunki między nimi niebyły jeszcze tak napięte, bo inaczej trudnoby było pogodzić treść tego wiersza, z owym co dopiero wspomnianym brudnym paszkwilem. Wiersz ten, jeżeli go dobrze rozumiemy, świadczy chlubnie o Erazmie. Jako nigdzie niedrukowany, podajemy go poniżej:

Aquila Erasmi Ciołkonis, Episcopi Plocensis.

„Sim conclusa licet volucris, tamen altius alas

Tuby może było miejsce rozstrzygnąć kwestyą nazwy i herbu Erazma. Aż trzy herby: Ciołek, Sulima i Drya, wiążą się z jego pamięcią, chociaż prawdopodobnie żaden z urodzenia właściwie mu się nie należał. Współcześni znali go pod nazwą Erazma Ciołka, po łacinie Vitelliusa; on sam, jak świadczy Janocki ¹⁾, podpisywał się w listach zawsze tylko Erazmem, unikając nazwy Ciołka, może dla niechęci, jaką to imię wywoływało. Na Uniwersytet krakowski jednak zapisał się, jako Erazm Ciołek lub syn Ciołka ²⁾, w Tomicyanach zwie się najczęściej Erazmem biskupem płockim, i to też jest jedyne pewne jego imię. My atoli nazywać go będziemy utartą nazwą Erazma Ciołka, pod którą też i do potomności przeszedł ³⁾. Król Aleksander, jak widzieliśmy wyżej, obdarzył go herbem Sulima i tego też herbu podług świadectwa Janockiego ⁴⁾, który przeglądał jego listy i dzieła w bibliotece Załuskich, później wyłącznie używał Erazm. Ciołkiem, który jest właściwie herbem a nie nazwą, miał się tylko z początku posługiwać ⁵⁾, herb zaś Drya przypisał mu Górski zapewne przez omyłkę zamiast Sulimy, co się tłumaczy, iż dwa te herby mało co od siebie się różnią ⁶⁾.

Protulit e medio *) libera nulla suo.

Si **) te prisca latet mea laus, antistitis ora

Respice, me dices protinus esse Jovis.“

*) Może zamiast *medio* ma tu być *nido*?

**) W rękopiśmie stoi *sic*, któreśmy na *si* zmienili.

Co było przyczyną waśni między Krzyckim a Erazmem nie wiemy. Dr. Węclewski najnowszy biograf Krzyckiego, radby winę ich zwalić na Erazma, który „szlachcic orłowy,” miał być człowiekiem ambitnym i t. d. (str. 229). To pewna, że obaj byli ludzie z głowami do góry, żądni zaszczytów i sławy; łatwo więc mogli spotkać się z sobą. Krzyckiego usposobienie jest znane. Zastanawia tylko, że Tomicki, z którym Krzycki, siostrzan jego, szedł zawsze ręka w rękę, sprzyjał Erazmowi, a wiadomo, że i za Zygmunta I-go u nas kortery i stronictw nie brakło. (Rękopis Zakładu Im. Ossolińskich, nr. 158, obejmujący poezye Krzyckiego, na str. 117).

1) *Nachricht von... raren polnischen Büchern*, część III, nr. I, str. 11.

2) *Zeissberg: Das älteste Matrikelbuch*, str. 63, *Muczkowski: Statuta nec non liber promotionum*, str. 100, 109.

3) Tak nazywają go Decyusz, Kromer, J. Bielski, Nakielski, Lubieński, Bużeński, Naramowski, Niesiecki, Rzepnicki i t. d.

4) *Nachricht.....*, część III, nr. I, str. 11.

5) *Gessit cornipedem* mówi Krzycki w powyżej wspomnianym paskwilu (*Acta Tomic. t. V*, nr. LXXXV, str. 83).

6) Porównaj B. Paprockiego: *Herby rycerstwa polskiego* (wydanie K. J. Turowskiego, Kraków 1858) na str. 580 i str. 638.

Najprawdopodobniejsza, że Erazm był nieprawdę miłości płodem; dziecko natury, w wzbronionym związku zrodzone, syn księdza, jak chce Górski, może przez jakiegoś obywatela krakowskiego, Stanisława, który się napierał szlachectwa, za syna przyjęty: oto, zdaje nam się okoliczności, które dostatecznie tłómaczą ową niepewność, jaka nad pierwszymi laty Erazma zawisła.

Samo przez się nasuwa się tu pytanie, jakim sposobem biedny plebejusz, za którego go dotąd musimy uważać, potrafił wypłynąć na powierzchnię ówczesnego towarzystwa. Opowiadanie Janockiego, względnie Górskiego przytoczyliśmy już wyżej; podług nich wszystko Aleksandrowi był winien. Polubiwszy go miał tenże zająć się nim, i najpierw do Krakowa, potem do Bononii do szkół posyłać. Z opowiadaniem Górskiego łączymy inne, z wieku XVIII, poniekąd z pierwszym sprzeczne. W wydany r. 1718 w Sandomierzu zbiorze kazań pod tytułem: *Post stary polski dziewięćcio-niedzielny*, autor ich, jezuita Franciszek Kowalicki cytując (w kazaniu: *O cierniowej Jezusa koronie*), przykłady wielkiego wyniesienia się z niskiego stanu, między innymi mówi o Erazmie: „Z prostej obory Erazm Ciołek, wielki dylekt Aleksandra króla polskiego, biskup płocki, częsty do papieża i cesarza poseł, chodził od domu do domu z garnieczkiem, ubogi student po Krakowie. Postrzegła coś niezwyčajnego w mendyczku kucharka i rzecze: z pańskiego stołu przyniosęć półmisek, tylko mi daj słowo, że biskupem nie będziesz. Nie chciał się zakładać; wołał potrawy, niżli pięknej ustąpić nadzieje.” „Może kij ubogi,“ dodaje moralizując pobożny kaznodzieja „wyrósł w pastorał ¹⁾.”

Rozbierzmyż najpierw świadectwo Janockiego. Opowiadania podobne już z natury swęj nie bardzo są wiarogodne. Wiadomo, jak ludzie aż nadto są pochojni wielkie skutki do drobnych, niepokazanych przyczyn odnosić. Tak w istocie rzeczy nie jest; tylko wielkie przyczyny, wielkie rodzą skutki. I Erazma z pewnością ani gra na cytrze, ani jego uroda w świat nie popchnęły, tylko wrodzone zdolności ducha, którym zapewne i chęci niebrakło. Atoli nas co innego razi w opowieści Janockiego. Aleksander został wielkim księciem litewskim dopiero roku 1492, a Erazm już w roku 1485 zapisał się na Uniwersytet Jagielloński, uczęszczał w latach następnych na nauki w téjże akademii i osiągnął stopnie akademickie; to wszystko w czasie, kiedy żył jeszcze ojciec Aleksandra, kiedy ten przeto królewicz, nie miał jeszcze środków dla dogadzania swoim zachciankom i kształcenia aż za granicą biédnego plebejusza. Do tego, sprzeciwia się wiadomości Janockiego owo drugie przez nas przytoczone świadectwo, które, jeźli odliczymy jego retoryczny charakter, w głównych przynajmniej rysach niewątpliwie będzie prawdziwe, bo jak naj-

¹⁾ Zobacz Jochera Benedykta Adama: *Obraz bibliograficzno-historyczny literatury i nauk w Polsce*. Wilno 1840 r., tom II, str. 641 notę asnum. 4633 (na str. 398).

zupełniej przystaje do charakteru i usposobienia Erazma, jak one zkadąd nam się przedstawiają. I na odwrót, podanie to, prawdziwe czy nie, rzuca światło na charakter Erazma. Słowa księdza Kowalickiego malują zarazem dobitnie, co potomność o nim sądziła. Już w pacholeciu miało uderzać coś nadzwyczajnego, dzieckiem jeszcze okazywał ową stanowczość i pewność siebie, które z niego później taki wyniosły, nieugięty charakter zrobiły. Już téż i współcześni widzieli w nim coś, a wyrazem tego widzenia jest właśnie powyżej przytoczone podanie, którego źródła jednak wysledzić nie byliśmy w stanie. Sam fakt w podaniu zawarty jest mniejszej wagi, choć dziwić wcale nie powinien. Był to zwyczaj wcale nie rzadki na owe czasy. Ubodzy uczniowie chodzili od domu do domu, i śpiewaniem, grą na jakimś narzędziu muzycznym lub czemś podobnym, zarabiali na lichą łyżkę strawy, ażeby tylko życie utrzymać. Tacy uprzywilejowani żebracy nazywali się pauprami (ubogimi *pauperes*). Musiano i wówczas cenić i wspierać naukę, bo takich pauprów miało być nie mało; ów śmiały mnich wittenberski, który w parę dziesiątek lat potem tak silnie zatrzęsł niewzruszoną skałą Piotrową, Marcin Luter, nie inaczej w młodości na utrzymanie zarabiał. Jakżeż jednak ulubieniec rozrzućnego Aleksandra, nieodrodnego potomka Jagiellonów, który ich wszystkich w hojności przewyższył, miałby o chleb codzienny żebrąć? Pomylił się Górski, czy tam Janocki, i łaskom Aleksandra, który w istocie później dobrodziejstwami Erazma obsypał, trochę za wczesną porę naznaczył. Ale i on twierdzeniem swym o lutni pośrednio potwierdza podanie w kazaniu księdza Kowalickiego wyrażone.

Niewątpliwą jest rzeczą, że Erazm używał względów u Aleksandra, ale zaskarbił je sobie w niewiadomy sposób dopiero później. Teraz jednak o własnych siłach i sam przez świat się przebiwał. W jesieni r. 1485, zapłaciwszy przepisane czesne, zapisał się na wydział filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego ¹⁾; w dwa lata potem, w połowie grudnia r. 1487 został za (powtórnego) dziekaństwa Jędrzeja z Łabiszyna bakałarzem ²⁾, a w r. 1491, złożony egzamin przed podkanclerzym uniwersyteckim Maciejem z Kobyлина, otrzymał (po Bożem Narodzeniu za dziekaństwa Jakóba z Gostynina) godność magistra ³⁾. Wiszniewski podaje, że kiedy Erazm brał w r. 1487 wieniec bakałarski, krewny i nauczyciel jego Jan Ursyn, sławny podówczas lekarz, prawnik i humanista, miał publiczną mowę pochwalną na cześć jego. Wiadomość ta jednak, jak tyle innych bezmyślnie powtarzana, polega na pomieszaniu tego Erazma z innym podówczas w Krakowie kształcącym się młodzieńcem; niema przeto najmniejszej podstawy ⁴⁾. Podobnie nie-

1) Dr. Zoissberg: *Das älteste Matrikelbuch...* str. 63.

2) Muczkowski: *Statuta nec non liber promotionum...* str. 99—100.

3) Muczkowski: *ibidem*, str. 108—109.

4) Zobacz *Historię literatury polskiej Wiszniewskiego* (tom I, str. 361, tom III, str. 310); za którym poszedł autor *Rozbioru krytycznego Ho-*

prawdą jest, jakoby Erazm kiedykolwiek stopień doktorski osiągnął; niema bowiem o tém najmniejszej wzmianki w księdze promocyi Uniwersytetu, z której powyższe czerpiemy wiadomości. A i później zwykle Erazm zwie się magister, nigdy jednak doktor ¹⁾.

szowski (str. 13). Mowa ta pod tytułem: *Johannis Ursini Medicinae Doctoris oratio de laudibus Erasmi cum Baccalariatus in artibus lauream sumeret*, jest w dziełku tegoż Ursyna pod tytułem: *Modus epistolandi*, wydanem po raz pierwszy w końcu XV wieku w niewiadomem miejscu i czasie (Estreicher: *Bibliografia polska XV i XVI stulecia* str. 205); Janocki (*Janociana*, tom III, numer CLXIII str. 348) twierdzi, że w r. 1496. Wiszniewskiego zwiódł napis tej mowy; nieprzypuszczał bowiem, iżby mogło być równocześnie kilku Erazmów z Krakowa w uniwersytecie. Że tak jednak było, patrz o tém niżej notka 1 str. 65). W mowie wyraźnie choć (wydanie pierwsze bez tytułu, egzemplarz Zakładu Ossolińskich, kart nieliczbowanych 32, mowa na karcie 29, b, 30, a, b, i 31 a), *Adolescens iste (Erasmus) viri clarissimi, Conjugis mee frater ex patre Johannis Dromer et matre Margarita (sic!) parentibus honestissimis progenitus est*. Naturalnie sam przez się upada teraz szczegól dotyczący pokrewieństwa Erazma (naszego) z Ursynem (Wiszniewski, tom III str. 308), jakoteż to co Wiszniewski o rodzicach Erazma mówi (tamże w uwadze), oraz podana przez Janockiego (*Janociana*, tom II, w numerze XLII, str. 82 nast.) wiadomość, że Ursyn był nauczycielem Erazma. Podobnie bowiem jak Wiszniewski musiał się i Janocki zwięść napisem mowy Ursyna.

¹⁾ J. Sołtykowicz wprawdzie, oparty na rękopiśmiennych źródłach (w dziele: *O stanie Akademii Krakowskiej i o publicznych, mianowicie uczonych pracach akademików*, Kraków 1810 r., za nim Jul(ian) B(artoszewicz) w artykule Erazm Ciołek (w *Encyklopedyi Powszechnej* Orgelbranda, tom 8 na str. 358) i Hoszowski (w *Rozbiorze Krytycznym*, str. 13) podają (str 596), że Erazm w r. 1491 za dziekaństwa Jakóba z Gostynina został zaszczycony stopniem doktorskim, jednak w obec księgi promocyjnej upada jego powaga. O stopniu magistra nic nie mówi Sołtykowicz. Bartoszewicz (str. 358) przyjmując za nim doktorat Erazma w r. 1491, twierdzi, iż został mistrzem w r. 1489, i powołuje się w tej mierze na Muczkowskiego, który jednak na wskazanem przez Bartoszewicza miejscu (str. 101 i 109) nic takiego nie podaje. W wspomnianej księdze promocyjnej, oraz w wydanej przez prof. Zeissberga najdawniejszej księdze immatrykulacyjnej Uniwersytetu Krakowskiego, kilkakrotnie jeszcze spotykamy się z imieniem Erazma z Krakowa. Tak w letniem półroczu 1481 r. zapisuje się na uniwersytet dwu Erazmów z Krakowa, *Erasmus Johannis Cromer de Crac.* (Zeissberg, str. 61, nr. 311, jest to ów krewniak Ursyna) i *Erasmus Nicolai Niklin de Crac.* (Zeissberg, str. 62, nr. 312, obok niego dopisek z późniejszego czasu: *doctor in decretis*). W r. 1437 zostaje (równocześnie z naszym Erazmem) bakałarzem *Erasmus Tacitus de Cracovia*, (Muczkowski, str. 100), w r. 1489 znowu *Erasmus de Cracovia* składa egzamin na magistra, a obok niego czytamy dopisek z późniejszego zapewne czasu: *doctor juris canonici praedicator ad S. Barbaram Cracov. et praepositus S. Annae.* (Muczkowski, str. 103). W r. 1494 zostaje bakała-

Z liczby współuczniów Erazma zapisujemy tu ze znajomszych tylko Piotra Tomickiego, sławnego później podkanclerzego i biskupa krakowskiego ¹⁾, i sławniejszego od tego, Mikołaja Kopernika (i jego starszego brata Andrzeja) ²⁾.

Najnowszy żywociarz Erazma pan Hoszowski twierdzi, jakoby Erazm w charakterze profesora miewał publiczne wykłady w Uniwersytecie, w latach mianowicie 1491, 1492 i 1493 ³⁾. W istocie w spisie profesorów i docentów wydziału filozoficznego, którzy wykładali w tych czasach w Uniwersytecie Jagiellońskim, znajdujemy także Erazma z Krakowa ⁴⁾, podobnie napotykamy go także w wykazie lekcji odbywanych w tych latach. Podług tych dokumentów miałyby Erazm wykładać (od zimowego półrocza r. 1491 aż do zimowego półrocza

rzem jakiś piąty Erazm z Krakowa, (Muczkowski, str. 117). Położony obok niego dopisek: *orator magnus episcopus Plocensis Cziolek*, kazałby sądzić, że to jest nasz Erazm; tak jednak nie jest, już z tego powodu, że (biskup) Erazm jeszcze w r. 1487 został bakałarzem, a w r. 1491 magistrem. Jakinże sposobem mógłby drugi raz bakałarzem zostać? Prócz tego do Erazma biskupa dodane jest w obu miejscach, w których się pojawia, Vitellius lub Vitellinus (Muczkowski, str. 99 i 109), na str. 117 stoi tylko *Erasmus de Cracovia*. Jest to tedy widocznie inny Erazm. Podobnie i czterej pierwsi Erazmowie nie są identyczni z biskupem Erazmem. Czwarty z nich (u Muczkowskiego na str. 103), zapewne w błąd wprowadził Sołtykiewicza i Bartoszewicza. Raz jeden jeszcze spotykamy się z imieniem Erazma z Krakowa w tej księdze (na str. 153), lecz tym Erazmem jest znany imiennik biskupa, późniejszy opat mogiński. Już Janocki (*Janociana*, tom II nr. XLII str. 90) przestrzega przed pomieszaniem opata z biskupem. (Zobacz zresztą *Monografią opactwa Cystersów we wsi Mogile*, Kraków, 1867 r. na str. 97—98). Było tedy aż siedmiu Erazmów z Krakowa: 1) Erazm biskup, 2) Erazm syn Kromera, 3) Erazm syn Niklina, 4) Erazm Tacitus bakałarz z r. 1487, 5) Erazm doktor dekretów, proboszcz przy kościele św. Anny, 6) Erazm bakałarz z r. 1494. Późniejszy jest, 7) Erazm opat mogiński; z tych sześciu zupełnie współczesnych. Okoliczność ta była z pewnością jedynym powodem więcej do zamącenia szczyplych o naszym Erazmie wiadomości.

¹⁾ Zapisał się w półroczu letniem r. 1488 (Zeissberg: *Matrikelbuch* str. 64, nr. 364). W r. 1490 został bakałarzem, w r. 1493 magistrem, (zobacz Muczkowskiego *Statuta...* str. 108 i 114).

²⁾ Zapisali się w półroczu zimowem r. 1491, (porównaj *Spicilegium Copernicanum. Zeitschrift des historischen Vereins für Ermland...* von dr. Franz Hipler, Braunsberg, r. 1873 str. 266. Zeissberg: *Matrikelbuch* str. 65, nr. 380).

³⁾ Rozbiór krytyczny str. 13.

⁴⁾ Spis ten podany przez dr. Karlińskiego (w rozprawie: *Żywot Kopernika i jego naukowe zasługi*, Kraków 1873, na str. 41—43), wyjęty jest z tak zwanego *Liber diligentiarum*, rękopisu będącego własnością biblioteki Uniwersytetu Jagiellońskiego.

r. 1493 włącznie) następujące przedmioty: *De generatione* ¹⁾, *Listy Owidyusza Metherorum* ²⁾, *Topicorum* ³⁾, i *Tractatus Petri Hispalensis* ⁴⁾. Miał zaś wykładać jako tak zwany: *Extraneus simplex*, która to nazwa oznacza najniższy z pięciu stopni ówczesnej hierarchii nauczycielskiej na uniwersytetach. Podobnym *Extraneus* był podówczas także Piotr Tomicki i Mikołaj Czepiel ⁵⁾, (później towarzysz Erazma w drugiem jego poselstwie do Rzymu), i w ogóle każdy, co rozpoczął nauczycielski zawód. Tacy *extranei simplices* byli właściwie jeszcze uczniami, mieszkali w bursie lub szkole parafialnej, i nie pobierali żadnej zapłaty; katedry ich, podobnie jak dzisiejsze docentury prywatne zupełnie wolne, były dostępne każdemu, kto tylko zdał egzamin na magistra lub, jeśli z obcego przybywał uniwersytetu, z krakowskimi profesorami z pomyślnym skutkiem odbył dysputę naukową ⁶⁾. Ustęp ten jednakże z życia Erazma wobec okoliczności nieznaney panu Hoszowskiemu, że podówczas było kilku Erazmów na Uniwersytecie, jest dosyć wątpliwy, a ze względu na to, że w księdze promocyjnej Erazm zwie się zawsze Erazmem Vitellusem, w wspomnianym zaś spisie profesorów i wykazie lekcyi zawsze tylko Erazmem z Krakowa, oraz ze względu, iż Erazm dopiero po Bożem Narodzeniu r. 1491 zdał egzamin na magistra, a w témże samém półroczu zimowém miał rozpocząć wykłady, nawet nieprawdopodobny. Pewnych wiadomości o Erazmie nie mamy aż do r. 1495. Janocki wprawdzie twierdzi, że Aleksander zostawszy po śmierci ojca wielkim księciem litewskim, wysłał Erazma do szkół, najpierw do Krakowa, a potem do słynącej podówczas z nauk Bononii, gdzie się Erazm kształcił przez dłuższy czas, mianowicie pod sławnym mistrzem Filipem Beroaldim w filozofii i krasomówstwie ⁷⁾. Już jednak pierwsza część tego świadectwa, jakieśmy wyżej wykazali, jest fałszywą; okoliczność, która i drugiej nie bardzo wierzyć karze. Z mniemanego pobytu jego w Bononii nie wiemy nic a nic. W wspomnianym już dokumencie nobilitacyi Erazma z r. 1502, gdzie w krótkich słowach podane jest jego *curriculum vitae*, jest mowa tylko o naukach, jakie odbywał w Akademii Krakowskiej, o jego obcowaniu z uczonymi ludźmi, co jest ogólnikiem niczego niedowodzącym, i wreszcie o jego prowadzeniu się na dworze przedtém księcia, teraz króla Aleksandra, o pobycie jego w Bo-

¹⁾ Karliński, pierwsza tablica (*tabula lectionum*).

²⁾ Tenże, druga tablica.

³⁾ Tenże, czwarta tablica.

⁴⁾ Tenże, piąta tablica. Wyjęte są one również z owego *liber diligentiarum*.

⁵⁾ Tenże, str. 43.

⁶⁾ Szczegóły te wyjmujemy z cytowanej rozprawy dr. Karlińskiego, str. 7.

⁷⁾ *Nachricht...* część III-cia, nr. I i *Janociana*, tom II, nr. XLII, str. 82—83.

nonii ani słowa, a jest to wzgląd, który przecie za Erazmem przemawiał, przetoby go nie pominięto. Tyle tylko zdaje się być pewnym, że podówczas był w istocie w Bononii sławny humanista, Filip Beroaldi, zwany „Starszym,” dla odróżnienia innego tego samego imienia uczonego, którego potomność „młodszym“ przyznała ¹⁾. Również pewnym jest, że z tym Beroaldim Erazm w istocie zostawał w stosunkach, czego dowodem jest okoliczność, że w r. 1505 Beroaldi przypisywał Erazmowi już biskupowi, protektorowi sztuk i nauk, wspomniane już dziełko zatytułowane: *O trzęsieniu ziemi i morowem powietrzu*. Z listu jednakże, jaki Beroaldi przy tej sposobności do Erazma napisał, i na czele swego dzieła umieścił, nie widać, jakoby tenże był kiedykolwiek jego uczniem ²⁾. Stosunki owe z resztą dadzą się łatwo i w inny sposób wytłómaczyć, bo mógł je Erazm i podczas swego późniejszego pobytu we Włoszech (np. r. 1501) zawiązać. Pobyt tedy Erazma na naukach w Bononii jest również jak i jego nauczycielski w Krakowie zawód rzeczą bardzo wątpliwą ³⁾.

Od r. 1492 przeto możemy powiedzieć, znika nam Erazm na kilka lat z przed oczu. Widzimy go znowu dopiero w r. 1495. Jest on podówczas już przy boku Aleksandra, wielk. księcia litewskiego i pełni obowiązki sekretarza wielko-książęcego. Po raz pierwszy pojawia się w tej godności w Wilnie 28 lipca 1495 r. ⁴⁾, po raz drugi widzimy

¹⁾ Zobacz: Georgii Matthiae Königii: *Bibliotheca vetus en nova*, Aldorf r. 1678), str. 105, oraz *Allgemeines Gelehrten Lexicon* von Christian Gottlieb Jöcher, (Lipsk 1750 część I), str. 1028 i 1029.

²⁾ Patrz wyżej str. 60 notka 2. Urywek z listu Beroaldi'ego jest podany w Żebrowskiego Bibliografii str. 70.

³⁾ Tu może jest miejsce wspomnieć, że Erazm także z znanym historykiem i statystą XV w., Filipem Buonacorsim (Kalimachem) w jakichś stosunkach zostawał; przynajmniej wymienia go znakomity bibliograf, pomiędzy tymi do których pisał listy i poezye łacińskie sławny Toskańczyk. (Zobacz dzieło Sebastjana Ciampi pod tytułem: *Bibliografia critica delle antiche reciproche corrispondenze dell'Italia colla Russia colla Polonia...* 3 tomy, Florencya, 1834—1842 tom I, nr. 55, str. 37). Stosunki te, według wszelkiego prawdopodobieństwa, muszą należeć wyłącznie do czasu, w którym Erazm uczył się w Akademii Krakowskiej. Wyświecone, możeby nie jeden ciekawy szczegół dorzuciły do szczupłego zapasu wiadomości, jaki posiadamy o życiu późniejszego biskupa płockiego, który już w młodości, co i z tego poniekąd wynika, wysoko sięgał. Żeby jednak był jaki wewnętrzny związek między zapatrywaniem i tak zwanemi dziś podobno już stanowczo zakwestyjonowanemi radami Kalimacha a karyerą Erazma, jak to przypuszcza autor dziełka *Trzy rozdziały z historii skarbowości w Polsce*, 1507—1532, (Kraków 1868, na str. 41), na to nie znaleźliśmy w źródłach nigdzie poparcia.

⁴⁾ Zobacz: *Zbiór dyplomatów rządowych i aktów prywatnych*, wydany przez komisją archeolog. wileńską, pod redakcją Maurycego Krupowicza

go w połowie listopada tegoż roku w Grodnie ¹⁾, ostatni raz w téjże godności w Nowogródku, 27 stycznia 1497 r. ²⁾. Piętnastego sierpnia 1499 r. jest sekretarz wielko-książęcy Erazm, już zarazem proboszczem i kanonikiem kapituły wileńskiej ³⁾. Dźwigała go, gdyż nie miał jeszcze święceń kapłańskich ⁴⁾, podług powszechnego świadectwa, łaska księżęca, którą niewiadomym nam sposobem sobie zaskarbił. W r. 1500 spotykamy się jeszcze raz z nim (4 maja) w Wilnie ⁵⁾, poczem w roku 1501 wstępuje w zawód, któremu swe znaczenie zawdzięcza, a w którym go później tak często widzimy. Wysłany przez swego pana, jeszcze wielkiego księcia do Rzymu, rozpoczyna właściwie swą dyplomatyczną karierę.

II.

Pierwsze poselstwo Erazma do Rzymu w roku 1501.—Zostaje biskupem i senatorem w roku 1503.

Początek był niezły. Mowa, którą w imieniu pana swego powitał w Rzymie, 31 marca, Aleksandra VI, powszechnie z upodobaniem została przyjętą; w odpowiedzi na nią, ozdobił papież mowę „własnoręcznie“ godnością protonotaryusza apostolskiego ⁶⁾, a donosząc o tém 8 czerwca wielkiemu księciu, winszował mu takiego mówcy, nie szczedząc słów pochwały mowie, która nie tylko formą i wysłowieniem, ale i głębokością myśli w niej zawartych się odznaczała ⁷⁾.

(Wilno, 1858), nr. XXIII; tudzież A. Z. Helcla: *Starodawne prawa polskiego pomniki*, t. II (Kraków 1870) nr. 4567, str. 958.

¹⁾ M. Wiszniewski: *Pomniki historii i literatury polskiej*, t. IV, str. 97—100. Aleksander nadaje miastu Bielsk na Podlasiu prawo magdeb. *infra octavam s. Martini*, więc między 11 a 18 listopada. Dzień téj oktawy (feria) nie jest podany. Ten sam dokument jest też w polskim przekładzie w Ignacego Daniłowicza: *Skarbiec dyplomatów papieżkich, cesarskich*, t. II, (Wilno 1862) pod nr. 2091, str. 243—244 z (mylną) datą 18 listopada.

²⁾ Helcel: *Starodawne prawa polskiego pomniki*, tom II, str. 958, uwaga.

³⁾ Wiszniewski: *Pomniki historii i literatury polskiej*, t. IV, str. 100—103. Aleksander nadaje pewne wolności Bielskowi podlaskiemu w Wilnie. Przekład polski jest w *Skarbcu* Daniłowicza pod nr. 2112, na str. 251—252.

⁴⁾ Wynika to z Theinera: *Vetera monumenta Poloniae....*, t. II, nr. CCCVIII, str. 287. Zobacz zresztą o tém jeszcze niżej.

⁵⁾ Zobacz nadmieniony już: *Zbiór dyplomatów rządowych i aktów prywatnych*, wyd. przez Krupowicza nr. XXIV.

⁶⁾ Theiner, tom II, nr. CCIXC; na str. 277—279 jest mowa Erazma; na str. 279—280 podana jest treść odpowiedzi Aleksandra VI.

⁷⁾ *Non minus elegantem quam gravem habuit orationem*, pisał papież do w. księcia. Theiner t. II, nr. CCIX, str. 288.

Właściwy cel wysłania Erazma do Rzymu wyrozumić trudno; samo złożenie tak zwaną „obedyencyi” nie mogło nim być, wszakże Aleksander nie dopiero w r. 1501 dostał wielko-książęcego tronu; obedyencyą winien był przed 9-ciu laty złożyć; ta więc przynajmniej nie jedyną była przyczyną, ale obok niej musiały być i inne, których jednakże ze skąpych korespondencyi, zachowanych u Theinera, dociec trudno. Być może, że nią była sprawa powrotu Jana Józefa II Sołtana, metropolity „wszég Rusi i Rusinów“ na łono kościoła katolickiego, o której to sprawie donieśli papieżowi Erazm i inny sekretarz królewski, rusin Jan Sapieha, a w której papież listy pisał do biskupa wileńskiego Wojciecha, gorliwego promotora tég sprawy, 26 kwietnia ¹⁾ i do w. księcia Aleksandra, 6 maja tegoż roku ²⁾. Sołtan, istotnie oświadczył się papieżowi z zamiarem przejścia na katolicyzm ³⁾; ostrożny jednak papież nie wierzył gołym słowom i chciał w tym celu wysłać osobnego nuncjusza dla bliższego rozpatrzenia sprawy na Litwę, od którego to zamiaru tylko przedstawienia Erazma go odwiodły, czynione z obawy, ażeby rzecz ta dla w. księcia moskiewskiego, z którym podówczas właśnie rozpoczęto rokowanie o pokój ⁴⁾, nie stała się powodem do nowég z Litwą wojny. Radził Erazm papieżowi odwlec wysłanie legata aż do chwili, kiedy minie niebezpieczeństwo ze strony Moskwy i wszystko będzie lepiej przysposobione. Aleksander VI usłuchał i sprawa odwlekła się; zdaje się jednak, że ona raczég wspomnianemu już Sapieżu, krewnemu Sołtana, niż Erazmowi było poruczoną ⁵⁾. Możliwa także, że w. książę wysłał Erazma w interesie wyznania swég żony, dawniég w. księżniczki moskiewskiég, Heleny, żeby przedstawić papieżowi, jak daremne były wszelkie usiłowania skłonienia jég do przejścia na katolicyzm. Lecz trzy listy papieżkie w tég sprawie do w. księcia, biskupa wileńskiego i kardynała Fryderyka pisane, nie dozwalają jeszcze żadnego ztąd czynić pewniejszego wniosku. Kurya owszem nie przestała i nadal nalegać, właśnie temi listami, na Aleksandra, żeby spowodował żonę do wyrzeczenia się schyzmy, a w razie oporu, nakazywała mu ją nawet porzucić ⁶⁾. Do tych dwu powodów poselstwa Era-

¹⁾ Theiner, t. II, nr. CCC, str. 280—282.

²⁾ Tenże, t. II, nr. CCCIII, str. 283—284.

³⁾ Zobacz list jego do papieża de dt. Wilno r. 1500, 20 sierpnia (u Theinera, t. II, nr. CCXCVI, str. 207—208), porównaj M. Karamzyna: *Historiją państwa rosyjskiego*, w przekładzie Grzeg. Buczyńskiego 1826, Warszawa, t. VI, str. 268—269).

⁴⁾ Narbutt *Dziejs narodu litewskiego* 1838, Wilno, tom VIII, str. 386 i następane.

⁵⁾ Nadmieniony już list w Theinerze, t. II, nr. CCCIII, str. 283—284, oraz pismo metropolity Józefa do papieża, tamże nr. CCXCVI, str. 268.

⁶⁾ Theiner, t. II. Dwa pierwsze listy nr. CCCX i CCCXI (str. 288—290) noszą datę 8 czerwca; trzeci do kardynała pisany; Aleksander został był tymcza-

zmowego, przybył wreszcie decydujący, podług naszego zdania względ trzeci, wezwanie papieżkie i nadzieja wyjednania u dworu rzymskiego pomocy dla Litwy w jej nieustannych niemal walkach z Moskwą i niewiernymi. W istocie, już w r. 1499 wzywał papież wielkiego księcia, ażeby wysłał posłów z zupełnym pełnomocnictwem do Rzymu, a to w celu umówienia z nimi powszechnej wyprawy tureckiej, z której myślą podówczas właśnie nosił się Aleksander VI ¹⁾. Erazm zaś w mowie, którą powitał papieża, stosownie do (prawdopodobnego) celu swego poselstwa, uwydatnił głównie niebezpieczeństwo, jakie od lat już wielu nieustannie ze strony niewiernych groziło Litwie. Jakoż może skutkiem poselstwa Erazma, jest list Aleksandra VI, pisany 28 kwietnia do Waltera Plestenberga, mistrza kawalerów mieczowych w Inflantach, w którym papież wzywa go do niesienia pomocy w. księciu litewskiemu ²⁾.

Podczas kilkumiesięcznego pobytu w Rzymie, Erazm jak najzupełniej potrafił sobie zjednać względy i łaskę papieża. Świadczy o tém dowodnie indult, jakiego 20 maja Aleksander VI udzielił Erazmowi, który, jakżeśmy powiedzieli, niemiał jeszcze święceń kapłańskich; pozwolił mianowicie, żeby Erazm „od jakiegokolwiek biskupa katolickiego“ i to „w jednym dniu na wszystkie stopnie kapłańskie (więc z przeskoczeniem niższych stopni) był wyświęcony.“ Jako dowód szczególniej swój łaski, dodał papież jeszcze postanowienie, mocą którego wszystkich obecnych na pierwszej mszy, śpiewanej przez Erazma, zwalniał na 25 lat od nałożonych na nich kar czyścowych ³⁾. Ale, pamiętając o sobie, nie zapomniał Erazm o drugich. Korzystając z łaski papieżkiej, wyrobił tak podówczas cenione odpusty, mianowicie dla katedry ⁴⁾, kaplic wileńskich ⁵⁾, dla kościoła św. Anny w Wilnie ⁶⁾ i t. d., co, jeśli zważymy, że odpowiadało potrzebom czasu i że z innych krajów za to rokrocznie tysiące i znowu tysiące do Rzymu płynęły, nie za tak małej wagi rzecz poczytywać będziemy, jak może dziś powszechnie sądzić. Wprawdzie w bulach odpustowych niema wzmianki o Erazmie, lecz nie ulega najmniejszej wątpliwości, że pod-

sem królem polskim 26 listopada (nr. CCCXII, str. 290) kiedy Erazma prawdopodobnie już w Rzymie nie było.

¹⁾ List papieżki de dt. Rzym, r. 1499 (bez bliższego oznaczenia czasu) zobacz w II tomie Theinera, nr. CCXCV, str. 266—267.

²⁾ Theiner, t. II, nr. CCCII, str. 282.

³⁾ Tenże, t. II, nr. CCCVIII, str. 287.

⁴⁾ Theiner, tom II, nr. CCCVI, str. 286. List papieżki nosi datę 15 maja.

⁵⁾ Tenże, t. II, nr. CCCVII, str. 287, tudzież Raynaldus: *Annales ecclesiastici* (Coloniae Agrippinae) tom XIX, pod r. 1501, nr. 40, gdzie jednak list papieżki nosi datę 15 maja (Idus Maji), podczas gdy u Theinera stoi VI Idus Maji, więc 10 maja.

⁶⁾ Tenże, t. II, nr. CCCXIV, str. 291. List pisany 22 maja.

czas jego pobytu w Rzymie wydane, jego tylko wpływowi powstanie swe winny. Nadto uzyskał Erazm dla kapituły wileńskiej ważny przywilej, jakim się dotychczas ze wszystkich kapituł tylko krakowska szczyciła, ekskomunikowania i nakładania kar kościelnych na uwłaczających jęj prawom ¹⁾. W dzień wydania tego przywileju 23 czerwca, mianował osobny list papieżki, zarazem i wykonawców tęj uchwały, którymi zostali biskupi; krakowski, miednicki i łucki ²⁾. Uzyskanie tego ważnego przywileju wynagrodziła kapituła wileńska Erazmowi; darowała mu mianowicie jedną trzynastą część ofiar dobrowolnie w kościele złożonych i postanowiła co tydzień za duszę jego mszę odprawiać ³⁾. Wspomniany już biskup wileński Wojciech, Erazma zapewne pośrednictwu był winien, otrzymane od papieża pozwolenie użycia miecza świeckiego na napastników dóbr duchownych ⁴⁾, a może i ową bulę, którą papież napomniął wielkiego księcia Aleksandra, żeby gorliwemu o wiarę biskupowi wileńskiemu w rozdawnictwie beneficjów duchownych przeszkód nie czynił ⁵⁾. W książkę otrzymał pozwolenie wybudowania klasztoru dla Dominikanów na Litwie ⁶⁾. Prywatnym osobom dostały się niektóre łaski ⁷⁾, a powracających z schyzmy na łono katolickiego kościoła Rusinów, zwolnił papież prawdopodobnie za pośrednictwem Erazma, od obowiązku przystąpienia powtórnego do Chrztu Świętego ⁸⁾. Kiedy wreszcie odjeżdżał Erazm z Rzymu, przywoził ze sobą bogate relikwie wielu świętych, które miały umacniać w wierze świeżo nawróconych Rusinów, chronić i strzedz kościołów,

¹⁾ Tenże, t. II, nr. CCCXV, str. 292—293, 23 czerwca. Porównaj J. I. Kraszewskiego: *Wilno od początku jego do r. 1750.* (Wilno 1841), t. III, str. 18.

²⁾ Tenże, t. II, nr. CCCXVI, str. 293.

³⁾ Czerpiemy wiadomości o tém z listu Juliusza II, który zatwierdził tę darowiznę 9 maja r. 1504 (Theiner, t. II, nr. CCCXXIII, str. 299—300, W *Encyklopedyi kościelnej* ks. Michała Nowodworskiego, ks. W. K., autor artykułu o Erazmie (t. III, str. 392—393) mylnie rozwiązuje datę buli papieżkiej *septimo Idus Maii* przez 7 maja.

⁴⁾ Theiner, t. II, nr. CCCXVII, str. 293—294, tudzież Raynaldus ad a. 1501, nr. 41. Datum 23 czerwca.

⁵⁾ Tenże, t. II, nr. CCCI, str. 282. Datum 28 kwietnia.

⁶⁾ Tenże, t. II, nr. CCCXVIII, str. 294—295. Datum 23 czerwca.

⁷⁾ Zobacz u Theinera, w t. II, nr. CCCIV, str. 284 i nr. CCCV, str. 285—286.

⁸⁾ Theiner, t. II, nr. CCCXIX, str. 295—296, oraz Raynaldus pod r. 1501, nr. 37. Datum 23 sierpnia. Zobacz w tęj mierze jeszcze: *Johannis de Komorowo tractatus cronice fratrum minorum observantie...* (wydal prof. Zeissberg, Wiedeń, 1873. Odbitka z *Archiv für oesterreichische Geschichte*, XLIX Bd, II Hälfte, na str. 119—121). Łukasz Gołębiowski: *Dzieje Polski za panowania Kazimierza, Jana Olbrachta i Aleksandra.* Warszawa, 1848) podaje z innego źródła datę 1 września (str. 535, uw. 92).

dla których były przeznaczone, jak o tém pisze papież w liście z 11 września, który to dzień jest zarazem ostatnim wiadomym nam dniem pobytu Erazma w Rzymie ¹⁾. Wkrótce potem zapewne wrócił do ojczyzny.

Tu ważne tymczasem zaszły zmiany: umarł Jan Albert, a dobrodzień Erazma, Aleksander zasiadł na tronie polskim; Erazm, który dotychczas sprawom litewskim swą czynność poświęcał, został teraz powrócony swój ojczyźnie. Lecz tutaj jednego przedewszystkiém trzeba było warunku, bez którego ni sobie, ni drugim niemożna było usłużyć. Jeżeli na Litwie samowładna wola księcia mogła nie zważać na przywileje i wolności stanów, to w Polsce te przywileje tak były obfite i tak dokładnie określone, że ich żadną miarą niebyło można naruszyć. W Polsce Erazm, choć z otwartą głową i choć samego króla miał za sobą, był niczém, póki nie miał klejnotu szlachectwa. Miało się to wkrótce okazać. Nastąpiła znana sprawa z kapitułą krakowską. Nie pomogły dość wyraźnie objawione życzenia i prośby królewskie; kapituła uporczywie obstawała przy swoich prawach; dla Erazma jednak mimo to sprawa skończyła się nader korzystnie, gdyż prócz kanonii, której mu potem kapituła dłużej odmawiać nie mogła, przyniosła mu jako dar łaski królewskiej to, czego mu brakło, t. j. szlachectwo. Za nobilitacją bowiem, tylko w niezwykłej formie dokonaną, musimy uważać ów wywód szlacheckiego pochodzenia Erazma, o którym już wyżej była mowa, a który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa jest falsyfikatem, jakiego się Erazm dopuścił, ufając łasce królewskiej, już tyle razy doświadczonój. Nie zawiodła go i tą razą; milcząco przyzwolił Aleksander (14 kwietnia r. 1502) na ten nowy rodzaj nobilitacji ²⁾. Oprócz kanonii krakowskiej otrzymał Erazm w tymże r. 1502 jeszcze scholasterią władysławską; przynajmniej znajdujemy go w posiadaniu tej godności już w samym początku następnego roku, kiedy pełniąc po raz ostatni (wiadomy nam) przy królu obowiązek sekretarza, spisywał 3 stycznia 1503 r. dokument, którym Aleksander nadawał swój żonie Helenie zamek Mohylew w posiadanie ³⁾.

¹⁾ Theiner, t. II, nr. CCCXX, str. 297 i Raynaldus pod r. 1501, nr. 39. Porównaj Karamzyna, t. VI, str. 269, uw. 477.

²⁾ Obacz wyżej str. 58 i nast. i uw. 1 na str. 60. Tutaj jeszcze należy dodać, że Tad. Czacki w swój: *Tablicy indygenatów, nobilitacji i t. d.*, „którą wyjął z metryki koronnój (*Dzieła* wyd. Edwarda Raczyńskiego, tom I, Poznań 1843), przytacza Erazma pomiędzy nobilitowanymi r. 1502.

³⁾ Dokument ten można czytać w Balińskiego Michała: *Historji miasta Wilna*, t. II (Wilno, 1837, str. 200—203. Wyciąg polski podał Daniłowicz w *Skarbcu dyplomatów...* pod nr. 2153, na str. 265—266). Tłómacząc datę *feria tertia post festum Circumcisionis Domini*, przez „we wtorek po Trzech Królach,” musiał ją Daniłowicz fałszywie rozwiązać. *Circumcisionis* nie przypada na „Trzech Króli” tylko na „Nowy Rok,” więc dokument został wydany nie jak chce Daniłowicz 10 stycznia, lecz 3 stycznia. W dziele p. t.: *Monografie historyczno-genealogiczne niektórych rodzin pol-*

W tymże r. 1503 został Erazm biskupem.

Umarł biskup władysławski (zarazem wielki kanclerz koronny), Krzesław z Kurozwęk; kapituła zaprosiła na osierocone krzesło dotychczasowego biskupa plockiego, Wincentego Przerebskiego, a na opuszczone przez tegoż biskupstwo plockie wyniósł król Aleksander Erazma; papież Juliusz II (drugi następcą zmarłego tymczasem Aleksandra) potwierdził listem do Erazma 29 listopada 1503 pisany, nominacją królewską i Erazm zasiadł, zapewne jednak dopiero w r. 1504, na stolicy, którą odtąd przez lat 19. aż do swęj śmierci, zajmował ¹⁾. Senator Rzeczypospolitej, wziął Erazm wkrótce potem udział

skich, przez Stanisława Kazimierza Kossakowskiego, (Warszawa, 1872), jest między innymi wydrukowany (tom III N. 4, str. LXXII—LXXIV) przywilej nadany przez króla Aleksandra Janowi Sapieże z datą: 28 listopada r. 1502 „Datum per manus venerabilis Erasmi Vitellii sedis Apostolicae protonotarii, praepositi Vlnensis *Wratislaviensis, Wladislaviensis et Plocensis* ecclesiarum canonici, secretarii nostri“ (oblata w metryce koronnej). Był tedy Erazm władysławskim, a prócz tego jeszcze wrocławskim i plockim kanonikiem, której to ostatniej godności nigdzie zresztą ślad nie pozostał.

¹⁾ Por. Nakielskiego: *Miechovia* (Cracoviae, 1634), str. 563. Pisarz to wprawdzie o wiek cały późniejszy, ale bardzo sumienny i na dokumentach się opierający. List papieżki jest w Theinerze, tom II, Numer CCCXXII, str. 299. Data (r. 1503) jest niewątpliwą, poprawić tedy należy wszystkie inne mylnie r. 1504 podające. Prawdopodobnie Erazm dopiero w r. 1504 objął urząd. Potwierdzenie papieżkie nosi datę 29 listopada, i ztąd poszła owa pomyłka co do czasu mianowania Erazma biskupem. Zresztą możliwy jest ztąd i wniosek odwrotny. Rozdawnictwo biskupstw w Polsce było od czasu znanego z Długosza sporu o biskupstwo krakowskie (za panowania Kazimierza IV Jagiellończyka), wyłączną prerogatywą królów, jak zresztą prawie w całej ówczesnej Europie (zobacz Leopolda Ranke'go: *Die römischen Päbste*, tom I, str. 26—27, drugie wydanie zbiorowe); kapituła mogła żyć sobie tego lub owego, ale kandydata królewskiego, jeżeli zresztą wręcz nie obrażał jęj przywilejów, przyjąć musiała; kurya rzymska miała zastrzeżone prawo potwierdzenia, które nie było niczém więcej, jak tylko bierną aprobatą. O Erazmie wyraźnie podają źródła (Kromer, Bielski i prawie wszyscy późniejsi), że go Aleksander wyniósł na stolicę biskupią; czego nie mówią o innych. Mogłoby to być albo dowodem skwapliwości, z jaką to uczynił Aleksander, albo téż znaczyć, że podług zdania tych pisarzy, nie sobie, ale wyłącznie łasce królewskiej swą godność zawdzięczał. Żeby Erazm już podczas swego pobytu w Rzymie w r. 1501 miał się starać o godność biskupią, niezdaje się bardzo prawdopodobnem.

Szymon Okólski (*Orbis Polonus*, tom III, fol. 296) robi Erazma najpierw biskupem przemyskim, a potem dopiero plockim. Z niego przeszła ta wiadomość do dzieła jezuitę, Adama Ignacego Naramowskiego, p. t.: *Facies rerum Sarmaticarum*, str. 503 (część II, Wilno, 1726). Nie znajdujemy jednak o tém zresztą nigdzie ani słowa. W dzieło Franciszka Pawłowskiego,

w naradach odbytego w marcu 1504 r. sejmu piotrkowskiego i był między innymi obecny przy wydaniu dokumentu, którym 14 marca sierotom po zmarłym w przeszłym roku księciu mazowieckim Konradzie; Stanisławowi i Januszowi nadano ojcowskie ziemie ¹⁾. W listopadzie tegoż roku widzimy go w Krakowie ²⁾, poczem go król wysyła poraz drugi do Rzymu, ażeby tam poparł sprawę, która go odtąd głównie zajmowała, sprawę Polski z dogorywającym już, a jeszcze upornym zakonem niemieckim.

(Dalszy ciąg nastąpi).

p. t.: *Premislia sacra sive series et gesta episcoporum r. l. Premisliensium* (Kraków, 1869) Maciej Drzewicki (biskup przemyski od roku 1503—1513) następuje bezpośrednio po Andrzeju Boryszewskim, posuniętym w roku 1503 na arcybiskupstwo gnieźnieńskie; dla Erazma miejsca między nimi niema. Okólskiego wprowadził w błąd zapewne herb Drzewickiego, Ciołek (Paprocki: *Herby rycerstwa polskiego* wyd. Turowskiego, str. 478), lub też pomyłka Kromera (wyd. kolońskie, str. 457) i Nakielskiego (fol. 572), którzy poprzednika Erazma na plockim biskupstwie, Wincentego Przerebskiego, robią zarazem poprzednikiem Drzewickiego na przemyskim (miał nim być w latach 1503—1509). Błędy ich zbija dowodnie Pawłowski, który czerpał z aktów kapituły przemyskiej, na str. 165—166. Porównaj także wydane w Wiedniu r. 1844 dzieło ks. Franc. Ksawerego Zacharjasiewicza, p. t.: *Vitae episcoporum Premisliensium ritus latini*, str. 38.

¹⁾ *Kodeks dyplomatyczny Księstwa Mazowieckiego*, (wydany przez Tadeusza ks. Lubomirskiego, Warszawa, 1863), N. 276, str. 329. Porównaj mój artykuł: „Przyłączenie Mazowsza do Korony polskiej“ w „Przewodniku naukowym i literackim“ z r. 1875, tom II, str. 858. Czwartego marca podpisany jest Erazm jako świadek przy wydaniu innego dokumentu, orzekającego porównanie ziemi wizkiej pod względem praw i przywilejów z Koroną (Lubomirski: *Kodeks dyplomatyczny*, N. 274, str. 320).

²⁾ Dwunastego t. m. podpisany jest jako świadek na dokumencie, którym Aleksander potwierdził dawniejszy list z r. 1260 (Bolesława Wstydlivego), nadający klasztorowi miechowskiemu cło w mieście Chełmie. Nakielski: *Miechovia*, str. 572—3 i *Codex diplomaticus Poloniae* Ryszczewskiego i Muczkowskiego, t. III (wydany przez Jul. Bartoszewicza), str. 80, N. 37. Do tego to pobytu Erazma w Krakowie wypadnie zapewne także odnieść jego obecność przy wydaniu innego dokumentu, ile nam wiadomo nigdy nie drukowanego. Treść jego podaje Paprocki (*Herby rycerstwa polskiego*, wyd. Turow., str. 108). Potwierdził nim król Aleksander jakiś list Piotrowi Szafrancowi, podkomorzemu nadwornemu i staroście Nowego Miasta Korozyna. Dokument (bez daty u Paprockiego) wydany został w Krakowie.

O SZKOLE MUZYCZNEJ.

(STUDIUM).

PRZEZ

Bolesława Wilczyńskiego.

Założenie: 1) O społecznym znaczeniu szkoły sztuk pięknych w ogóle i muzycznej w szczególności. 2) Zastosowanie do wymagań krajowych. 3) O estetycznym urządzeniu szkoły; jej dwa kierunki, zachowawczy i postępowy, odpowiadający dwu objawom sztuki, klasycznemu i romantycznemu. 4) O dopełnieniach w programie szkolnym. 5) O Warszawskim Konserwatorium: założyciele, fundusze, wykład przedmiotów, zasługi profesorów, wydane patenta. 6) O stosunkach Szkoły Warszawskiej do uczniów, do profesora, oraz o postępowym tych stosunków rozwijaniu.

Charakterystyką nowożytniej epoki jest rozkład inteligencji na liczne, uspecjalizowane kierunki. Zamiast normalnie rozwiniętego człowieka, jak go ukształtowała cywilizacja starożytna, mamy pośród siebie odrębne, wyłączone jednostki, których posłannictwa nie pojmujemy inaczej, jeno przez uogólnioną obserwacyą. Takim jedynie poglądem otrzymujemy wizerunek człowieka, ale już nie w jednolitej osobie, lecz w danej społecznej grupie, więc w zbiorowym mianowniku. Otóż, gdy obszar ludzkiej działalności o tyle zolbrzymiał, że się już nie mieści w jednym mózgowiu, chodzi teraz o to, iżby pojedyncze organa rozumnie i pięknie grupę społeczną składały, iżby nie mitrężyły ruchów przez wzajemne wyłączanie się i zachowały niezbędną do prawidłowego rozwoju harmonią wszystkich dzielności psychicznych. O tej harmonii marzą socyologowie; zanim atoli wytworzą prawa i zdołają przez nie uregulować młode i niesforne nerwy zbiorowego człowieka, zachodzi tymczasem praktyczna potrzeba znajomości ze sobą przedstawicieli rozumu, wyobraźni i uczucia, a témsamém kłaść niejako hamulec na analityczny rozstrój inteligencji i nie dać jej za daleko od pożądaney oddalać się syntezy. W mądrzej Europie roją się

instytucje, niby różnolitych bóstw świątynie; pełno ołtarzy, na których spełnia się wspaniała cześć ducha ludzkiego. Wszakże, lubo tak jest, to jednak aż nadto widoczny pomiędzy ideałami brak spójni żywotnej. Nie stanowią one organicznej całości, nie rządzą hierarchicznie, lecz oligarchicznie. Znać że je przyniosły tradycje, że je czcimy raczej z wrodzonej skłonności, z odziedziczonych popędów, niż gwoli duchowej równowadze. Nie jeden statysta nic nie wie o tém, że istnieje obok niego szkoła etyków, stawiająca ideał dobra wyżej od idei państwowej; nie jeden racjonalista, zamknięty w pracowni, ledwie raczy coś wiedzieć o poezji, o sztukach pięknych, o literaturze, które to rzeczy uważa za zło konieczne, a nie rzadko odepchnąć je radzi jako mitrężne i wrogie żywioły.

Spółeczność nasza chętny udział bierze w ogólnym ruchu cywilizacyjnym; mądrze też sobie radzi, że nie wszystko przyjmuje, co wzbudzony na Zachodzie wulkan ze siebie wyrzuca. Wszakże, sam zachowawczy przymiot nie wystarcza inteligencji, którą nietylko do obrony, lecz do samodzielnego czynu wprawić należy. Zdać sobie sprawę z każdej idei, którą czas przyniosł, przetopić ją na własność, naznaczyć piętnem długotrwałem i oryginalnem, oto powinność nasza. Patrzymy: sztuka na Zachodzie zesłała do ludu, a zamiast dźwignąć ów *demos* do górnych mieszkań swoich, pozostała na dole i tak dalece urok straciła, że bodaj czy ją piękną zwać przystoi. Czyż dlatego nie mamy sztuki uprawić? I owszem, ale nie po dyletancku jak dotąd, nie powierzchownie i płocho, jeno umiejętnie i poważnie. Najprzód tedy zajmijmy się tém, co podwaliną jest sztuki, więc jej szkolną budowę. Wszak posiadamy szkołę muzyczną u siebie, a nawet starannie urządzoną. Ale czy się nią zajmujemy gorliwie i rozsądnie? Czy jeno w przeświadczeniu ogółu rozwiązaniem jest pytanie o ile wyższa uprawa muzyki leży w naturze cywilizacji słowiańskiej? Potrzeba nam tedy obznajmić się bliżej ze znaczeniem ludzkim téj arcyważnej instytucji; trzeba przedstawić jej najodpowiedniejszy rozwój ze strony pedagogiczno-artystycznej i wykazać korzyści, jakie słowiańska społeczność może i powinna tu sobie upatrywać. Naprzeciw takiego studjum wypadnie postawić obrazek, malujący naszą szkołę Warszawską muzyczną, a mianowicie co do podstaw, wydanych owoców i zamierzonego rozwoju.

I.

Spółeczne znaczenie szkoły sztuk pięknych wyjaśnia się przez znaczenie samej sztuki. Historia, zaznaczając pewne chwile nadzwyczajnego wzrostu inteligencji, świadczy oraz, że były one epokami najdoskonalszego rozwoju twórczej działalności. Jedynie z krótkotrwałej lecz dorodnej pełni psychicznej wywiązywała się jednia w tworzywie, to jest współmierność treści z formą. Bo co przez długie wieki poza temi jedniami majacznie świeciło, to już same upadki, więc

bałwochwalstwo piękna, to nieumiejętne i bezkształtne zapęły religijne, to głuchy, próżny ideałów etycznych realizm. Jakoż, przypatrując się z bliska świetlanym epokom sztuki, postrzegamy że ona, stając się najpierwszym objawem natchnień, dając unysłowi najpierwsze o jego własnej dojrzałości przeświadczenie, stawała się oraz rozczynek cywilizacji w najobszerniejszym znaczeniu. Wszystkie odrodzenia dokonały się przez sztukę. Bo w sztuce spoczywa niepojęta siła organiczna, żywy ideał, zawsze niezmienny, nieśmiertelny, nieulegający tym prawom rozkładu, jakim inne ulegają roboty ludzkie. Ani homeryczne pieśni, ani pomniki Akropolu, ani gregoryańska muzyka umrzeć nie mogły, tak jak umarły filozofie, religie i nauki starożytności. Te przeszły we wiedzę następnych pokoleń, lecz nie ostały się jako całości nienaruszone, żywotne. Wszak myśli Arystotelesa, jak wszystkie abstrakcje, snują się po świecie, niby cienie greckiej mądrości, niby oderwane monady dawno pogrzebionego narodu. Nikt też żywota greckiego przez nie nieobaczy. Przeciwnie, Homer wyrzeźbił ciało i ducha swego narodu, a tak cudownie, że na widok stwargłój w eposie Grecyi, zdaje się jakoby ona całą pierśią jeszcze żyła. Urok doskonałego tworzywa uniósł też nie jeden wzrok estetyczny, a całe zastępy grekofilów nie umieją nic szczytniejszego widzieć nad to, co wydała światu na podziw ojczyzna Fidyaszów, Eschilów i Pindarów. Niepowściągnięte na jaźń społeczne oddziaływanie sztuki nie ulega wątpliwości, skoro się zważy, że po wszystkie czasy ona wchodziła w życie przez literaturę i teatr. Otóż, jeśli jej zboczenia wpływają ujemnie, jeśli jednostronne porody fałszują estetyczne i moralne uczucia, to prawowita i czysta sztuka uzacnia poziom myśli i czynów. Sztuki zawsze najdzielniejszą były szkołą dobrego obyczaju, lub bezpośrednim czynnikiem w zepsuciu.

Historia nas poucza, że plody umnictwa pięknego dwiema postępują drogami. Z tych jedna prowadzi od strony życia, a po niej rwąco i gwałtownie wciska się tłum do świątyni piękna. Ów tłum chce koniecznie oblicze swoje w czarownych zwierciadłach oglądać. Sztuka mu to oblicze okazać musi, więc też jego rysy i duchową charakterystykę sobie przyswoi. Drugą drogą postępuje zwolna samąj idei królewski majestat. Pełną jest powagi, jaką nadaje tradycja i umiejtność. Obie te drogi są dla rozwoju sztuki koniecznymi, bo o ile jedna prowadzi do źródeł, gdzie skrzepłość się odmładza, o tyle druga przynosi ze sobą prawa niezłomne, odwieczne, a więc kojarzy przeszłość z teraźniejszością, kształci żywotność przez piękno, zgoła wysoką cywilizacją młode obdarza pokoleme. Otóż pośredniczką na owych drogach, gdzie oba schodzą się pierwiastki, jest szkoła.

Obaczmy to na przykładzie, wyjętym z dzisiejszego stanu umnictwa. Łatwo postrzegać się daje, że w tém umnictwie panuje jakaś nowa, nieznaną wiekom przeszłym idea. Ona wynika z czysto rozumowego kierunku i zdaje się zapominać o historycznych przodowni-

cach swoich. Niczém jój idea piękna, którą grecki uprawił geniusz, i niczém chrześcijańska w średniowiecznym tworzywie idea dobra. Wszystko co żyje dzisiaj, woła o prawdę i niczego, jeno okazania tej prawdy od sztukmistrza wymaga. Nie wolno mu jój osłaniać w czarodziejskie szaty; nie wolno mącić wzroku przedstawianiem świętości, nieistniejących na ziemi. -Więc przyjmujemy ideę prawdy abstrakcyjnie, a ztąd utrwalamy rozejm między pojęciem a wyobraźnią, między rozumem a uczuciem, skazując tém samém sztukę na umysłowe spekulacye, na doktrynerskie obłądy. Najpierwsze wzory całokształtów prawdy sama natura podaje. Lecz nie zna natury, kto ją li fizycznie bada, kto rozpoznaje atomy i molekuly nerwowe, a stracił widok pięknych wymiarów, ruchów i dźwięków. Nie posiada jeszcze ideału prawdy, kto li rozumem naturę pojął, a wymiółł z przed siebie jój krasę i zgłuszył w sercu jój tajemniczą mowę. Tak prawdy religijne, jak społeczne, rozczynią się w nicłość, zatoczą się w bezdenną przepaść myślenia, jeśli im rumieniec życia nie dan. Bo majestat piękna tak wiele w duszy człowieka waży, że nie na jednym miejscu symbol za samą ideę uchodzi. Dziś jeszcze ogół społeczny nie pojmuje inaczej wyznania wiary, jak za pomocą architektonicznych kształtów świątyni, religijnego malowidła i pieśni nabożnej. Czysty rozum potrafi oddzielić ideę od symbolu, ale czy jój tém samém nie ubezwładni, czy nie pozostawi po za żywostanem człowieka, który tysiącem znaków widomych swemu ideałowi ślubował? Widomy a piękny symbol utrzymuje psychologiczną w człowieku równowagę; bez jakowej to równowagi władze się rozpraszają i wzajemnie sobie szkodzą. To téż szkoły zadaniem jest okazać, o ile prawda w sztuce musi być piękną, musi wykwitać z natury i zewnętrznie posiadać przymioty, iżby mogła cześć i podziw budzić, przeświadczenie i wolę kształcić. To samo powiedzieć należy i o innej przymiotowości prawdy, o jój moralnej stronie. Rozumowa analiza przedstawia rzeczy jakimi są, a odrzucając syntezę, nie pojmuje wyższych łączników pomiędzy niemi a duchem ludzkim. Ztąd gwałtem narzuca pojęcie konieczności, przenosząc je ze świata materji w świat ludzkich stosunków. W literaturze i sztukach brzydota moralna jawi się obok zacości jako konieczność, a rozsiada się równoprawnie, roztacza całą potworność swoją. Owszem, zachodni romantyzm, przez swawolne mieszanie czystości z brudem, musiał wpaść w fatalistyczność i moralną odpowiedzialność zdjął niebaczenie z jednostki. Tymczasem przeświadczenia wewnętrzne wskazują nam, że krom przyrodzonych skłonności, są na dnie duszy potęgi uczuć, ciążące przeważnie nie ku temu co jest, lecz ku temu co być może. Więc poszukują ideału dobra, który jest prawdą, o ile sumienie i wolna wola są w duchu ludzkim także prawdą. Sztuce nie przystoi anatomizować bezwzględnie, lecz jedynie w widoku wyższych popędów ducha i moralnych tryumfów jego. Jakoż szkoła okaże, że nietylko piękną, ale i moralną prawdą być musi, iżby oblicze sztuki mogło być wzniosłym, poważnym i budującym.

Jakież posiada szkoła ku temu środki? Niewątpliwym jest, że przeobrażenia w stanie umiarkowania dokonać może jedynie zbiorowa praca ducha. Sztuka przeistoczyć się może, gdy zmiłknie wrzawa umysłów, gdy czas straszliwych zaprzeczeń i walka o byt przeminie, gdy ustali się spokój i pogoda, a anioł natchnienia do duszy zstąpi. Wszakże schodząc do szczegółowych a bezpośrednich działaczy, należy wyznać, że pomiędzy niemi szkoła sztuk pięknych nader ważne spełnia postannictwo. Jój czynność powolna, lecz stanowcza i niepłonna. Szkoła wytacza proces przeciwko onym pretensjom, które chcą widzieć sztukę służebnie uśmiechniętą i bawiącą, lub ją obierają za pośredniczkę w sprawie nędzy i cierpień społecznych. W jój murach odbywa się wtajemniczanie ducha w to wszystko, co przeszłość przez niespożyte tworzywo nam przekazała. Tu przemówi o sobie nagromadzona w muzeach starożytna plastyka i okaże oną ideę piękną, tak doskonale przez grecki geniusz pojętą. Tu się wyjaśni prowansalskie i gotyckie tworzywo, gdzie wzrok obaczy niepokalaną czystość chrześcijańskich ideałów. Tu uroczyście obchodzoną jest pamiątka ślubowin, jakie między grecką a chrześcijańską odbyły się sztuką. Szkoła nie mocną jest wywołać siłę twórczą; lecz stać ją na umiejętność, na trwałe podstawy do gmachu, na wytworzenie niezmiennych praw estetycznych, stanowiących osobny świat wiedzy, a otaczających sztukę zachowawczym puklerzem. Szkoła, utrzymując tradycje, wie dzie jednocześnie twórczość na coraz doskonalsze tory, zdobywa coraz szersze zakresy, oraz reguluje stosunki, jakie wynikają dla sztuki z fizjologicznych i psychologicznych doświadczeń. Czasy odrodzenia tyle ustanowiły szkół, ilu było mistrzów, a każda z nich jęła się pracy gruntownej w celu posięcia umiejętności. Anatomia, statyka i optyka, weszły przeważnie w skład zajęć artystycznych. Z nich się urobiły systemata naukowe, którym zawdzięczamy, że sztuka nie tylko nie zaginęła wśród kataklizmów i nieprzyjaznych jój czasów, lecz rosła w coraz bogatszy zasób technicznej wiedzy, zdumiewającej dzisiaj wytworem, przepychem i nadzwyczajną prawidłowością. Patrz, na płótnie zdają się poruszać tak żywe, tak prawdziwe zjawiska, że nie możesz dość napodziwiać złudzenia. Muzyka dramatyzuje, mówi, a tak dzielnie psychiczne stany wyraża, że wiek nasz słucha jój jako sztuki samodzielnej, że ją wysokim tytułem poetyczności obdarzył. Więc niech przyjdzie chwila natchnienia, niech geniusz potrafi skojarzyć ze sobą idee piękną, dobrą i prawdy, a szkoła niezawodnie wielkie dzieło wyda. Polscy mistrze udarowali nas arcydziełami dla tego, że o ile z jednej strony posiadli umiejętność piękną, o tyle z drugiej romantyzm szkoły dozwolił im dotknąć się serca własnego narodu, oglądać jego ideały moralne, ocenić prawdę historyczną. Szkoła, protestując czynnie przeciwko fałszywym teoryom estetycznym, utrzymuje w społeczności prawdziwą istotę sztuki; kształci uczucie i władze umysłowe, a tём samém niezmiernie szeroko wpływa swe rozgałęzia. Dość

wspomnieć, że sztuka uszlachetnia rękodzielnictwo i powszednie użyteczności życia.

Zwracając uwagę wyłącznie na szkoły muzyczne, spostrzegamy, że te są nieocenioném dobrodziejstwem społeczném. Muzyka powstaje z ludu, a jest mu tyle na pokarm potrzebna, co chleb powszedni. Bez niej on umarłby duchowo i mechanicznym stałby się automatem. Bez niej ogłuchłaby jego poezya, której nie pojmuje inaczej, jeno przez pieśń, przez wyraz muzyczny. Otóż szkoła przejmuje to ludowe tworzywo, a nie zmieniając charakteru, powraca mu je w formie umiejętnej, pięknej. Ztąd kształci twórczość i przywodzi umysł do równowagi z bezwiedném natchnieniem serca. Niezmiernie wiele szkoły już w tym względzie uczyniły. Prawie we wszystkich krajach zachodnich istnieją wielkie stowarzyszenia orfeonowe, które są istotnie chlubą cywilizacji dzisiejszej. Jeszcze uprawa pożytkowej wiedzy stoi u ludu na elementarnym poziomie, a już sztuka wprowadza go na wyższy szczebel oświaty. Człowiek z ludu, równie jak każdy, poszukuje swobody ducha po nużących obowiązkowych wysiłkach. W tém poszukiwaniu, że mu estetycznego brak kierownictwa, upodoba sobie niecie przyjemności, przywiąże się do nałogu i okropnymi wadami skazi swą dobrą naturę. Jakże zacień postępuje szkoła, skoro go uczy smakować w sztuce i należeć czynnie do wyższych towarzyskich swobód! Umiejętność muzyki w krajach zachodnich, nietylko się uprawia w konserwatoryach, mających znaczenie wszechnicy, lecz ztąd rozgałęzia się na mniejsze, pojedyncze zakłady, a wchodzi nawet jako obowiązkowa uprawa do wszystkich, jakie są, szkół gimnazyalnych, rzemieślniczych i elementarnych. To też rozbrzmiewa tu wspaniały głos muzyki co chwila, co krok, że się mimowolnie pytasz, czy prawdą jest co mówią, że to eolskimi dźwięki drgające powietrze żywi sobą pierś zmateryalizowanego społeczeństwa?

Lecz tuż poza zjawiskiem musi być i przyczyna jego. W istocie, fakt ów zdaje się być protestacją przeciw czynnościom rozumu, który swobodny rozlew uczuć w poezyi tamuje. Czysty liryzm nie mógł się ostać wobec filozoficznego kierunku, jaki coraz bardziej poezya przyjmuje. Gdzie znajdziesz najprostszy wyraz miłości, wesela, cierpienia i modlitwy? Słowo okaże się zbyt trzeźwym, zbyt zimnym, a nawet sprzecznym w sobie symbolem. Sztuka muzyczna odziedziczyła całą tę puścinę, która niegdyś, jako synteza słowa i melodyi, była natchnioném pieśniarzem tworzywem. Bo żaden wiek nie uniknie psychicznych odplywów uczucia, bo w źródłisku duchowém są nieustanne żary, utrzymywane przez codzienne stosunki żywota. Toż nie dziw, że o tyle z większém upodobaniem słuchamy hymnu, trenów i erotycznych uniesień w muzyce, o ile przez nią wstępujemy w sferę zupełnie udzielnego uczuciowego idealizmu, który już z trudnością udziela się analitycznej inteligencji naszój przez lirykę słowa. Muzyka zachowała tajemniczą nieokreśloność, gdy słowo coraz wyłączniej symbolem przeświadczenia się staje. Owóż szkoła rozszerza zakres

środków technicznych, iżby sztuka mogła jak największą treść uczuć wyrazić. Co wprowadzono do harmonii i instrumentacji, co od lat stu w formy kompozycji wcielono, o tém nigdy nie mógliby zamarzyć wiek scholastycznej muzyki. Są to nieprzebrane symbole psychicznych stanów, od najsubtelniejszych pulsów, aż do gwałtów potężnych, a wszystkie, wdrażając się coraz stanowczej w uzdolnioną jaźń słuchacza, stają się jego własnością artystyczną. Sztuka muzyczna zdumiewające postępy czyni w przejmowaniu poetycznej charakterystyki życia. Moc bezpośredniego do uczuć przemawiania, oraz władza ujmowania rytmów najskrytszych, stawiają sztukę jako pośredniczkę pomiędzy uczuciem człowieka a wewnętrznym żywostanem natury. Żadna nie zdoła tak prawdziwie, bezpośrednio, a tak pięknie idealizować ruchy i psychiczne harmonie życia. Że krom kompozycyi, wielce ważną jest rzeczą w muzyce strona wykonawcza, dlatego czuwa szkoła nad ukształceniem produkującego artysty. Ten jest wirtuozem społecznym, mistrzem onych uczt olimpijskich, bez których żadna epoka obejść się nie mogła. Dzieje wskazują na pewne nadużycie uczy, na nieumiarkowane zasmakowanie w czarach muzycznych; lecz nie podają ani jednej chwili, gdzieby poezya uczuć na głucho spisywać się miała. Pieśń rozgrzewała bohaterką duszę Greka, śpiew prowansalski uszlachetniał średnich wieków zapały, w śpiewie wynurzyło plemię celtyckie swe narodowe żale. Liryzm nie może być abstrakcyjnie pisanym, bo jego treścią jest czynne, nieustanne strun żywota drganie.

Szkoła muzyczna, na równi z innymi, ustanawia węzeł braterskich zbliżeń pomiędzy narodami Europy. Który z nich potrafił najsamodzielniej wypielegnować formy i uposażyć umiejętność, ten otrzymuje niejako indygenat mistrzostwa, jemu téż z prawa kierownictwo przypada. Przez długi czas obowiązującą dla wszystkich była włoska szkoła, bo nikt inny nie posiadał tajemnicy tak wielce pięknego muzyki uprawiania. Toż jeśli ogólny wzrost nauk i sztuki jednal dla Włochów cześć powszechną, to niemało w téj czci kościelna i dramatyczna muzyka zaważyła. Kantilena i kanon długo jeszcze rozlegały się na Północy, choć już inne monopole dawno były ustały. Dopiero romantyczny kierunek, dopuszczając do sztuki idee plemienne i narodowe, wpłynął na rozluźnienie się form i przepisu szkolnego. Każdemu odtąd wolno swój pierwiastek duchowy, swoje *ja* w sztuce wyrazić. Pomimo to wszakże geniusz szkoły zawsze istnieć musi co do ogólnych zasad, a ma to do siebie, że się narzuca mimowolnie, w imię arystokratycznej natury, jaka inteligencyą ludzką cechuje. Dopóki naród nie zdołał wyrobić własnego piękna, lub się dał przez współubieganie prześcignąć, dopóty uznawać musi estetyczne prawa tego, kto je najdoskonalej rozwinąć umiał. Francuzi, pomimo strasznego antagonizmu, w jakim żyją z Niemcami, uderzyli czołem przed geniuszem ich szkoły, lubo to im nie przyszło bez trudu i bez walki. Zwyciężyły wyższe pobudki estetyczne, a te wiele zapewne się przyczyniły, że nad zawziętością plemienną, o ile jej nie rozżarzały polityczne niesnaski,

brało górę owo uczucie ludzkie, braterskie, którym się naród francuzki odznaczał. Za pośrednictwem szkoły mieszają się ze sobą rozliczne style, a to tak dalece, że częstokroć w jednem dziele sztuki uderza różnolicy ich związek. Style włoskie, francuzkie, flamandzkie i niemieckie, wiązały się ze sobą nie rzadko. Eklektyzm takowy, zdarzający się w dziejach sztuki jako przejście pomiędzy oryginalnością a jałową pracą, jest zarazem chwilą międzynarodowej łączności, chwilą udzielania sobie dostatków duchowych.

Oceniając społeczną szkoły działalność, spostrzegamy, że jedynie za jój sprawą utrzymuje się związek z mistrzostwem najodleglejszych czasów. Wielkie tego mistrzostwa dzieła zawierają w sobie ideę, której panowanie przeminęło, lecz której piękność i szczytność sztuka nieśmiertelniła. Czém obraz Belliniego lub psalm Palestriny przemawia, tego żadna nie poda opowieściowa tradycya. Tam taka szczytność natchnienia, taka jasność widzeń, że się przenosisz duchem wśród ludzi, co przez sztukę umieli niebo na ziemi stwarzać. Toż w historycznym szeregu dzieł owych śledzisz przeobrażenia idei, oraz niepojęte jój wcielenia podziwiasz. Bo uważ np. mistrzostwo Händla, Haydna i Mozarta. Wszak tu żywcem przemawia jeszcze ów błogi spokój i czystość religijnego natchnienia, choć mistrze żyją wśród burz i straszego zamętu uczuć. Idea przekradła się przez styl, przez pielęgnowaną w szkole umiejętność, a odbiła się nietylko w kościelnych, lecz nawet w ich świeckich utworach. Kto wie jak oddalone idee wcielały się jeszcze w sztukę, kto wie jakie połączenia odbęda się w świecie artystycznym, pierwój nim je dokonać zdoła naukowa szkoła! Nad rzeczywistém spełnieniem idealnych skojarzeń, jakie Goethe i Mickiewicz w poezyi przedstawili, długo zapewne społeczności pracować wypadnie.

Zastosowując powyższe uwagi do potrzeb naszego kraju, należy przedewszystkiem dotknąć téj prawdy, że umiejętności, mające na celu kształcenie władz twórczych, nieziniernie ważne miejsce w systemie szkolnictwa polskiego zajmować powinny. Pełno uzdolnień w inteligencyi narodu, a cechą tych uzdolnień jest nadzwyczajna siła wyobraźni i uczucia. Ztąd pochopność do pojmwania najszczytniejszych ideałów moralnych, do snowania najbogatszych widzeń poetycznych. Kryształowym strumieniem tryskała zawsze fantazyja, a nie było kto-by jój prądy i tęczowe barwy umiał regulować. Brak rozumowego pierwiastku stawał się powodem, że wszelkim natchnieniom niedostawało gruntownej i trwałej podstawy, a ztąd téż nie sporo szło geniuszowi narodu urabiać formy i całokształty. Czysto morfologicznej natury, umysł polski nie pojmuje inaczój idei, jeno wyobraźalnie, przez oblicze i jawę, a władzę widzenia rozciąga aż do rzeczy nieujętych, zaświatowych. Jednak, że onych pojęć nie umie rozsądzić, że nie może dać im wymiaru i piękności, dlatego chowa je w duszy, a uciska siebie samego przez niewyrażone miłości, przez niewypowiedziane tęsknoty, przez brak odpływów dla uczuć wiary i nadziei. Bo żywot

bohateńskiego czynu nie zawsze w pomoc duchowym wynętrzeniom przychodzi. W życiu narodów są chwile bierniejsze, które historia wyznacza jako czas na wydanie świadectw żywota, na odtworzenie swęj własnej jaźni w pięknych i trwałych dziejach. Dobrze znał przymioty inteligencji polskiej Libelt, skoro umnictwo piękne sądził być podwaliną narodowej filozofii. To tęż, odkąd pierwiastek rozumowy wstąpił na szalę, widnokrag polski stał się podziwem bieżącego wieku przez pomnikowe roboty. A cöz się bardziej na arcydzieła poezyi złożyło, jeśli nie uprawa wiedzy, podjęta u własnych źródeł i na własnym gruncie? Czem Uniwersytet Wileński, a przed nim Stanisławowskie szkoły przysłużyły się narodowej poezyi ze strony umiejętności, tēm Konserwatoryum Warszawskie może i powinno obudzonemu geniuszowi muzyki dopomódz. Patrzmcy, ów pobudzony do ojczystej sztuki duch tak się nagle zerwał, tak mu pilno było sobie samemu się objawić, że już wcześniej, bo w ostatnich latach ubiegłego stulecia, rozpoczął pracę. Wówczas Stefani, uczeń szkoły włoskiej, dał nam pierwsze dzieło polskie, którego to dzieła nic nie usprawiedliwia, jeno powszechny do rzeczy narodowych zapach. Opera o Krakowiakach i Góralach, to niby domowa chłopięcego talentu próbka. Niepomierne wysoko wzniosły się utwory Szopena, który odrazu na niepożytą sławę, na podziw powszechny zarobił. Szopen już był uczniem Konserwatoryum Warszawskiego, a przecież i on biedził się niemało, że mu nie starczyło form stwargłych, urobionych, któreby mogły idei narodowej być najodpowiedniejszym wyrazem. Ztąd przymys i pewne rozdwojenie estetyczne. Owóż, każda treść ducha, o ile jest samodzielna, dąży do samodzielności w formie. Poczował się do odrębności geniusz germański, i dlatego nie przyjął narzuconych mu form sztuki włoskiej ani francuzkiej, jeno dopóty pracował, aż cały w oryginalnych pałacach zamieszkał. To tęż bezowocnie przemycającemu operę włoską Reinhardowi Keiserowi ani się śniło, że nie kantylena, jeno fuga stanie się zarodkiem stylu i formy i że z niej urosnie wspaniała, całkiem oryginalna budowa symfonicznej muzyki. Jak wyglądać będą polskiego ducha pałace, nikt z pewnością orzec nie potrafi; tego wszelako nikt nie zaprzeczy, że o ile wielka odrębność cechuje go psychologicznie, o tyle mu nie miło i nie gospodarno w cudzēm zamieszkiwać domostwie.

Zakrzętnienia się około rzeczy narodowych w biejącem stuleciu, ten był nicoceniony wynik, że spisywać poczęto literaturę ludową. Nieprzebrane okazało się tu bogactwo tworzywa. Ta artystyczna spowiedź ludu, już wiele tomów obejmująca, wejdzie zapewne w skład historyi i filozofii ojczystej; jak na teraz, jest ona bez wątpienia jedynem życiorodnem źródłem dla poezyi i muzyki. Jakoż poezya dokonała zadania swego. Krusząc narzuconą formalność, odradzając się z ducha, przyjęła na się te same kształty i barwy, które jej lud w konturowych wzorach podał. Od szczegółów językowych aż do głównych wymiarów, wszystko tu niemal przeistoczono. Dlatego tak żywotna,

dlatego tak ją każdy rozumie i uwielbia, że się odznacza harmonią treści i formy. Muzyce z kolei to samo przypada zadanie. Założone w 1821 r. i kierownictwu Elsnera poruczone Konserwatorium w Warszawie, chlubnie, lubo nader krótko, przez lat dziewięć, służyło krajowi. Jego największą zasługą jest to, że w samą porę przyszło nauczyć pacholecą muzę naszą. Odtąd to głównie datuje owa muzyka polska, której znamiona coraz jawniej występują. Styl jej dość się już wyosabnia, iżby go nie poznać po melodyjnym toku, po rytmicznej budowie, a nawet po harmonicznój ekspresyi. Wszakże wiele w tém jeszcze niepewności i obczyzny. Formy sztuki z gruntu psychologicznego powstają. Jak dany gatunek ziemi właściwą sobie czarowność kwiatu wydaje, tak idea narodowa, skoro dojrzeje, we własną, organiczną krasę oblec się musi. To przyrodzona dążność sztuki, tak jak człowiekowi przyrodzonóm jest z młodzieńca, podobnego do wielu, urość na osobę, do siebie samój tylko podobną. Kto owęj dążności sztuki nie uznaje, daje o sobie świadectwo niepełnoletności; kto zaś ją pragnie mieć dojrzałą, ten kształci rozum, zdobywa umiejętność, by w twórczych objawach swoich mógł być pewnym siebie, świadomym, wolnym i na niczyje, jeno na swoje własne podobieństwo całkiem na zewnątrz wydanym.

Godziź się przerywać z samego początku chwalebnią robotę ducha, który myśl narodową przez najszczytniejsze objawy, przez poezją, malarstwo i muzykę przeprowadza? Chłoszczą go za to domowi koryfeusze pozytywizmu, wmawiają że źle sobie radzi, że mu co żywo zaprzeczyć siebie samego wypada, by zdobyć królestwo rozumu i na ziemi polskiej trybunał wiedzy naukowej ustanowić. Więc namawiają do gwałtu, do samobójstwa, nie pomni, że dedukcyjna natura inteligencji polskiej, właśnie tę a nie inną drogę ku naukowym wyżynom wskazuje. Bogactwo uczuć stanowi najczystszy skarb psychologiczny; kto go nie posiada, jest bankrutem umysłowym, jest spekulantem, fałszerzem, wytwarzającym wiedzę z suchych formułek abstrakcyi, lecz nie z żywego materyału. Uprawmy tedy rozumnie ów skarb nasz, ów żywy materyał, ale go nie wypierajmy się, nie głuszmy w sobie sił wewnętrznych, które stanowią rdzenny przymiot plemion słowiańskich.

II.

Wnijdźmy teraz do wnętrza szkoły i obaczmy czy urządzenie jej o tyle organiczne jest, iżby poważnym zadaniem społecznym odpowiadało. Jako mistrzyni rzeczy pięknych, powinna być szkoła pośredniczką pomiędzy rzeczywistym a idealnym światem, zazdrośną o cześć i nieziemskie pochodzenie sztuki, lecz zarazem wszechstronną i jak Argus czujną na wszelkie pulsa żywota. Tak ją pojmowali Grecy, uosabiający w swoim Parnasie tę samą organiczność a wielostronność, jakimi się odznaczało ich szkolnictwo. Oni nie dopusz-

czali stanowczych rozdziałów w estetycznej uprawie, bo ich w istocie niema, bo wszystkie muzy wspomagają się wzajemnie ku złożeniu doskonałej pięknoty. We wszystkich sztukach jedno jest pochodzenie ideału, lubo wyraz w przestrzeni i czasie odmienny. Ztąd, o ile się dają z tej wyższej poznawać genezy, o tyle wiąże je spójnia nieprzełamana; przeciwnie, ze strony wyrazu materialnego pojmowane, wnet się oddzielają jedna od drugiej, zwierają ciasno granice swoje i martwieją zwolna w odosobnieniu. Taką martwością porażoną została sztuka od czasu, jak na jej czole osiadły chmury krytycznej analizy. Krytyka, nie mocna dosięgnąć idealnej, jeła się formalnej strony piękna; więc zapanowała nad techniką, uregulowała wprawdzie umiejętność, lecz ze suchą i jałową, dlatego zamkniętą w sobie, jak każda wiedza doświadczałna. Trzeba być wtajemniczonym, iżby takową sztukę rozumieć; ogół jej nigdy nie przyjmie do siebie.

Szkoła muzyczna, jako Konserwatorium, zupełnie swój tytuł tradycyjny usprawiedliwia. Charakter zachowawczy przyjęła na się szkoła wówczas, gdy jej przyszło bronić idei przeciw nieokietznanjej swawoli czasu. W wiekach średnich była sztuka muzyczna jedynie przez kościół umiejętnie uprawiana. Ze dbano o czystość i nieskazitelną piękność religijnego ideału, że motłoch świecki szpecił i nieraz swym namiętnym oddechem zakłócał spokój sztuki, trzeba było ją otoczyć onym szansem obronnym, który jedynie był w stanie zachować uprawę muzyki w granicach wzniosłości i powagi. Taki obronny charakter miała szkoła rzymska, jaśniejąca nieporównanym blaskiem aż w najpóźniejsze czasy, właśnie gdy już inne, a zwłaszcza wenecka, do odstępstw skłonniemi się okazały. Wszakże czasy te bezpowrotnie minęły. Odkąd Monteverde prawo harmonii złamał w kancyonale, odkąd florency mistrze poczęli dramat wysnuwać muzyczny, już temsamem zachowawczość szkoły naruszoną została. Przypadło jej teraz wielorakim odpowiedzieć psychologicznym i estetycznym zadaniom, a mniej ścisły zachowując rygor co do tradycyi, jąć się systematycznego urabiania tego, co napływało z życia, co podawała natura. Szkoła tymczasem, przyjmując biernie one napływy, usprawiedliwiała temsamem czynność dyletantyzmu, który skrzętną dla postępu sztuki podjął pracę i cenne dla niej materiały zbierał. Dyletantyzm, lubo zawsze w opozycji ze szkołą, niezmiernie wiele w dziejach sztuki zaważył. Gdyby nie hrabia Vernio i jego wielce ukształcone otoczenie, dotąd zapewne wypadłoby jeszcze czekać na przedziwny wytwór nowoczesnej cywilizacji, jakim jest opera. A wszakże szkoła nie potrafiła ująć to w karby prawidłowego rozwoju i opera aż dotąd nosi na sobie cechy dyletantyzmu, to jest chwiejność i sprzeczność co do zasad. Otóż, gdy szkoła pozostawała przy dawnym scholastycznym programie, a całą naukę ograniczała do suchych i ciasnych formułek technicznych, w obec takowej jej bierności, poczęła stawać inna, już nie dyletancka, lecz mistrzowska powaga, coraz większym otaczająca się urokiem, co właśnie ztąd pochodziło, że nie zrywając z tradycją,

uzupełniała ją i rozszerzała. Toż jedynie z tej szkoły mistrzów wyszła istotna piękność i żywotność sztuki. Najszczytniejsze dzieła uświetniają epokę, której ostatnim arcymistrzem był Mozart. Atoli mogło się to dziać, dopóki nie przekroczono granic psychologicznego prawa w estetyce. Tak zwana klasyka muzyczna powstała przez scholastyczną szkolną z jednej, a przez postępowy geniusz mistrzów z drugiej strony. Ów dualizm koniecznym był do równowagi w umnictwie muzycznym, bo jeśli tradycja ujarzmiła zbyt pochopną do niesforności fantazyę, to romantyczny geniusz tej fantazyi ożywił i humanitarnie uposażał technikę szkolną.

Beethoven stanowczo zerwał ugodę, jaka mistrzostwo z tradycją wiązała. Odtąd sztuka oprze się na niebezpiecznym kryterium estetycznym, wchodząc w dzielnice poezyi i usiłując przez muzyczną syntezę wyrazić niezgłębioną treść ducha. Ów rzadki poeta, co odcierpiał psychiczne rozdarcie nowożytnego człowieka, co tęsknił do wolności, a patrzył na męczarnie, umiał wywieszczyć w nieznaną dotąd mowie całą epopeję ludzką. Owóż, dla olśnionego śmiałością pomysłów artyzmu, stał się Beethoven wyrocznią, wzorem i szkołą. Cała pleada następców zapragnęła iść w ślady jego; owszem, rzec prawie można, że muzyka wciąż się obraca w zaczarowanym kole beethovenizmu. Że jednak nie każdemu dano być wieszczem, że poeta własne krwawił serce i duchem aż do grobów starożytnego świata zstępował, by mógł wielkie, załęcznione w myśli, wytworzyć poemata; że zgoła forma Beethovenowska jest nienaruszoną własnością natchnionego mistrza, ztąd beethovenizm obecny niczém innym nie jest, jak niezmiernym, niewytłómaczonym dziwactwem, jest kalectwem, w jakie z własnej nieopatrności popadła sztuka.

Oceniając działalność szkoły w tém poetycznym przeobrażeniu muzyki, postrzegamy témbardziej chwiejne i jednostronne zachowanie się jej. Szkoła pozbyła się wprawdzie scholastycznego rygoru, nawet rozluźniła przepisy i do technicznego wykładu zaciągnęła niezmierny zasób formułek, poddając je coraz szerszym wolnościom teorii. Ale, pozostając przy samej technicznej stronie nauki, nic nie wyjaśnia, nie sięga do źródeł, nie prowadzi umiejętnie i skończenie indukcyjnej metody, a ztąd też wcale estetycznego nie posiada autorytetu. Przeciwnie, postępując całkiem empirycznie i gruntując estetykę nie na racjonalnym, lecz na praktycznym, częstokroć wcale indywidualnym studjowaniu mistrzów, stanęła pod sztandarem tych ostatnich i nosi raczej charakter praktyczny, przygotowawczy, niż umiejętnościowy. Szkoła nie może sobie dać rady z romantyzmem nowoczesnym, tak wielkie przepaści techniczne przed nią otwierają się codziennie. Więc uposażając uczucia w to jedynie, co szczupło zakreślona teoria dać może, odsyła go po światło do mistrzów, lub do trzymających się na boku specjalnie uczonych profesorów. Lecz ani jedni, ani drudzy rzetelnego światła mu nie udzielają. Zkądżeby im przyszło posiadać zasady, skoro ich szkoła wytworzyć nie była w stanie? Oplaczą tedy młodego

adepta całą siecią poglądów osobistych, subiektywnie oderwanych, a odkryją mu tajemnice spekulacyjnego, niezmiernie zawilego kunsztu tworzenia. I jedno i drugie tak dobrze go obalamuci, że ani myśleć o swobodnym kierunku natchnienia. Mózg techniczny pogłębi intuicyą i sprawi to, że gdy się sądzi być poetą muzycznym, jest tylko odurzających łamigłówek twórcą. Tak się to utrwała ów *circulus vitiosus*, w który sztuka zapadłszy, błądzi coraz bardziej pomiędzy indywidualizmem i realistyczną gmatwaniną formy.

Szkolnictwo muzyczne dotąd prawie na stopie elementarnej zostawało. Roily się szkoły we Włoszech, a wszystkie były osób pobożnych fundacyami, nie rzadko ze szpitalami połączeniemi. Paryżkie konserwatorium, przed samą rewolucyą założone, słygnęło przez wzorową uprawę muzyki wokalnój i instrumentalnój, oraz deklamacyi. Tu się układały aż do najpóźniejszych czasów metody, obowiązujące cały świat muzykalny. Toż i lipskie, przez Mendelsohna założone konserwatorium, wysoko w Niemczech cenią, że obszerniejszym niż inne i umiejętnie zakreślonym zajmuje się wykładem. Otóż te i kilka innych jeszcze instytucyi, zasługujących na miano konserwatoryów, w ogóle szczupło uposażone, powstawały nietylko w wyższych celach sztuki, ile w widoku dostarczenia wykonawców dla chóru kościelnego, dla sceny, dla orkiestr teatralnych i wojskowych. O kompozytorze mało w istocie pomyślano. Tu uprawiają głównie stronę reprodukcyjną; kompozytorstwo rozproszone pomiędzy mistrzami, zaś estetykę muzyki dyletanci zagarnęli. Wszystkie trzy obozy nic o sobie nie wiedzą i każdy, traktując sztukę wedle własnego pojmowania, rozczepia ją nielitościwie na pojedyncze, niepojednane cząstki. Jak tworzą mistrze, tego szkoła krytycznie nie jest w stanie oceniać; co piszą liczni estetycy o muzyce, to nie dochodzi ani do szkoły ani do mistrzów. Gdy sztuka muzyczna coraz poważniejsze w cywilizacyi zajmuje stanowisko, gdy jój olbrzymi wzrost jest najwyraźniejszém świadectwem psychicznych potrzeb w społeczności, słuszném jest, iżby ta sama społeczność, znajdującą w sztuce leczebną moc na wiele chorób swoich, pomyślała o lepszym dla niej systemie szkolnym. Dwa stopnie powinny się składać na szkołę: w pierwszym, elementarnym, wyćwiczyć się masy i najgłówniejsze praktyczne wiadomości otrzyma młodzieńczy talent; w drugim, po akademicku skupić się powinna cała umiejętność, by powołanym skończone przysposobienie i rzetelny autorytet udzielić mogła. Że muzyka wyłącznie na prawach psychologicznych się opiera, dlatego szkolnictwo z wyjątkową baczycę ma troskliwością na humanitarny rozwój sztuki, dając uczniowi w umiejętności, obok praktycznój uprawy, o ile można najobszerniejsze i koniecznie obowiązujące estetyczne zasady.

Obacmy jakie są z tego względu naglące potrzeby. Najprzód w programie szkoły wielce ważne miejsce zająć powinien wykład Ogólnej Estetyki. Przecież tu idzie o wykształcenie artysty, więc o wprowadzenie jaźni jego w świat piękną. Nic każdy co patrzy, umieć piękno postrzegać; dziś pouo tak się dziwnie z nami stało, że gdy zjawi-

ska zajęły nas ze strony pożytkowej, to zwierciadła duszy, w ciemnościach pozostawione, przestały stronę wdzięków odbijać. Trzeba nas wieść za rękę i przy światłach do cudów natury. A jakież to nieocenione korzyści z tej wędrówki dla ducha wynikną! Podziwiając rzeźbę i budownictwo, nieprzeliczone barwy, dźwięki i rytmy przyrodzenia, uczysz się wymiarów, stosunków, oraz obramowywania zbyt rozpierchnionej przedmiotowości kosmicznej, by mogła skończenie i całość w źrenicy ułożyć się twojej. Tu się uczysz jak przestrzeń i czas wypełniać rozmaitym i logicznym doborem, oraz największą przymiotowością rzeczy. Więc stajesz się artystą, osiągasz ów rzadki dziś dar zestawiania nagromadzonych wrażeń pięknie, skończenie, doskonale. W uczuciach twoich zagrają sympatyczne, milczące dotąd struny, bo poznałeś wdzięki i ukochałeś duszę natury; to też we władzach umysłowych zazieleni urodzaj, że już nie same czeze figurki harmoniczne, lecz treści i natchnienie łatwo u siebie znajdziesz. Wielcy mistrze poświęcali sobie naturę i przez całe życie z nią obcując, zawsze młodymi się czuli. Beethoven codziennie porzucał pustą wrzawę miasta dla odczytania jakiegoś rozdziału z żywej księgi świata. Ztąd ta potężna mowa rytmiczna w jego utworach, taka prosta, naturalna, a jednak wspaniała i niezgłębiona. Schuman również chętnie z czarodziejstwami porozumiewał się romantycznymi, a za przewodnika obrał najidealniejszego z estetyków, Jean Paula. Toż jeśli w Pilnickiej kniei, oraz z ludowych Webera biesiad narodził się czysto germański *Wolny Strzelec*, to po utworach Szopena i Moniuszki poznasz odwieczną polsko-rusińską siedzibę.

Obeznavszy się z estetycznym przedstawieniem zjawisk natury, uczeń przechodzi do działu, traktującego umnictwo i sztukę. Tu się dowięd o siłach twórczych, więc czem ważą uczucia, fantazyja i rozum, jak je pielęgnować w sobie, jak najwłaściwiej używać. Ów dział Estetyki wielce rozjaśniają najnowsze badania psychologiczne. Jeśli dotychczasowe filozofie gmatwały sprawę umnictwa, opierając twórczość na jakiejś wyosobnionej władzy, to dziś już wieść o tém tak stoi, że władze estetyczne są tém samym psychologicznym rodzeństwem, objawiającem się we wszelkich czynnościach inteligencji. Odnacza je tylko pewien harmoniczny stosunek, oraz spotęgowanie, sprawiające, że jeśli w jednym człowieku ledwie na sprawy pożytkowe starczą, to u innego, że jest bogatszy, okażą zbytek, który też na twórczą obróci się dzielność. Otóż to harmonijne spotęgowanie władz, jedynie przez rzetelny kierunek umnictwa nastąpić może. Największą z tego działu uczeń odniesie korzyść, że się dowięd czem jest muzyka w stosunku do innych sztuk pięknych. Mówią o niej, że jest w części budownictwem, że posiada malownicze barwy i cienie, a już najściślej z poezją się spoli. Wszakże trzeba jęj koniecznie właściwe w tém wspólnictwie znaleźć granice, bo się zagubi w cudzych krajach i sobą być przestanie. Żadna sztuka w takiej nieświadomości co do siebie samej nie jest, co muzyka. Gdyby estetycznych praw świadomi byli mistrze, nie wy-

legałyby się tak dziwaczne utwory jak opera o Nibelungach i Wagner byłby stokroć większym, nie dając na pastwę spekulacji swego geniuszu, nie sprzedając wewnętrznej gry natchnień za wątpliwą sławę reformatora. Estetyka obroni muzykę od realizmu, który, jeśli się daje usprawiedliwić w sztukach plastycznych, to jest zupełną zagładą idealnych. Realizmu nie powinien muzyczny sztukmistrz w znaczeniu surowej przedmiotowości przyjmować. Jego duch tam się przeważnie kieruje, gdzie się przedmiotowość przetapia, wytwarzając w człowieku wdzięk ruchu, szal pieśni i cud poezyi. Z tych dopiero wytworów ludzkich zaczerpuje sztuka muzyczna, która téż dlatego, że wszystkich najidealniejsza, jawi się i rozwija jak kwiat majowy, w najpiękniejszej dobie cywilizacji.

Tyle co do ogólnego umniactwa. Jednakowy z tém wzgląd należy się Estetyce Szczególnej czyli Muzycznej. Niepodobna, iżby szkoła jedynie na praktycznym wykładzie kompozycji poprzestawała, ile że praktyczne ćwiczenia, choć wielce pożyteczne, nie dają jeszcze zasad uczniowi. W uprawie muzyki nie ustalił się jeszcze stosunek idei do formy. Gdzie treść, gdzie forma, nikt dobrze nie wie. Dyletancy estetycy, prawiąc o idealnych kryteriach sztuki, przesądzają je aż do niedorzeczności, w tém mniemaniu, że muzyka posiada moc przedmiotowego obrazowania, a nawet poetycznego myślenia. Owszem, ta z przeświadczeń rozumowych mająca wynikać treść, góruje nad uczuciową, zwłaszcza u niemieckich estetyków, o ile ci dają się zwieść przez łudzącą harmoniczną figur ekspresyą. O Beethovenie, podobnie jak o Szekspirze, ba, o samej Dziewiątej Symfonii, napisano już wiele rozumowanych komentarzy, tak sprzecznych dla czytelnika, jak sprzecznymi w obec myślenia wydają się tajne sprawy uczucia. Otóż, jeśli tu przesada, za to w szkole zupełna pod tym względem ciemnota. Uczniowi nikt nie mówi o treści idealnej. Że jednak kompozycje muszą jakąś zawartość posiadać, przeto u profesyjnego muzyka najdziwaczniejsze wylęgają się w tej materji pojęcia. Jedyłą treścią dla niego są figury melodyjne i harmoniczne, zaś formą jakaś abstrakcja, jakiś niby układ całości, czego on sam nie jest w stanie dobrze określić. Bierze tedy artystyczne formuły za treść samę, nie troszcząc się wcale, lub jedynie w chwilach natchnienia, więc niejako bezwiednie, o ideę wewnętrzną. Estetyka szczególna okazać ma, że idealną treścią muzyki jest przepaść uczuć w człowieku, oraz dramata żywota, w jego duszy odbite. Najpierwszą formą, objawiającą treść tę, jest melodia. Więc piękno melodyi przedstawić należy żywotnie, to jest w stosunku do psychicznych poruszeń. Potém nastąpi piękno harmonii, jako wytworu tej samej, lecz już spotęgowanej i w rozliczne agregata grupującej się treści. Budowa się wzmacnia, przybiera proporce i kształty coraz mnożniejsze, aż do złożenia działów i całości, których pięknem osobny traktat zająć się powinien. Gdy utwór całkiem zawrze w sobie ideę wewnętrzną, gdy zapalone w mistrzu miłości wyłonią się we formie i stężeją w artystycznym opracowaniu, wówczas dopiero przy-

stoi o treści formalnej mówić. Wszakże niepodobna tej treści formalnej wyróżniać od jakiegóś formy, bo ona to właśnie jest formą, od najdrobniejszych szczegółów aż do ostatecznych granic obramowania. Takowe sprostowanie pojęcia, na mocy którego uczeń bierze szczegóły i całość za treść i formę, niezmiernie ważnym jest w sprawie wybawienia sztuki od przeciążającej ją technicznej roboty. W ten sposób wyjaśni się wartość głosów i rytmów, znaczenie dysonansu i modulacji, układ peryodów, oraz stosunek działań do całości. Znając źródła, z których wychodzą owe piękności, estetyka nie dopuści nadużywania potężnych środków muzyki i unicestwiania ich przez fałszywy układ, nie licujący ze stanami wewnętrznymi słuchacza.

Z rozstrzygnięcia tej głównej wątpliwości muzycznej, wyniknąć niezawodnie musi rzetelna ocena rodzajów i stylów. Każdy rodzaj jest wyrazem osobliwego, przez inteligencją ludzką wyrobionego ideału. Nie wolno mu nadawać innych, jeno te cechy formalne, które są najwłaściwszą jego charakterystyką. Nie godzi się mieszać ze sobą lirycznych, dramatycznych i opisowych pierwiastków, skoro sztuka czystość swą pragnie zachować w kościele, na scenie i na koncercie. A przecież to mieszanie rodzajów coraz jawniej w dzisiejszej występuje sztuce, bo młody kompozytor wstydziłby się nie użyć w swym utworze, niejako abstrakcyjnie, wszystkich kombinacji harmonii i wszystkich efektów instrumentacji, na jakie stać obecną szkołę. Wszak muzyka kościelna już na dramat zeszała, a symfoniczny rodzaj opanował pieśń i operę, więc znieważył śpiewaka, gwałcąc naturę głosu ludzkiego i wciągając dramatyczną osobę w skład rzeszy instrumentalnej. Co do rodzajów i stylów, rzecz tak się ma, że muzycy najczęściej jedno za drugie biorą. W istocie, granica trudną jest do praktycznego ustalenia, ile że w minionych epokach sztuka nader słabo, lub wcale się na niej nie opierała. Przepis tak dalece obowiązywał, że pomiędzy jednorodnymi utworami kilku mistrzów tej samej epoki, nie znajdziesz prawie znaczniejszej różnicy. W epoce, gdzie jeden był kierunek sztuki, to jest religijny, *stylem* mianowano ów wielki sposób tworzenia, który właśnie o całą przepaść różnił się od tak zwanego nieco pogardliwie *genre*, to jest od poczynającej dopiero wykluwać się sztuki świeckiej. Wszakże, od czasu rozwinięcia się i równouprawnienia rozlicznych rodzajów, zaszła potrzeba dokładniejszego obojga nazw określenia. Styl, jako osobisty przymiot sztukmistrza, jawi się z romantyczną wolnością tworzenia i stanowi bezspornie znakomitą zdobycz dzisiejszego umnictwa. Styl, to osoba: to dojrzałość artystyczna kompozytora lub wykonawcy. Nietylko mu wolno, lecz nawet należy starać się o oryginalność, nikomu innemu, tylko jemu właściwą; lecz tę oryginalność w granicach estetycznych zachować powinien. Styl jest sposobem zewnętrznego opracowania gotowych natchnień, jest niejako wykończeniem rzeczy, a to podług takiej miary rozsądkowej, jaką sobie artysta wyrobili. Rodzaj zaś ma nierównie obszerniejsze znaczenie, bo sięga samej krynicy natchnień, skierowując całą jaźń twórcy w tę lub inną sferę

idealności. O ile styl przez praktyczną nabywa się wprawę, o tyle o rodzajach muzyki ma estetyka głębszą, humaniczną podać wiadomość.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Posiedzenie doroczne Akademii Francuzkiej. Dzieła uwiecznione: *Karol Wielki* p. Vetault.—*Historja powszechna Węgier* p. Sayons.—*Minister Turgot z czasów Ludwika XVI* p. Foucin.—*Rewolucja Termidorowa: Robespierre i komitet bezpieczeństwa publicznego* p. d'Hericault.—*Małżeństwo Henryka IV z Maryą Medyceuszką* p. Bertolda Zeller.—*Początki monarchii pruskiej, czyli Marchia Brandeburska* p. Lavisse.—*Marya Stuart, jej proces i egzekucja* p. Chautelauze.—*Bretania w Akademii Francuzkiej* p. Kerviller.—*Pastor Jarrousseau, ustęp z czasów reformacji* p. Pelletan.—Ostatnie wydanie *Listów pani Sevigne* p. Capmas.—*Wielcy pisarze Francji*, wydawnictwo pod kierunkiem p. Regner.—*Dramata Szekspira* przekład p. Montaignu.—*Dzieła Erazma z Rotterdamu* przekład p. Develay.—*Rozbiór Filozofii Maine de Biran* prof. Gerard.—*Niewolnicy chrześcijańscy od początków Kościoła, do końca panowania rzymskiego na Zachodzie* p. Allard.—*Nowe pokłosie*, zbiór poezji panny Ludwiki Bertin.—*Podróż po Ameryce* p. L. Biard.—*Studia nad filozofią we Francji w XIX wieku* p. Ferraz.—*Pogadanki naukowe* p. H. Parville.—*Miasta umarłe nad zatoką liońską* p. Lenteric. Konkurs poetyczny: *Andrzej Chenier* p. du Loelle.—*Sully Prudhomme*.—*Mowa Aleksandra Dumasa, z powodu nagród Monthyona za zasługę*.—*Wspomnienia pani d'Agoult* (Daniel Stern).—*Sephora*, mysteryum biblijne p. Aleksandra Parodi.—*Obrona tezy w Sorbonie* p. Aurtard: *Poeta włoski Leopardi*.—*Panteon literacki: Muza historyczna. Ubodzy i żebracy*, powieść p. Landelle.—*Sztuka czytania*.—*Pomniki historyczne we Francji*.—*Czarni żydzi w Abissynii* p. Halevy.—*Karczmcy od czasów najdawniejszych*.—*O stosunku zbytków, do formy rządu*; rozprawa prof. Baudrillard.—*Wystawa obrazów konkursowych: Napad Gallów na Rzym*.—*Sprostowanie*.

Zwyczajna stagnacja literacka w ciągu miesięcy letnich, dała się uczuć w tym roku silniej niż kiedykolwiek. Dzienniki zajęte wyłącznie sprawami wojennymi, z okiem wlepionem we Wschód, nie miały w kolumnach swoich dosyć miejsca, na prostą nawet wzmiankę o świeżo pojawiających utworach, których liczba, jak zwykle w tej porze, była nadzwyczaj małą. Stagnacją tę przerwało nakoniec doroczne posiedzenie w Akademii francuzkiej. Wiadomo jak skwapliwie Paryż garnie się na podobne uczty duchowe. W tym roku oprócz

zajęcia jakie budzi wiadomość o uwieczonych dziełach, dwie jeszcze ponęty przyciągnęły liczną publiczność: pan Legouvé, sławny propagator nauki czytania, miał powtórzyć konkursowy poemat pana Loche o *Andrzeju Chenier*, Aleksander Dumas miał zdawać sprawę z nagród *Monthyona* za cnotliwe uczynki. Dumas, który odkrył przed światem tyle chorobliwych narośli na biednych ludzkich sercach, miał z tychże serc dobywać szczerę złoto i ukazać je na pociechę ludzkości! Nie dziwić się więc, że mimo sierpniowego skwaru, tłumy napełniły wielką salę pałacu Mazariniego.

Posiedzenie rozpoczęło się sprawozdaniem p. Doucet, stałego sekretarza Akademii. Wśród uwieczonych dzieł, przeważają prace historyczne. Okoliczność ta na szczególną zasługuje uwagę, widać ztąd bowiem, jak dzielnie Francya literacka opiera się prądom szkoły nihilistycznej, która usiłuje własnym rozumem zbudować przyszłość na zgłiszczach przeszłości, uświęconej wiekową tradycją. W ostatnich czasach, do dawnych fundacyi, przybyło kilka nowych, przeznaczonych wyłącznie za prace treści historycznej, a w miarę mnożących się nagród, widzimy zarazem rosnącą liczbę młodych współzawodników konkursowych. Niechaj poświadczy o tém długi szereg prac wykonanych na polu dziejów, szereg przechodzący nawet liczbę nagród, jakimi rozporządza Akademia.

Wielką nagrodę *Gobert* w ilości 20,000 franków, otrzymał w tym roku pan Alfons Vetault, za pomnikowe dzieło o Karolu Wielkim. Kilka miesięcy temu, wspominaliśmy już o tój pysznej publikacyi. Wartość jój tém większa, że pan Vetault pierwszy z historyków francuzkich, odmalował w najdokładniejszych zarysach tego olbrzyma wieków, na tle właściwej mu epoki. Wielu znakomych pisarzy, jak Monteskiusz, Guizot, Michelet, Henri Martin, że pominiemy kronikarzy średniowiecznych, podniosło już tę wielką postać historyczną, ale pan Vetault pierwszy obrał Karola za przedmiot wyłącznych swych studyów i zbudował mu pomnik, godny nieśmiertelnej jego chwały.

Nie pierwsza to praca autora. Rozpoczął on historyczny zawód monografią Godfryda z Bouillonu. Praca o Karolu Wielkim postawiła go w rzędzie znakomych historyków dzisiejszych.

Nagrodę fundacyi *Thiersa*, przysądziła Akademia panu Edwardowi Sayons, za dwutomowe dzieło: *Historya powszechna Węgier*. Wstęp do tój wielkiej pracy, dwa lata temu osobno ogłoszony drukiem, obejmował pierwotne dziejów Madziarów, ich etnografię, osiedlenie ich w Panonii pod Arpadami, najazdy na Niemcy i Francją. O tym prologu mówiliśmy szczegółowo w swoim czasie. Po nim następuje historia domu andegawńskiego, tak ściśle połączona z naszą, przez Elżbietę Piastównę, Ludwika i Jadwigę; a po niej epoka elekcyjnych królów, niemniej blisko dotycząca naszej przez trzech Jagiellończyków, z których pierwszy wytoczył krew pod Warną, ostatni pod Mohaczem. Autor w żywy i dramatyczny sposób maluje bohaterskie wysilenia na-

rodu węgierskiego, zawzięte zapasy przeciw Turkom, opór stawiany wytrwale Austrii. Dociąga rzecz do czasów obecnego odrodzenia, kiedy Węgry, w skutek rozbudowanej polityki przewódców swoich, a bardziej jeszcze w skutek dziejowych przemian, stały się główną podporą potęgi austriackiej. P. Sayons doprowadził pracę swoją do r. 1867, to jest do koronacji w Peszcie cesarza Franciszka Józefa. Historia ta jest owocem dwudziestoletnich trudów. Autor długi czas przebywał w Węgrzech, zbadał tam mnóstwo historycznych dokumentów, jak niemniej zaczerpnął w bogatym źródło miejscowych tradycji.

Nagrodę *Therouanne*, skutkiem wielkiego napływu kandydatów, Akademia zmuszoną była rozdzielić pomiędzy czterech historyków, pp. Foucin, d'Hericault, Zeller, Lavisse.

Pierwszy z nich p. Foucin napisał ważne studyum o ministerjum Turgota, z czasów Ludwika XVI: wykrył w niém mnóstwo nowych, nieznanych dotąd szczegółów, świadczących o wielkiej działalności tego ministra, którego geniusz nie mógł ocalić upadającej monarchii.

Pan Karol d'Hericault wykonał niemniej ważne dzieło p. t.: *Revolucya termidorowa, Robespierre i komitet bezpieczeństwa publicznego w roku II-gim*, według oryginalnych źródeł i niewydanych dokumentów. W przeciągu roku, od połowy 1793, do połowy 1794 r., autor idzie krok w krok za Robespierrem, nie spuszcza go z oka na jedną chwilę; pokazuje wypadki, zestawia je z sobą najściślej, wyprowadza z nich ostateczne rozwiązanie dramatu. Robespierre pada w chwili, gdy pewien zwycięzca, gdy jako wszechwładny pan Konwencyi, miał do gruntu wstrząsnąć społeczeństwem francuzkiém. Rzecz cała poprowadzona jasno, poparta nieznanemi dotąd dowodami, a co najważniejsza, autor trzyma się na stanowisku ściśle bezstronném, nie pozwala sobie namiętnych sądów, ani próżnych deklamacyi. Fakta mówią same za siebie.

Pan Bertold Zeller, syn uczonego historyka, niegdyś rektora uniwersytetu strasburskiego, obrał za przedmiot badań, małżeństwo Henryka IV z Maryą Medyceuszką. Archiwa florenckie dostarczyły młodemu autorowi nowych materyałów do historycznego studyum. Wyświetla on całą sieć intryg włoskich, które zawichrzyły panowaniem wielkiego króla, w ostatnich zwłaszcza latach i doprowadziły go do zguby, w chwili kiedy zamierzał związać państwa europejskie węzłem solidarniej jedności, a tym sposobem zabezpieczyć na długo spokój świata!

Czwarty z laureatów pan Lavisse wykonał pracowite dzieło p. t.: *Etude sur l'une des origines de la monarchie prussienne, ou la Marche de Brandebourg sous la dynastie Ascanienne*. Historia domu brandeburskiego ściśle ma związek z dziejami naszymi; margrabiowie ci jak wiadomo, odziedziczywszy Prusy po Krzyżakach i wylamawszy się z pod zwierzchnictwa polskiego, położyli kamień węgielny dzisiejszej pruskiej monarchii. Nie miejsce tu ani pora zastanawiać się

szczegółowo nad tą pracą; poświęcimy jęj wkrótce obszerniejsze sprawozdanie. Autor przedstawia krwawe wojny margrabiów brandeburskich i bezustanne ich podboje, które Mirabeau określił jednym rzutem pióra, w dziele o monarchii Fryderyka II: *wojna jest dla Prus przemysłem narodowym*. Smutny to przemysł dla sąsiadów: doświadczyła tego Francya, doświadczyli inni stokroć jeszcze dotkliwiej!

Nagrodę *Bordin*, w ilości 3000 fr. przeznaczoną za pracę treści historycznej, otrzymał pan Chautelauxe, autor dzieła *Marya Stuart, jęj proces i egzekucya*. Przygody tęj nieszczęśliwéj królowéj, zajmowały już wielu erudytów, tak we Francyi jak w Anglii, dotąd jednak postać ta nie wystąpiła jasno w dziejach. Podczas gdy jedni potępiali ją zbyt surowo, inni znów podnosili ją niemal do apoteozy. Pan Chautelauxe nie kreśli życiorysu Maryi Stuart; pokazuje on tylko ostatni akt smutnego dramatu: siedmiomiesięczną niewolę i ostatnie chwile królowéj. Materiałów do historycznego obrazu dostarczył mu dziennik naocznego świadka, lekarza Bourgoing, świeżo wynaleziony w mieście Cluny.

Znajdujemy tu wiele ustępów prawdziwie dramatycznych. Do najokropniejszych należy scena, kiedy dostojnicy dworscy urągają w oczy tęj, przed którą zginali niedawno kolano. Tłómaczenie obwinionej pełne godności: pozostawiona sama sobie, bez obrońcy, bez rady, umiała jednak upokorzyć zawziętych prześladowców. Niekiedy autor cofa się w dawne lata, ukazuje Maryą w chwilach najwyższego blasku, przyjmującą hołdy poety Ronsarda i historyka Brantome. Opowieść tryska życiem; styl płynny, częstokroć poetyczny podnosi wartość dzieła.

Do historycznych policzymy uwieńczoną pracę p. Kerviller p. t.: *Bretania w Akademii Francuzkiej*. Autor rodowity Bretończyk, jak świadczy samo nazwisko, chciał podnieść znaczenie swego gniazda, pomawianego częstokroć o zastój umysłowy i nieuctwo, przypominając zasługi sześciu mężów, którzy nauką i pracą zdobyli akademickie palmy. Byli nimi trzej książęta Coislin, dwaj bracia du Chastelet i Chapelin krytyk XVII-go wieku, zawzięty przeciwnik stawnego Boileau. Nie rozumiemy dlaczego autor nie dołączył do tego szeregu zmarłego w roku zeszłym akademika pana Carné, nieodrodnego także Bretona, który wysnuł kilka ważnych prac z dziejów swéj macierzystej prowincyi.

Nagrodę *Guerin* (2500 fr.) przysądziła Akademia panu Pelletan, za ustęp z czasów reformacyi. Autor skreślił życiorys pastora Jarousseau, rodzzonego swego dziada; w pierwszej części maluje tę charakterystyczną postać, w drugiej opisuje liczne jego przygody. Rzecz rozpoczyna się w ostatnich latach panowania Ludwika XV, kończy za rządów następnych. Niektóre rodziny protestanckie, mimo ciężącego nad nimi edyktu nantejskiego, mieszkały w zapadłej okolicy Saintonge. Pastor Jarousseau, człowiek prostego serca, pełen odwagi, niedość że podtrzymywał je na duchu, co więcej, postanowił wywalczyć dla nich

prawa. Dnia jednego, na chudej klaczce *Misère*, puszcza się sam jeden w daleką drogę do stolicy. Po trzytygodniowej podróży, przeplatanéj mnóstwem przygód, staje nakoniec w Paryżu. Tam poznaje się z Franklinem, jedna sobie względy ministra Malheserba. Dostaje się wreszcie do Ludwika XVI. Król pozwala mu zbierać gromadkę współwyznawców, przemawiać do nich, modlić się z nimi razem, pod osłoną głębokiej tajemnicy. W siedm lat potém, roku 1787, wydany edykt tolerancyi, potwierdza prawa protestantów. Książka pana Pelletan, napisana spokojnie z umiarkowaniem, bez poruszenia drażliwych pytań religijnych i politycznych, a do tego pięknym stylem w żywy i zajmujący sposób, zjednała sobie uznanie Akademii.

Od historii przejdźmy na pole filologicznych badań. Tu jedną z pierwszych nagród, przyznano p. Capmas za nowe, pomnożone wydanie Listów sławnéj margrabiny de Sevigné. Wspomnieliśmy w swoim czasie, że uczony ten erudyta, profesor literatury w fakultecie dyońskim, odkrył przypadkiem w sklepiku tandeciarza, sześciotomowy rękopism, obejmujący oprócz znanych powszechnie listów, dwadzieścia jeden wcale nie wydanych, jak niemniej liczne ustępy, opuszczone w dawniejszych publikacjach. Tym sposobem Francya posiada dziś zapewne w całości, drogocenny pomnik, do którego przywiązuje tak wielką wagę. Oprócz pięknego stylu, jakim te listy celują śród współczesnych utworów, stanowią one jeszcze najwierniejszą kronikę z epoki Ludwika XIV. Pani Sevigné pisywała je po większej części z zapadłej Bretanii, gdzie przepędzała wiosnę, lato i jesień, a przecież nie pomija najdrobniejszej przygody, wydarzonej w Paryżu lub Wersalu. Ma ona tam swoich poufnych korespondentów, którzy donoszą jéj o wszystkiém co zaszło. Nudne ich listy przerabia po swojemu, dramatyzuje wypadki, przeplata je żywymi obrazami, swobodnym nieraz żartem; do słów cudzych przypina skrzydełka; półmartwe chryzalidy przeistacza w barwne motyle. Zestawienie listów sławnéj korespondentki, z temi, które służyły jéj za wątek, pokazuje czém jest piękny styl, daje uczuć całą jego potęgę!

Wynalezienie rękopismu było raczej szczęśliwym trafem niż literacką zasługą. Akademia wynagrodziła nietyle przypadkowe jego odkrycie, ale co więcej krytyczny wstęp i pełne erudycyi komentarze znakomitego filologa.

Inną nagrodę w ilości 4,000 fr. przysądziła Akademia, p. Regner, kierującemu olbrzymiem wydawnictwem *Wielkich pisarzy Francyi*. Firma Hachette od lat szesnastu zajmuje się tą ważną publikacją. Dotąd wyszło tomów pięćdziesiąt, na czele ich stoją *Pamiętniki St. Simona*, wydane według własnoręcznego rękopismu, za który wydawcy zapłacili 75,000 fr. Wyszły niemniej dzieła Kornela i Rasyna, oczyszczone zupełnie z dawnych błędów, dopełnione komentarzami. P. Regner zrzekł się nagrody na rzecz młodszych współpracowników swoich.

Wiadomo, jak wielką wagę Francya przywiązuje dziś do przekładów. Czytaliśmy niedawno rozprawę p. Latour, w której uczony ten filolog dowodzi, że w czasach dzisiejszych, kiedy ludy aryo-europejskie dążą tak silnie do zespolenia się w jednej myśli, kiedy para i elektryczność tak ułatwiają to duchowe ich połączenie, zdolni tłumacze dzielnie pracują na rzecz przyszłej federacyi jednoplemiennych ludów. Utwór, nacechowany geniuszem narodowym, lepiej objaśnia etnografią niż suche erudycyjne wywody. Tą myślą powodowany filolog Langlois ustanowił coroczną nagrodę, w ilości 3,000 fr., za najlepiej dokonany przekład, czyto genialnego utworu z obcych pisarzy, czy też zbiorowego dzieła, jakim są np. pieśni ludowe. Na konkurs tegoroczny nadesłano mnóstwo prac, do tych należy: przekład Wirgiliusza p. Wiktora St. Maur, *Boska komedya Danta* p. Mongis, *Pieśni serbskie i bułgarskie* p. Dozon, *Dramata Szekspira* p. Montaigu, *Colloquia Erazma z Roterdamu* p. Develay. Wszystkie te prace Akademia zaszczycała pochwałą, za dwie ostatnie przysądziła nagrodę utalentowanym tłumaczom.

Do dziesięciu nagród, fundacyi sławnego filantropa Monthyon, przeznaczonych za dzieła, które odpowiadając wymaganiom sztuki, mogą przynieść prawdziwy pożytek społeczeństwu, zgłosiło się stu dziesięciu kandydatów. Akademia zmuszoną była, jak wyznaje z żalem, usunąć od konkursu tych wszystkich, którzy dawniej zostali uwięzieni.

Pierwszą nagrodę w ilości 3,000 fr. otrzymał w tym roku profesor Gerard, za rozbiór filozofii słynnego spirytualisty Maine de Biran, który przed czterdziestu laty stworzył dzisiejszą szkołę psychologiczną. Profesor Gerard ożywił pamięć znakomitego myśliciela. Do krytycznej rozprawy dodał liczne ustępy z niewydanych dzieł Birana, w których filozof ten systematyzuje *wiarę* i *wiedzę*, pokazując zupełną ich różnicę.

Drugą nagrodę przysądziła Akademia p. Allard, autorowi dzieła p. t. *Niewolnicy chrześcijańscy od pierwszych czasów Kościoła do końca panowania na Zachodzie*. Autor w tej znakomitej pracy, podejmuje najważniejsze zagadnienia, tak religijne, jak filozoficzne, tak dziejowe, jak i społeczne. Wykazuje Chrześcianizm pracujący wytrwale od pierwszych początków istnienia swego, nad obaleniem niewolnictwa, tej strasznej gangreny, toczącej starożytną cywilizację. O dziele tém mówiliśmy obszernie w innym miejscu, zaczęm doniosłość jego poświadczoną została jednomyślnym sądem Akademii ¹⁾.

Nagrody Monthyona obejmują wszystkie działy literatury: poezją, filozofią, powieść, obrazy historyczne, podróże i t. d. z wyłączeniem tylko dzieł sprzecznych z zasadami wysokiej moralności, choćby genialnem skreślonych piórem. Co rok widzieliśmy dwie lub trzy zaszczycone nimi powieści; w tym roku, rzecz dziwna, nie dostrzegamy

¹⁾ Kronika Rodzinna r. 1876.

ani jednéj. Z poezyi znajdujemy tylko zbiór ulotnych pieśni panny Ludwika Bertin, p. t. *Nowe pokłosie*. Należało go raczej nazwać ostatniem pokłosiem, autorka bowiem umarła, równocześnie z pojawieniem się zbioru. Akademia położyła zaszczytny wieniec na jéj grobie.

Z pomiędzy podróżopisarzy otrzymał nagrodę p. Lucyan Biard, za pelen życia opis przejażdżki po Ameryce (*à travers l'Amérique*). Z lodowisk Labradoru, autor prowadzi czytelnika do Kanady, przebiega z nim miasta: Montreal, Kwebec, tak prawdziwie francuzkie w duchu. Po drodze wstępuje do chat i dworków, daje poznać życie wieśniaków różnych okolic przy ognisku domowém. W Hawannie pokazuje biesiadujących Murzynów; kończy na ciekawym obrazie, burzliwego Meksyku.

Inną nagrodę Monthyon, przysądzono p. Ferraz, profesorowi fakultetu Lyonńskiego, za ważną pracę p. t. „*Studia nad filozofią we Francyi w XIX wieku*”. Autor przedstawia poprostu, bez namiętnych unieśień, rozmaite filozoficzne teorye, nurtujące dziś w łonie społeczeństwa. Z całą ścisłością logiczną zbija niebezpieczne ich strony, wskazuje przepaść, do której doprowadzą, jeśli umysły nie spostrzegą się w porę i nie przyjdą do zdrowych pojęć.

P. Henryk Parville, zdolny inżynier, otrzymał także nagrodę Monthion, za naukowe pogadanki, drukowane stale w *Debatach*, których zbiór tworzy 15 tomów. Pogadanki te, według sądu specjalistów, zalecają się gruntowną nauką i samodzielnym poglądem. Co więcej, autor umie popularyzować naukę, przedstawiać jéj ostatnie wyniki, w sposób jasny i dostępny dla wszystkich. Akademia nagrodziła jego pracę, jako prawdziwie pożyteczną.

Dostąpił tegoż zaszczytu inny inżynier p. Lenteric, autor ciekawego dzieła: *Miasta umarłe nad zatoką Lionską*. Przedmiotem szczegółowych badań są tu wybrzeża Francyi od strony morza Śródziemnego. Wybrzeża się zmieniły zupełnie i miejscowość w pasmie wieków. Ubogie miasteczka, rozrzucone dziś po głuchéj i jałowéj okolicy, były niegdyś kwitnącymi portami. Tam gdzie dawniej okręta kołysały się swobodnie na falach, piasek naniesiony prądem Rodanu, tworzy dziś rozległe trzęsawiska.

Skreśliwszy dokładnie historią geologicznych przewrotów, pan Lenteric opowiada dzieje zubożałych miast i ludzi, którzy w nich przebywali, podejmuje wszystkie tradycye i legendy, krążące do dziś dnia po tém szerokiém cmentarzysku. Cały ten ustęp nacechowany prawdziwą poezją.

Ostatni rozdział w końcu dzieła, poświęcony stronie czysto praktycznej. Biegły inżynier wskazuje sposoby, jak spożytkować te bagna, zasadzając je gęstym lasem.

Z prac dwu wyżéj pomienionych inżynierów, pokazuje się, że Ocean nie spoczywa tak stale w obrębie swoim, jakto niegdyś mniemano. Podczas gdy morze Śródziemne ucieka coraz dalej od południowych brzegów Francyi, Atlantyk przeciwnie, pochłania coraz bardziej,

zachodnie jój wybrzeża. W piętnastym tomie Parvilla, znajdujemy hipotezę, że za jakie dziesięć wieków, Paryż może się stać portowém miastem, a za trzydzieści, może z całą Francją podzielić losy przedhistorycznej Atlantydy!

W tym roku przypadał właśnie dwuletni konkurs poetyczny, na przedmiot zadany przez Akademią. Wspomnieliśmy rok temu, że tym zadany przedmiotem było uczczenie pamięci Andrzeja Chenier, słynnego poety, którego głowa spadła pod gilotyną za czasów konwencji narodowej. Stu dwudziestu trzech kandydatów nadeszło na konkurs utwory swoje. Otrzymał nagrodę p. du Locle. Poemat odczytany świetnie przez Legouvégo, wywołał najgorętsze oklaski; skoro tylko wyjdzie z druku, zdany z niego sprawę szczegółową. Powiedzmy tu jednak, że utwór ten, doskonały pod względem formy, z pierwszego wrażenia, wydał nam się zbyt sztucznym. Brak w nim tego żaru, co bucha z żywój piersi i pochwyca za serce czytelnika. Poeta w prologu przedstawia grono muz na Parnasie, jak ubolewając nad smutnym losem poezyi, zsyłają na ziemię wypiastrzanego przez siebie ulubieńca. W epilogu też muzy płaczą nad jego skonem. Gdzie prawda sama przez się tak wymowna, tak dramatyczna, poco szukać muz i parnasu?

Inny poeta Sully Prudhomme otrzymał nagrodę 4,500 franków, już nie za pojedynczy utwór, ale za kilkoletnią pracę na polu poetycznym. Znany dwutomowy zbiór jego ulotnych poezyi; forma w nich prawdziwie wytworna: niektóre tchną gorącą miłością kraju. Akademia uwieńczyła w nim nietylko zdolnego poetę, ale młodzieńca z czystą myślą i wyższém uczuciem, który sam o własnych siłach, wyrobił sobie w literaturze zaszczytne stanowisko, a życiem pełném powagi i godności zjednał sobie powszechny szacunek. To chlubne świadectwo, oddał mu publicznie sprawozdawca z nagród akademickich.

Zakończył posiedzenie Aleksander Dumas, przedstawiając publiczności paryżkiej, innego rodzaju laureatów, mniejszego rozgłosu, ale wyższej niewątpliwie zasługi, do których można tak trafnie zastosować dwuwiersz Mickiewicza:

W słowach tylko chęć widzim, w działaniu potęgę;
Trudniój dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę!

Aleksander Dumas wywiązał się wybornie z zadania. Z właściwym sobie talentem dramatycznym, a przytém z prostotą godną przedmiotu tak wzniosłego, przedstawił życie tych prostaczków, ich codzienne walki i czyny miłości, podniesione nieraz do bohaterskich poświęceń. Przyszedł wreszcie do pięknej konkluzyi; oto ostatnie jego słowa:

„Ktokolwiek jak ja przeżył kilka dni w towarzystwie tych zanych dusz, nietylko że się staje lepszym, ale czuje w sobie więcej odwagi, więcej światła i wiary, niż po przeczytaniu najmędrszych przepisów, najdoskonalszych traktatów filozoficznych; czemu? bo geniusz nie wytlómaczy Boga, a dobroć oddaje Mu żywe świadectwo!

Zapowiedziane od roku wspomnienia pani Agoult, znanéj pod pseudonimem Daniel Stern, ukazały się w obszernym tomie przed kilku miesiącami. Paryż oczekiwał ich niecierpliwie: jedni spodziewali się znaleźć w tych wspomnieniach, nowe źródła do psychicznych badań nad ludzkim sercem, inni cieszyli się nadzieją małych skandalików. Demokraci przyklaskiwali najprzód zdemokratyzowanej arystokratce, które tak świetnym piórem skreśliła obraz rewolucyj 1848 roku, którą Lammenais obrała za powiernicę swych filantropijno-mistycznych mrzonek, Mazzini za poufną korespondentkę. Przedmowa ogłoszona w dziennikach przed ukazaniem się dzieła, bardziej jeszcze zaostrzyła ciekawość powszechną. Autorka wylicza w niej najśłynniejsze autobiografie, określa ich wady i zalety: żadna nie odpowiada jak widać jej pojęciom: każda pociąga ją, a zarazem budzi w niej szczególną odrazę. Dwaj tylko: Goete i Alfieri znaleźli u niej względy.

„Pierwszy ze znanych autobiografów Św. Augustyn, mówi pani d'Agoult, mieszając do wyznań swoich skrupuły kazuistyczne, rozrzewniał mnie i zmuszał do uśmiechu; książka Jana Jakóba Rousseau, cudowna i nikczemna zarazem, zdumiewała mnie i oburzała. W wyznaniach jego szlachetnej zwolenniczki (Georges Sand), *tęj niewiasty cnoty starożytniej*, która nieznała trwogi ani kłamstwa, radabym wymazała wiele stronnic, zbyt przypominających wzór mistrza. Wielki styl Chateaubrianda, doprowadzał mnie czasami do zachwyty, ale mój zapach gasł prędko, zmrożony powiewem wygórowanej próżności.“

Z tak ostrego zdania o pracach poprzedników, można było wnosić, że autorka równie surowo sądzić będzie swoje własne wyznania. Ale snadniej dopatrzeć żdźbło w cudzym oku, niżeli belkę w swoim: ktokolwiek przeczytał dzieło pani d'Agoult, znalazł w nim nowy dowód, owę ewangeliczną prawdę. Próżność jej nie ustępuje bynajmniej przed próżnością Chateaubrianda; rodowa pycha z zasług starych praocjów jej Flavinich, nie mniejsza od dumy Georges Sand z tryumfów dziada po kądzieli, Maurycego Saskiego, zwycięzcy pod Rocroy.

Wyobrażamy sobie z jakim zgorszeniem, demokraci na samym wstępie dzieła, spotkali ten szereg feudalnych protoplastów, którym autorka hojną ręką posypuje wieńce i kadzidło. Pierwsi z nich toną w pomroku średnich wieków, ostatni oblewają krwią gilotynę, lub z kijem pielgrzymim, depczą ścieszki wygnania. Wszyscy równie dzielnie szermierzą piórem jak i mieczem. Jeżeli zardzewiał miecz Flavinich, pióro za to prawem krwi, przeszło na praprawnuczkę. Ale potrzeba było innych jeszcze żywiołów, aby ukrzepić arystokratyczną płonkę, i doprowadzić ją do wyższej ewolucji. Te żywioły znalazły się w niemieckiej rodzinie z Frankfurtu. Ojciec autorki emigrant, przebywając za Renem, pojął w małżeństwo córkę Betmanów, pysznych reprezentantów staro-germańskiego mieszczaństwa, którzy ze wzgardą pomiatali dorobkowiczem Rotszyldem. Ale i wpływ germański nie wystarczał; potrzeba było zrównoważyć go szlachetniejszym żywio-

łem włoskim. Otóż więc Betmanowie mieli w rodzie swoim po kądzieli jakiegoś Włocha *Adami*. „Temu to macierzystemu naddziadowi, mówi autorka, zawdzięczam może wrodzony smak estetyczny, i gorącą miłość ziemi włoskiej.“

Oprócz tych fizycznych wpływów, były inne nadprzyrodzone, które uczyniły z Maryi Flavigny istotę wyjątkową. Do tych należy godzina urodzenia. Przyszła na świat w chwili, gdy zegar na wieży frankfurckiej uderzał samą północ. W Niemczech panuje zakorzeniony przesąd. Dzieci zrodzone o północy (*Mitternachtskinder*) w mniemaniu powszechnym, są natury mistycznej, pozostają w związkach z duchami, mają we śnie cudowne objawienia. Autorka nie odrzuca téj wiary, poświadcza ją mnóstwem faktów z życia własnego; opowiada jak we śnie magnetycznym przepisywała sobie skuteczne leki, jak w każdym stanowczym wypadku, czuła przy sobie niewidzialnego *demon*a. W życiu jéj widoczna *predestynacya*; frenologowie podziwiają na głowie jéj guz sprawiedliwości, który naraża ją na wiele cierpień. Panna Lenormand przepowiada, że imię jéj słynąć będzie, nietylko we Francji, lecz w Europie całej. Wszystko to przypisuje autorka szczęśliwej godzinie urodzenia. Opiera się w tém na powadze Goetego, który też swoje losy wyprowadzał ze szczęśliwego zbiegu konstelacyi, w chwili gdy przyszedł na świat.

Goete był dla pani d'Agoult prawdziwém bożyszczem. Z religijną czcią opisuje pierwsze i jedyne z nim spotkanie. Było to w Frankfurcie w r. 1813, miała wtedy lat ośm. „Bawiłam się, mówi, w ogrodzie, z towarzyszkami, kiedy ujrzałam nagle w długiej alei na prawo, starca zbliżającego się ku nam. Cała nasza rodzina, z wielkiém poszanowaniem, tworzyła przy nim orszak. Pilnie wlepiłam oczy.

„*Es ist der Herr von Goete!*—zawołała jedna z dziewcząt— i w téjże chwili usłyszałam imię moje. Chciałam uciekać, nie było sposobu; orszak zanadto się przybliżył. Postąpiłam nieśmiało kilka kroków.

— To siostrzenica moja, mała Flavigny,—rzekł wuj Betman wskazując mnie Goetemu.

„Starzec uśmiechnął się, wziął mnie za rękę, idąc wyszeptał kilka słów niewyraźnych, a potem usiadł na ławce, zatrzymał mnie przy boku całą drżącą. Przyszłam jednak do siebie: podczas gdy prowadził rozmowę z obecnymi, spojrzałam nań ukradkiem. I w téjże chwili, jak gdyby uczuł wzrok mój, obrócił ku mnie oczy. Te dwie płomieniste źrenice, przesyły mnie na wskroś; blask tryskający z czoła, oślepił mnie niejako. Żegnając krewnych moich Goete położył mi rękę na głowie, zostawił ją długo, pieścił nią jasne moje włosy: nie śmiałam odetchnąć. O mało nie ukłękłam. Czuła-żem ja w dotknięciu téj dłoni magnetycznej, błogosławieństwo, wróżbę przyszłej opieki? Nie wiem! To jednak wyznać mogę, że ilekroć w życiu ukorzyłam się duchem pod tą ręką błogosławiącą, powstawałam zawsze ukrzepiona!“

Szczegółowo autorka przebiega swoje lata dziecinne, pokazuje dwa prądy: francuzki i germański, które zbiegły się w nią szczęśliwym trafem i rozlitły iskrę geniuszu. Wprawdzie wyraz ten zatrzymał się na jej ustach, łatwo go przecież zgadnąć. Z powrotem Burbonów, rodzice wrócili do Francji, osiedli w zamku wiejskim, opodal od Paryża. Tu zaczęło się wychowanie dziesięcioletniej córki, wychowanie łączące według niej wszelkie warunki doskonałości.

Matka i bona rozmawiały z nią po niemiecku. Przy nich czytywała powieści Grimma, powtarzała bajki Gellerta, i monologi Szyllerowskie; uczyła się muzyki z sonat Hajdena i Mozarta; z książek ilustrowanych opowiadano jej cuda Kosmosa. Nad tym germańsko-mieszczańskim wpływem, przemagał wpływ ojca, starego francuzkiego arystokraty. Zobaczmy jak córka maluje ową typową postać.

„Mój ojciec żartował zawsze z Niemców. Był to nieodrodny Francuz, nie lubił muzyki ani metafizycznych mrzonek. Religia była mu rzeczą całkiem obojętną. Z autorów cenił najwięcej Horacego, Owidyusza, Rabelais'a, Lafontain'a, a przedewszystkiem Woltairea. Z ich-to dzieł, a nie z Pisma Świętego, dyktował mi całe ustępy. Na bajkach mytologicznych zaprawiałam rękę do pisania. Znałam porwanie Prozerpiny, podziwiałam kolebkę Herkulesa, ale nie słyszałam nigdy o Żłobku Betlejemskim. I tak rosłam pod wpływem dwu odmiennych narodowości. Urok Szyllera i Mozarta, zarówno oddziaływał na mnie, jak geniusz Moliera i Woltera; przechylałam się to ku jednej, to znów ku drugiej stronie, a w rzeczy samej nie byłam ani zupełną Francuzką, ani też stanowczo Niemką. Czułam się obcą tak w jednym jak i w drugim kraju, a co więcej w wielu wypadkach, obcą dla najbliższych osób, obcą dla siebie samej!”

Dziwny to stan psychiczny. Jeśli z jednej strony, pod wpływem takiego dualizmu, talent autorki wyrobił się racjonalnie; z drugiej strony musimy przypisać tak anormalnemu oddziaływaniu, szczególny chłód wiejący ze wszystkich jej prac czy to historycznych czy literackich. Do niej nikt nie zastosuje słów ewangelii: „wiele przebaczonóm jej będzie, bo wiele ukochała.“

W przykry sposób razi uczucia nasze, wstręt jej do własnej matki, i cynizm, jakim przyznaje się do tej mimowolnej niechęci. Ojciec umarł; matka zawiozła ją do Paryża, pomieściła w *Sacré Coeur*, sama zaś wyjechała do Frankfurtu. Córka miała naówczas rok szesnasty. Łatwo pojąć jak atmosfera klasztorna, obcą była dla młodej Wolteryanki; przywykła jednak do niej, a nawet z widoczną odrazą powróciła w progi domowe.

Zamieszkały w Paryżu. Matka dumna z piękną jasnowłosą córką „przypominającą wiotką postawę bohaterki Szyllerowskich balad, (tak pani d'Agoult mówi o sobie), dobra matka otaczała ją najtkliwszém staraniem, kochała ją nad wszystko. Jak córka odpłacała tę miłość? Powtarzamy jej słowa.

„Nadzwyczajny pociąg czułam do ojca mego, wszystko w nim zachwycało mnie, uderzało oczy nieporównanym wdziękiem; matka przeciwnie, *wcale mnie się nie podobała*. Nie brakło jój przecie powabu, zachowała ślady dawniej piękności, ubierała się z wielkim staraniem. A przecież obecność jój, nigdy mi nie była przyjemną; rozmowa z nią nie potrafiła we mnie żadnej myśli. Mimo jój wielkiej dobroci i słodyczy, nigdy nie otworzyłam przed nią serca. Mówiłyśmy tylko o rzeczach obojętnych.“

Co mogło spowodować tę niechęć? Zarozumiałość córki, przewyższającej matkę nauką i pozornym ukształceniem. Siła uczucia zagładza zwykle tego rodzaju nierówności; ale córka nie miała serca. Zimno przyjmowała ona hołdy młodzieży znuconej urokiem jój wdzięku, a więc jak mówi sama, ogromnym jój posagiem. Ku jednemu tylko uczuła żywy pociąg. Był to człowiek blisko pięćdziesięcioletni, wytrawnego umysłu. Oddalił się czując niestosowność podobnych związków. Upokorzona w miłości własnej panienka, rzuca się szalenie w romanse Chateaubrianda i Goetego: *Werter, Rene, Faust*, do reszty kłóć ją z życiem, zrozpaczona chce umrzeć, ale śmierć nie przychodzi. Trzeba skończyć rzecz w inny sposób, w myśl wielkiego poety:

Gdy na kobietę zawołają „żono!“

 Już ją żywcem pogrzebiono.“

Panna Flavigny oddaje rękę hrabiemu d'Agoult. Małżeństwo to czysto konwencyonalne. Mąż nie dorówna żonie pod względem majątkowym, ale nosi imię wysoko arystokratyczne, należy do dworu, jest pierwszym koniuszym delfinowej: jak odrzucić tak świetny związek?

Czy hrabina d'Agoult uważała się w rzeczy samej za pogrzebioną, odkąd dano jój nazwę żony? nie do nas o tém sądzić. Nie mamy prawa uchylać zasłony, którą autorka rzuca na życie własne, od chwili rozpoczęcia autorskiego zawodu. Nie wiemy zkąd czerpała natchnienie do romansu *Nelidy*, w jakim usposobieniu ducha kreśliła studia nad Goetem, nad sztuką i literaturą włoską. Dostrzegamy zaledwie pierwszy brzask, zapowiadający wschód słońca. Ten brzask zaświtał w listach. Przebywała czas jakiś w południowej Francji; ztamtąd pisywała do krewnych i przyjaciół, malowała piękne brzegi morza Środiemnego i alpejskie podgórze. Te listy przebiegały z rąk do rąk po salonach paryżkich; nazwano ją nową Sevigné. Za powrotem hrabina d'Agoult otworzyła także swój salon. Z dumą opisuje ten salon *postępowy*, łamiący zastarzałe przesady, do którego, ktokolwiek bliższczał inteligencyą, znajdował łatwy przystęp, gdzie *Lelia* pani Sand, świeciła na stole z wielkim zgorszeniem matron arystokratycznego przedmieścia.

Autorka kreśli tu własny obraz; przytaczamy dla osobliwości całą tę apoteozę:

„Jak niegdyś słynna pani Roland, mogłam wiedzieć, że szczebel, na którym stoję, niedostępny dla tłumów. Rozum mój niepospolicity,

wraz z wyobraźnią i uczuciem mojem, nadaje mi odrębny temperament, łączący w sobie zalety francuzkie z niemieckimi. Słodka z natury, mam humor jednostajny, charakter prawy, obojęcie ujmujące. Nie dojrzeć we mnie pedantyzmu, ani próżności, ani pretensjonalnej przesady. Mogę być wymowną, lecz nie zawsze; wówczas tylko, gdy serce moje poruszone uczuciem. To uczucie głęboko ukryte w duszy, niekiedy wybucha błyskawicą. Niecierpię komunałów; nie pożyczam rozumu od nikogo, nie umiem czczą rozmową zabawiać gości moich. Pragnę się przypodobać, ale tym tylko, którzy mnie się też podobają. Głupcy, samochwały, pleciuchy, nudzą mnie śmiertelnie. Słucham ich z roztargnieniem; odchodzą obrażeni: mam w nich zawziętych nieprzyjaciół.“

Pochwały te skróciliśmy o połowę. Sam nawet Chateaubriand, tak surowo pomawiany o próżność, wydaje się skromnym w obec takiego samochwalstwa.

Obrazy społeczeństwa francuzkiego za restauracyi, jak niemięj w początkach monarchii lipcowej, stanowią najciekawszą stronę *Wspomnień* hrabiny d'Agoult. Niektóre typy wybornie odszkicowane w kilku śmiałych zarysach. Oto z nich jeden:

„Po 1830 roku, między młodemi kobietami powstał typ nowy, ekscentryczny, typ *lwicy*. Na wzór bohaterek Georges Sand, *lwica* odtrąca pogardliwie zwykły niewieści urok. Nie pragnie ująć wdziękiem za serce, ani rozumem oczarować umysłu; chce raczej zadziwić zachwałością. Konna jazda, polowanie, to ulubione pole jej popisów. Z podniesioną szpicróżgą, z ostrogami przy butach, strzelbą na ramieniu, cygarem w ustach, pełnym kielichem w dłoni, wrzaskliwa i zawadycka *lwica*, wyzywa śmiało mężczyznę do zapasu.“

Ów typ, mówi pani d'Agoult, zanadto mącił harmonię arystokratycznych salonów, opuścił je też wkrótce i w inne przewędrował sfery.... Później przestrojony po amerykańsku, wrócił tryumfalnie i znów rozgościł się po domach pierwszych paryzkich elegantek.

W obec tego typu, którego genezę wyprowadza autorka, jak widzimy, od bohaterek Georges Sand, stawia nam przed oczy inny, całkiem odrębny, w postaci genialnej kobiety z pierwszych początków tego wieku. Mówiny tu o sławnej pani de Stael. Pani d'Agoult opisuje spotkanie jej w domu Betmanów, z matką Goetego, ciekawym również typem staro-germańskiego mieszczaństwa.

„Pani *radczyni* Goete (Frau Rath) miała na głowie trzy strusie pióra: białe, czerwone i błękitne, według francuzkiej mody. Policzki jej mocno były pociągnięte karminem. Na piersi, suto zagarniowane drogocenną koronką, spadał sławny łańcuch, upominek królowej pruskiej. Lewą ręką w białej rękawiczce poruszała ogromny wachlarz, prawą, błyszczącą od mnóstwa pierścieni, sięgała co chwila do złotój tabakierki, ozdobionej portretem syna.

Strojne matrony obsiadły w półkole pyszny salon Betmanów, kiedy ukazała się w nim długo oczekiwana (*die Langerwartete*). To-

warzyszył jój Benjamin Constant. Ubrana była jak Korynna w sławnym romansie. Miała na głowie turban koloru zorzy, takąż samą tunikę atłasową. Z czarnych jój oczu sypały się płomienie; usta przyświecały koralem: w rękę trzymała, jak zwykle, gałązkę laurową.

Dziwnie wyglądała ta wielka postać w stroju wschodnim, wobec sztywnych matron frankfurckich. Nastąpiły prezentacje. Pani de Stael patrzyła zdumioném okiem na francuzki strój pani radczyny, na trójkolorowe jój pióra. Pani radczyna powstała z miejsca, dumnie podniosła głowę, lewą ręką poprawiła fałdy sukni, prawą schyliła kilkakrotnie wachlarz na znak powitania. „Jestem matką Goetego!“ rzekła donośnym głosem.

— Jakżem uszczęśliwiona—odparła autorka *Korynny*, i głuche milczenie zapanowało w sali.

W wiele lat później, pani d'Agoult pragnęła napisać rozprawę o życiu i pracach pani de Stael. Rozprawa ta była właśnie przedmiotem akademickiego konkursu na rok 1849. W tym celu autorka zbierała skrzętnie materyały. Inne zajęcia literackie odwiiodły ją jednak od powziętego zamiaru. Nastąpił tymczasem sąd konkursowy. Wśród kilkudziesięciu rozpraw, akademicy odróżnili jedną znakomitszą od innych. Alfred de Vigny poszeptał kolegom, że to rozprawa Daniela Sterna. Słowa te zmroziły zapal nieśmiertelnych. Odrzucili piękną pracę; wieniec otrzymał ktoś mniej zasłużony, lecz szczęśliwszy. Rozprawa odrzucona skreśloną była świetném piórem profesora Caro.

Takie to uprzedzenia przeciw niewieścim pracom panowały przed trzydziestu laty w Akademii francuzkiej.

Aleksander Parodi, zachęcony powodem *Rzymu zwyciężonego*, wydał nowy dramat wierszem, p. t.: *Sephora*. Dramat ten, przypominający formą dawne Misterya średniowieczne, nie odpowiada wymaganiom dzisiejszej sceny. Autor u kolebki rodu ludzkiego, wprowadza w grę dwa prądy, które od wieków wstrząsają społeczeństwem, a dziś groźniej niż kiedykolwiek wystąpiły wzajem do zapasu. Jest to walka materjalizmu ze spirytualizmem, walka rozumu, przeczącego uporczywie,—z duszą, rozmiłowaną w tradycji.

Rzecz dzieje się w 900 lat po stworzeniu świata. Adam nie umarł jeszcze. Rozbił obecnie namiot w pobliżu miasta Henochii, dźwigniętego ręką synów Kainowych. Czując się bliskim skonu, pragnie zdjąć klątwę z czoła bratobójcy, ale Kain nie przebywa w tych murach. Gnany rozpaczą przebiega wciąż ciemne jary i dzikie knieje. Wzywa śmierci!... napróżno!... Głodne lwy brzydzą się kośćmi przekłętego.

W mieście rozsiadło się plemię Kaina. Szalona pycha zaślepiła oczy bezbożnym. Uragają Bogu, czczą tylko własny rozum i siłę pięści własnej.

Akt pierwszy rozpoczyna się o brzasku dziennym. W pomroku sterczą potworne mury miasta. Adam wychodzi z namiotu, stoi wspar-

ty o kosztur. Dźwięki gędzby dają się słyszeć. Stróż nocny budzi mieszkańców, zwołuje ich do dziennej pracy.

Syny Jabela, wstańcie co żywo!
 Syny Tubala, powstać wam czas!
 Spiż kipi w kotle, znoście łuczywo;
 Wół ryczy w polu: pług czeka was!
 Ujmij Nahamo w rękę wrzeczono,
 Podsyć Henochu rolę spaloną;
 A ty, Lamechu, łowcze wytrwały,
 Zwołaj psy gończe, weź łuk i strzały.
 Powstań do pracy dzielne ty miasto,
 Praca twém życiem, bogactwem czas;
 Zbudźże się mężu, zbudź się niewiasto:
 Kanity, budzę was!

Słyszcy to Adam i łzę wzbiera mu oko. Czémże, pyta, owa praca, nie uświęcona modlitwą, nie spełniona w myśl Stwórcy? Zgrozą przejmując go zastłyszany okrzyk, mieniący człowieka równym Bogu. Wgnaniec z raju, spotyka oko w oko zaślepionych pychą prawnuków. Z pomiędzy tych występuje najprzód krzepki Tubal, który olbrzymim młotem wykuwa miecze i topory. Ciekawym wzrokiem przegląda na Adama.

TUBAL.

On-że tu przybywa,

Co wyrósł pierwszy z ziemi, niby palma żywa;
 Gdy twórczy płomień słońca potęgą swych grotów,
 Skrę życia z jój wirowych wydobyl obrótów?

ADAM.

O, nie! Adam nie wyrósł jakby drzewo ziarna,
 Słońce go nie zrodziło, ani ziemia czarna:

W nichżeby tchu zaczerpnął?... on słońce i ziemię
 Zna, mierzy, on je sądzi, oblicza ich brzemię.

Przez Twe usta, o Boże! Twą przedwieczną siłą,
 Twe tchnienie, w martwą glinę, skrę życia złożyło!
 Czuł-że Boski początek duch ledwie zbudzony?

TUBAL.

ADAM.

Żar miłości rodziera tajemnic zasłony,
 Myśl upragniona światła, gdy ją nicość trwoży,
 Czuła, jak na nią spływał z niebiosów Duch Boży!

Lamech, straszny myśliwiec, boleśniej jeszcze rani serce praojca, oznajmiając mu, że pyszna Henochia obchodzi corocznie chlubny dzień, w którym pierwszy człowiek rzucił wyzwanie wbrew Jehowie, i zawołał: „jam wolny!”

Myśliwcy zbrojni w łuki i oszczepy wychodzą tłumnie na łów. Chór zawodzi hymn na cześć spiżu, który czyni człowieka panem życia i śmierci.

- PIERWSZY CHÓR. Spiż, ognia syn dzielny!
Zawładnąć mu wszędzie,
On z piersi śmiertelnej
Skrę twórczą dobędzie.
Kowane zeń pługi
Nakarmią plemiona;
Szablica krwi strugi
Wytoczy z ich łona.
- DRUGI CHÓR. Wre coraz zuchwałój,
Kto wstrzymać go może?
On lasy powali,
Opoki rozorze;
On złoto z ich wnętrzy
Dobędzie przeczyste,
Na murach upiętrzy
Wieżycę strzeliste!
- PIERWSZY CHÓR. Bez skrzydeł uleci
W powietrzne lazury,
Nim piorun zaświeci,
Spiż wydrze go z chmury!
- DRUGI CHÓR. Człek będzie zatrąą
Niesytój lwów tłuszczy,
Łby z grzywą kudłatą
Powali na puszczy!
- PIERWSZY CHÓR. Przygniecie kolanem,
Rozszarpie na ćwierci.
- DRUGI CHÓR. Przy spiżu, człek panem
Żywota i śmierci!
- RAZEM. Tygrysy, lamparty,
Z krwawemi pazury,
Lwów pomiot zażarty,
Kudłacze i tury;
Ta chmara straszliwa,
Co w morzu się plemi,
Co skacze, co pływa,
Co pełza po ziemi,
Moc uzna człowieka:
Zatrata je czeka!

Na widok tych mieczów i toporów, Adam zaléwa się łzami. Przybiega ku niemu Sephora, czysta gołąbka, cudem zrodzona w sępiém gnieździe Kanitów; przynosi mu słodką pociechę. Jój ojciec, Jubal, pierwszy gędźbiarz, nawiązał struny barfy, i przy dźwięku ich opiewał ludzką boleść. Pod urokiem pieśni ojcowskiej dusza dziewczęcia ubiega co dnia z modlitwą ku niebiosom. Anioł Zacyel, nieodstępny jój stróż, podejmuje na skrzydła tę modlitwę, zanosí ją do stóp Jehowy.

Pyszny Tubal, narzeczony Sephory, staje pomiędzy nią a białym ze-
słańcem niebios. W rozmowie jego z aniołem, poeta wyraził żywo
walkę dwu prądów miotających światem przez wieki. Tubal prze-
chwala się z dzieł, jakie wymyślił twórczym geniuszem i krzepkiemi
wykonał rękoma.

ZACYEL. Coś spełnił?

TUBAL. Byłem nagi, i przędzą lnu białą,
Utkaną w miękki rąbek, skryłem drżące ciało.

ZACYEL. Nad lniane twoje włókno, jedwab cudniej świeci,
A robaczki go przędą.

TUBAL. W dnie chłodnej zamieci
Śnieg padał mi na głowę: ze złomów opoki

ZACYEL. Wzniosłem gród, co tam czołem sięga pod obłoki.
TUBAL. Dawniej pszczoły i bobry domy budowały.

ZACYEL. Ścisnąłem lwa za paszczę, aż mu ozór cały
TUBAL. Zygnał krwią....

ZACYEL. Małoż kości ludzkich w paszcz tę wpadło?

TUBAL. Jaki zwierz, jaki robak wymyślił kowadło,
I wali w nie potężnie z krwawym czoła potem,
Aż się splaszcy i zmięknie twardy spiż pod młotem?
Kto śmiał rzec do potoku: kręć-że młyńskie koła?

ZACYEL. Sokół z gniazda się zerwał: dosięgam sokoła!
Słońce zgasło; żar słońca w mym kagańcu płoniel
W onyks góróm wydarty, stroję dziewic skronie,
Na ich piersi błyszczące zawieszam klejnoty!

ZACYEL. Rychło na wszystkich gwiazdach rozbiję namioty!
Olbrzymia twoja pycha, lecz mądrości wątek
Jak słaby! Wiesz-li, pytam, z kąd światła początek?
Gdzie ognisko, co wiecznie podsycy te żary?
Z kąd rzeka, co szerokie przebiega obszary,
Wciąż zdroje czerpie nowe? Ile słońc w przestrzeni,
Ilu ciałóm użycza blasku swych promieni?

TUBAL. Jaki łańcuch te gwiazdy skuł tajemną mocą,
Że się w próżni eteru w proch nie podruzgocą?
ZACYEL. Nie wiem, lecz wiedzieć będę.

TUBAL. W oceanu łonie

ZACYEL. Zliczył-żeś żartkie wały, zgruntował-żeś tonie?
Wiesz-li co tak porusza wściekły szal olbrzymia?
Jaka siła go wiecznie na uwięzi trzyma?
Ty, przyrosły do ziemi, poznałżeś jój prawo?
Kto z wnętrza jój pchnął góry? Któż odział je trawą?
Z kąd on wół, co cierpliwie ciągnie pług po roli
I tygrys co wprzódz w jarzmo karku nie pozwoli?
Poznał-żeś i obliczył wszystkie twory świata?
Wiesz jak z jajka się kluje ptaszyna skrzydlata?

TUBAL. Poznam to!

ZACYEL. Czyż twe myśli w odmęcie nie zgrzeźły,
 Gdyś badał życia twego tajemnicze węzły;
 Wiesz-li czemu, gdy serce twe silniej uderzy,
 W zbudzonej wyobraźni błyska obraz świeży?
 Z włókien twego mózgu, wiesz-li jaka władza,
 Jaśniejszy coraz wątek cudem wyprowadza?
 Odkrył-żeś twoje przyszłość? brzask-li zorzy złoty,
 Jeszcze za grobowemi zabłyśnie ci wroty?
 Kiedy śmierć krucho z gliny roztrąci naczynie,
 W cóż obróci się płomień, czy we mgłę rozplynie?
 Wszystkoż na dno przepaści razem się potoczy?
 Naciągnij łuk twój myśli!

TUBAL (*rozpaczliwie*). Ach! kiedyż me oczy

Przenikną nieskończoność!

Widok Sephory jak słodki balsam koi rozpacz Tubala. Wpływ niewiasty, w której piersi przechowuje się promień ideału, na której ustach nie skonała modlitwa, wpływ niewiasty odrodzi społeczeństwo, zagrzebane w grubym materyalizmie. Taka jest myśl poety.

Drugi akt odbywa się o zmroku, w puszczy przedpotopowej. Kain odwieczny tułacz z krwawą plamą przyrosłą do czoła, pojawia się na scenie. Przekleństwo bucha z ust bratobójcy, niby lawa z paszczy wulkanu. W chwili, gdy rozpaczliwie wzywa śmierci, przebiega strzała, godzi go w samo serce. Tę strzałę wypuścił z łuku Lamech, w mniemaniu, że dziki zwierz przemknął leśną gęstwiną. Sephora ostrzeżona przez anioła, staje przy konającym, objawia mu ojcowskie przebaczenie. Nadchodzi Adam, zdejmując kłatwę z bratobójcy i w téj-że chwili krwawa plama znika na potępioném czole. Skruszony syn kona w objęciach ojca. Adam płacze nad trupem pierworodnego; wraz z Sephorą i młodym synem Gadem, niesie zwłoki na macierzyńskie łono Ewy; oblane jój łzami, pogrzebie obok Abła. Kainici powracają do dziennéj pracy.

Mimo zawitych ustępów i bladéj nieco postaci głównej bohaterki, piękny to jednak dramat. Barwa biblijna wiernie w nim zachowana, wiersz każdy brzmi dźwiękiem metalicznym. Francuzi nie pojęli go dosyć: „Co nam dziś po mglistéj i mistycznej filozofii?“ rzekł jeden z poważniejszych krytyków. Przekonani jesteśmy, że jeśli jakiś zdolny niemiecki poeta przełoży ten utwór i jeśli uprzedzenie przeciw wszystkiemu, co z francuzkich pochodzi źródeł, nie oddziała na sąd czytelników, dramat ten znajdzie w Niemczech niemałe powodzenie.

Kilka miesięcy temu, odbyła się w sali sorbońskiej, gorąca dysputa, przypominająca czasy świetnych turniejów literackich. W obec sądu przysięgłych, pod prezydencją profesora Meziera, p. Aulard, kandydat na doktora w wydziale literatury, bronił tezy swojej, której przedmiotem było ocenienie prac włoskiego poety Leopardgo. Zimny

racyonalista nowej szkoły, p. Aulard, usiłował dowieść, że dla rozwinięcia skrzydeł geniuszom, nie potrzeba ani wiary, ani miłości, ani patriotyzmu, lecz myśl filozoficzna, ściśle sformułowana, stać się może dostateczną pobudką. Przeciw takiemu dowodzeniu, silnie wystąpił prezes sądu Mezières: wsparło go całe grono Akademickie.

Aby zrozumieć wielką doniosłość sporu, rzućmy okiem na życie Leopardiego, najzaciętszego z pesymistów tej epoki, która wydała Byrona, Hejnego, że pominiemy tylu innych. Urodzony w r. 1798, w miasteczku Recanati, odrażający powierzchownością, dziki umysłem, Leopardi od dziecka, przedmiotem był wstrętu, nie tylko dla obcych, lecz dla własnej nawet rodziny. Matka zimna i słaba nie wsparła go nigdy kochającym sercem; ojciec, hrabia Monaldo, ubogi, lecz pełen arystokratycznych przesądów, chcąc złamać niepodległy umysł syna, upokarzał go bezustanku. Samotny w pośród swoich, chłopiec umiłowwał naukę. Obdarzony wielką zdolnością, wyuczył się od plebana łaciny i greczyzny; tłómaczył z upodobaniem starożytnych klasyków, przejął ich piękną formę. Wychowany w zasadach wiary chrześcijańskiej, napisał rozprawę przeciw pogańskim błędom; wkrótce jednak zwątpienie powstało w jego sercu: wyziębla w nim tradycyjna wiara; ztąd nowe nieporozumienia z rodziną. Leopardi znieawidził dom, pragnął go czempredziej opuścić; zawzięty ojciec stawiał mu twardy opór. W takichto warunkach, samotny zawsze i ponury, przyszedł wreszcie do lat młodzieńczych. Ale nie dla niego wesole pieśni i swobodne pląsy z towarzyszami. Świadomy szpetnej powierzchowności swojej, ucieka jak może od ludzi; dziewczęta mijają go z pogardą: żadna nie poda mu kwiatka, żadna nie spojrzy nań z uśmiechem. Mimo tak powszechną obojętności, serce młodzieńca przemówiło. Spozstrzeża w okienku piękną dziewczeczkę, odtąd ściga ją myślą i okiem, marzy o niej we śnie i na jawie. Niestety! dziewczyna opuściła miasteczko i niebawem umarła, nie zgadując nawet, jak gorąco była kochaną.

Inne uczucie zapala jeszcze pierś poety: kocha on ziemię ojczyzną. I tu spotyka niemniej gorzki zawód. Włochy z jarzma francuzkiego, przeszły pod panowanie Austrii. Umysły w ciężkim pogrążone śnie, nie czuły nawet własnego upokorzenia. Leopardi pragnął je rozbudzić. Nastraja lirę, wydobywa z piersi potężne dźwięki, przyzywa z przeszłości wielkich poetów: Dantego i Petrarke. Wyżej jeszcze zasięga myślą, woła w pomoc Scypionów, Brutusów, Fabrycuszów rzymskich. Ale wyrodzone plemię nie rozumie go nawet! Pieśń jego nie znajduje oddźwięku w sercach. Wówczas słowo miłości staje się piorunem przekleństwa. Włochy umarł! on niema już ojczyzny; pierzchła uluda seuna! Poeta nową potracą strunę. Opięwa rozpacz i nicestwo!

Skończył lat dwadzieścia trzy. Jego poezye drukowane po piśmie, przeszły niepostrzeżone. Wreszcie za zgodą ojca, opuszcza nienawistne Recanati, otrząsa proch z obuwia swego, pośpiesza do Rzymu. Uszczęśliwiony zrazu, wkrótce niezłomne napotyka zapory. Niewie,

jak sobie radzić z ludźmi, wszystko zamknięte przed nim, a jednak żyć potrzeba. Pracuje więc nad gramatyką i filologią, pisze artykuły do przeglądów, tłumaczy, zbiera notaty. Uczeni zwracają wreszcie uwagę na pracowitego młodzieńca. Niebuhr i Bunsen biorą go pod opiekę, ofiarują katedry w Niemczech, ale wątplwy stan zdrowia nie pozwala mu przyjąć stałego obowiązku. Po dwuletnich wysileniach wraca do Recanati, ubogi, smutny i zniechęcony.

Oddala się znów do Medyolanu, ślęczy w drukarni nad wydawnictwem Cyclerona; drukuje własne poezye, których nikt czytać nie chce. Aby nie umrzeć z głodu, daje lekcye łacińskiego języka. Po kilkoletnich mozołach, zagrożony utratą wzroku, wraca powtórnie do wstrętnego mu domu. Tu, złamany chorobą, z upragnieniem wygląda śmierci. Dźwignął się jednak na siłach, ale krańcowe opinie polityczne, jakie wyznawał, zerwały do reszty węzły łączące go z rodziną. Opuścił dom nazawsze.

Ostatnie lata przeżył pod Neapolem, obok przyjaciela Antonio Ramos, otoczony opieką siostry swój Pauliny. Na ręku ich skonał w 1841 roku.

Pod wpływem takichto udręczeń, zbiegł krótki żywot sławnego poety. Wszyscy dotąd krytycy znajdowali w tém nieprzerwaném pasmie cierpień, powód rozpaczliwego pesymizmu. P. Aulard odrzuca śmiało to twierdzenie. Nicią przewodnią są dlań utwory Leopardiego, w części ogłoszone drukiem, w większej części pozostałe w rękopismach, a złożone niedawno do Biblioteki florenckiej. Według tych danych, nowy krytyk utrzymuje, że Leopardi od młodu, pogodził się ze swoją niedolą (*infelicità*), przystroił ją w cudne klejnoty poezyi, a co więcej wysnuł z niej teorią filozoficzną, której zawdzięcza samodzielność swych natchnień.

P. Aulard dzieli utwory włoskiego mistrza na dwie części: na naśladownicze i oryginalne. Według niego wszystkie poezye patryotyczne i uczuciowe, należą do pierwszej części, t. j. są prostém naśladownictwem Danta, Petrarki, lub starożytnych poetów. Tu Leopardi nie jest sobą; brak mu twórczego polotu: wszystko tu tchnie konwencyonalizmem. Chłodno opiewa miłość, bo jęj nie znał, bo nie kochał i nie był kochany. Patryotyzm jego niemniej sztuczny: Włochy, to prosta abstrakcja! Podczas gdy Dante i Petrarka w obecném upokorzeniu, widzą promienie przyszłej chwały, Leopardi przewiduje śmierć ojczyzny, patrzy na jęj grób okiem zimnego filozofa.

W drugim dziale utworów poeta zrywa stanowczo z wszelką tradycją, toruje sobie nowe drogi. „Odpocznij serce moje, woła on, nie cię już poruszyć nie zdoła! Ziemia niegodna twoich westchnień; odpocznij, zagłusz w sobie nadzieję! nam dano tylko umrzeć!“ W tych słowach z poematu *Miłość* i *Śmierć*, krytyk widzi ostateczny przełom. Odtąd geniusz poety rozwija czarne skrzydła, krąży nieustraszony po pustym życia stepie, zdziera wszelkie zasłony; widzi tylko, opiewa tylko nicość! Czciiciel Nirwany przenosi ją do kolébki Homera, burzy

Olimp, spędza z Parnasu Muzy, z ust Safony wydobywa dźwięk pieśni buddyjskiej. Kiedy Chateaubriand i Byron opiewali żałobę serc własnych, pysznili się nią, jakoby stanem wyjątkowym, jakoby arystokratyczną pieczęcią geniuszu; Leopardi demokratyzuje boleść, poddając ludzkość całą pod fatalne jej prawa.

Tak p. Aulard przedstawił w swój tezie geniusz Leopardiego. Łatwo zgadnąć, jak silny spotkał opór w sądzie przysięgłych. Prezydujący Mezières wystąpił z zapałem, z głęboką siłą przekonania, za poetą, którego krytyk skrepował w formuły filozofii własnej. Wymowny akademik rozwiązuje cierpliwie wszystkie węzły sztucznie uplątane. Z książką Leopardiego w rękę, ukazuje poetę, zgiętego pod gradem bijących weń pocisków. Daje poznać wielką jego boleść, w chwili gdy zerwał z tradycyjną wiarą ojców swoich! Odpiera silnie zarzut naśladownictwa, w poezjach na cześć ziemi ojczystej. „I któż w tych słowach, pyta Mezières, nie odczuje samoistnego tętna? Posłuchajmy poety:

„Widzę mury i arkady, widzę kolumny, posągi i powalone baszty ojców naszych, ale chwały ich nie widzi oko moje! Nie widzę wawrzynu, co oplatał dumne czoło, ani żelaznych pancerzy, co obciskały krępką pierś tych starożytnych naddziadów! Itatio! matko moja! dziś roztrojona, okazujesz nagie czoło, pierś naga! Niestety! jak głębokie twe rany, jaka bladłość lic twoich, ileż krwi z żył twych wytoczoné!”

Zapytuje poeta niebios i ziemi, kto ją przywiódł do tak opłakanego stanu. Ręce jej skrepowane; z rozwianym włosem siadła na ziemi, w niemój rozpacz i żałobie! Schyliła oblicze do kolan, roni łzy...

„Płacz Itatio moja—woła z zapałem—oh! bo masz za czem płakać! Gdyby twe oczy rozplynać się miały w żywe źródło, wszystkie żył jakie zronisz, nie dorównają twój nędzy i rozpacz!”

— Jakto?—zapytuje Mezières—czyżby takie słowa nie miały źródła w sercu?

Autor tezy bronił się, ale słabo. Przyszła kolój na miłość. Nigdy o starożytne mury Sorbony, nie rozległ się potężniój głos uświęcający jej prawo, nad ten co wybiegł z piersi akademika.

— „Leopardi nie miał-że znać miłości? pyta z podziwieniem; opiewał-że ją tylko jako erudyta i zimny retor? Odczytaj-że pan te stronnice zwilżone jeszcze łzami, drżące od poruszenia! To rzekłszy podał książkę: Aulard ją czytał zimno, głosem jednostajnym.

— Jak pan czytasz nieśmiało! chcesz jak widzę zatrzeć całą poezją tego prześlicznego ustępu—woła Mezières—i odbiera książkę z rąk kandydata: czyta sam silnie wzruszonym głosem.

„Sylwio! pamiętasz-li czasy ziemskiego życia twego! Kiedy piękność połyskała w pogodnym twojém oku, kiedy radosna i zadumana wstąpiłaś w progi młodości. Spokojne ściany domu brzmiały odgłosem twój pieśni bezustannej, gdy z robotą siadałaś przy okienku i myślałaś uganiana przyszłość tajemniczą! Było to w kwiecistym maju!... Tak ubiegał tobie dzień cały. Ja przerywałem niekiedy miłą

naukę, zgarniałem papiery w których kryła się najlepsza cząstka istoty mojej; z ganku domu rodzicielskiego chwyciałem uchem dźwięki twojej piosenki, a okiem ścigałem wprawną rączkę snującą rozpoczęty wątek. I patrzałem w pogodne niebo, i na drogi słonecznym ułożone promieniem, i na zielone sady, i na dalekie brzegi morza, i na góry upowite rąbkami mgły siniej. Język śmiertelny nie wypowie co czułem wtedy w sercu. O Sylwio! jakże dla nas pięknem było życie w tój chwili!“

Poważni sędziowie przyklasnęli, wzruszeni tym obrazem, snąc prace naukowe nie zmroziły w nich serca. Jeden zawołał w uniesieniu:

„Może ludzi mnie urok młodzieńczych wspomnień, ale gotówbym odwołać się do uczucia wszystkich tu obecnych, niech powiedzą słowo za poetą, który najszczerzej cierpiał i najszczerzej kochał.“

Cichy szepc rozległ się po sali, oczy wszystkich zabłyśły; powaga miejsca wstrzymała ręce od gorącego poklasku.

Kandydat jakkolwiek pobity, otrzymał jednak stopień doktora. Spór co do Leopardego, nie został roztrzygniętym ostatecznie, oceniono niemięj w p. Aulard, niepospolitą zdolność krytyczną, jak niemięj głęboką erudycją. Co do filozoficznych jego teorii, prawa sorbońskie zostawiają w tym względzie wszelką wolność. Fakultet literatury zdobył więc nowego doktora: wkrótce może doktryna Nirwany, zdobędzie nowych adeptów, wśród młodzieży goniącej za nowością. Bądź co bądź prawda zwycięży. Nie brak w Paryżu pełnych zapału profesorów, którzy jak Mezieres potrafią krzepką ręką utrzymać nieskażony jój sztandar, którzy jak on wzięli za godło: *patrzmy w przyszłość, nie spuszczać z oka przeszłości!*

Towarzystwo bibliografów, kierując wydawnictwem *Biblioteki Elzewirskiej*, odgrzebuje wytrwale z prochu niepamięci stare dzieła i wzbogaca nimi tak historją jak literaturę. Do najważniejszych przedsięwzięć należy *Panteon literacki* złożony z czterdziestu dwu wielkich tomów w ósemce, drukowanych dwoma kolumnami. Główny dział zajmuje w nim historia.

W tych dniach zwrócił uwagę naszą oddruk gazety z połowy XVII wieku, pod tytułem *Muza historyczna*. Dwa wydane już tomy, obejmują kolekcją z ośmiu lat 1650—1658. Zbiór cały składać się będzie z pięciu tomów. Owa gazeta pisana była ośmiozłogowym wierszem. Wydawał ją Loret, sam jeden, bez pomocy współpracowników. Nie był on zapewne pierwszorzędnym poetą, ale wiersz jego lekki, żywy, zaprawny barwą czasu, nie nuży bynajmniej uwagi czytelnika. Buletyny sobotnie zdają sprawę z prywatnego życia Paryżan, za czasów Ludwika XIV.

Niewyczerpany Loret nakreślił 250,000 wierszy. Podzielił je na 750 listów do publiczności, czyli tak zwanych *epitrow*. Każdy z nich osobnym oznaczony tytułem; stosownie do przedmiotu jaki

traktuje, do wypadków lub stanu zdrowia wydawcy. Widzimy z kolei listy *ekonomiczne, zuchwale, zakaszlane, kłopotliwe* i t. p. Ta gazeta wielką miała wziętość w swoim czasie. Pierwsi panowie dworscy nie wyłączając ministrów, starali się o względy autora. Kilkanaście wierszy skreślonych trafnie jego ręką, nie jedno imię podniosły z pomiędzy tłumu, nie jednemu dały popularność: są to właściwie mówiąc rymowane pamiętniki. Wagę pod względem historycznym nadaje im bezstronny sąd autora, nie uwikłanego w żadne partye polityczne.

Pod tytułem: *Ubodzy i Żebracy (Pauvres et Mendians)*, p. Laudelle podjął w powieści jedno z najważniejszych dziś zagadnień społecznych, przeprowadził życie robotnika przez ciąg lat piętnastu, najprzód w Paryżu, następnie w rodzinnej wiosce. Ubogi ten robotnik, zamiłowany w pracy, uczciwości nieposzlakowanej, przybywa do Paryża z młodą żoną. Znęciła ich nadzieja łatwiejszego zarobku. Zrazu biędacy budują zamki na lodzie, obiecują sobie złote góry; pomału jednak w miejsce ułudy stawa im w oczy najsmutniejsza rzeczywistość. Walka trwa uporczywa; długo robotnik nie ustępuje na krok, zmordowany wreszcie rzuca pole zapasów, z dwojgiem małych dzieci. Żona nie przetrwała ciężkich prób, umarła, dwoje starszych dzieciek poszło za matką. Złamany na duszy i na ciele, wraca biędak do rodzinnej wioski, żebrze o kęs chleba po drodze. Przybywa nakoniec do gniazda. Gdzie rzuci okiem spotyka twarz znaną, bratnią rękę gotową nieść mu pomoc. Znajduje pracę i powszechny szacunek.

Autor wprowadził do wsi, człowieka zamożnego z wielkim sercem. Ten umiał wpłynąć na mieszkańców, i własnym przykładem wydobyć z nich ducha ofiary. Wszystko tam idzie jak Bóg przykazał, jedni wspierają drugich; umilkły stare niechęci, dobrobyt wzrasta, bogaty nie gardzi ubogim, ubogi nie zazdrości bogatemu. Zgoda, miłość, pokój, oto piękne owoce zrodzone z posiewu rzuconego pocziwą ręką.

Powieść p. Laudelle pełna życia i ruchu. Autor unika czczęj moralizacyi, prowadzi rzecz w sposób dramatyczny i bardzo zajmujący.

Słowo Legouvego rzucone w porę, zakiełkowało już i bogate zapowiada plony. Mówiliśmy w przeszłej kronice o konferencyach i książce uczonego akademika. *Sztuka pięknego czytania*, zajmuje dziś nie tylko Paryż, ale całą Francją. Kobięty podjęły z zapałem piękny i pożyteczny pomysł. Inspektorowie szkół zasypali autora dziękczynnymi listami; książka jego znajduje się we wszystkich bibliotekach szkolnych. Słynny artysta dramatyczny Renier, emeryt od lat kilku usunięty ze sceny, wziął szczególnie do serca tę sprawę. „Dziękko pańskie, pisze do Legouvego, poruszyło umysły wszystkich; każdy pragnie uczyć się czytać.“ W skutek tak powszechnego popędu, Renier oznajmia, że postanowił rozpocząć publiczny kurs czytania w jednej ze szkół paryzkich. Wkrótce zapewne zajdzie on naśladowców.

Kilka tygodni temu, wyszedł na widok publiczny, pierwszy tom pomnikowego wydawnictwa, którym Francya ma prawo się pochlubić. Będzie to w ogromnych rozmiarach, inwentarz wszystkich dzieł sztuki, stworzonych przez geniusz narodowy, przez ciąg dwudziestu z górą wieków. Myśl do tój wielkiej publikacji, podjął w r. 1874, dyrektor sztuk pięknych Chenevière. Na przedstawienie jego, minister Fourtoux rozesał po kraju odezwę, powołując do współdziałania w pracy wszystkich konserwatorów i archiwistów, jak niemniej Towarzystwa naukowe i artystyczne, rozrzucone po prowincyach.

Olbrzymie to prawdziwie przedsięwzięcie. Potrzeba było wyznaczyć specjalne komisye do spisywania wszystkich pomników historycznych, rozsianych po miastach i miasteczkach, do ocenienia licznych zabytków sztuki, nagromadzonych po muzeach publicznych i po zamkach prywatnych właścicieli.

Myśl jak widać była na dobie. Trzy lata temu zabrano się do pracy z wielką skwapliwością; pierwszym jej owocem jest tom świeżo wydany. Obejmuje on pomniki religijne Paryża, oddane w wiernych reprodukcjach, opisane z najściślejszą dokładnością. Dalsze tomy następować będą wślad po sobie, w miarę zebranych materyałów; wydawcy obiecują po dwa na rok. Ile tomów obejmie cała publikacja, nie wiadomo. Bogactwa artystyczne Francyi, znane były miejscowym archeologom, ale ogół nie domyślał się nawet ich doniosłości. Popęd do wydobycia ich na jaw, zawdzięcza kraj naukowym Towarzystwom, przed laty kilkunastu zawiązanym po prowincyach. One to rozpoczęły wielkie dzieło decentralizacji naukowej, główny warunek normalnego postępu.

Józef Halevi, uczony orientalista, oddany głównie nauce etyopskich języków, wydał w hebrajskim przekładzie *modlitwy żydów czarnych z Abisynii*, zwanych Falashas. Przed laty dziesięciu, p. Halevi, w skutek otrzymanej misyi, zwiedził ten kraj, zbadał ową mało znaną odrośl czarnego szczepu, pod względem religii, obyczajów i etnografii. Świeżo wydana książka jest sprawozdaniem z tójże misyi naukowej.

Autor wyjaśnia rodowód czarnych żydów. Za czasów proroka Mahometa, przebywała w Arabii południowej, znaczna liczba niepodległych i zamożnych izraelitów. Posiadali oni warowne zamki, mieli niewolników i poddanych. Pomiedzy tymi znajdowali się Etyopczycy. Panowie wychowali dziatwę tych niewolników w zasadach religii izraelskiej. Tym sposobem utworzyła się ludność czarna wyznająca Mozaizm. Po zwycięstwie Mahometa, owa ludność powróciła do Etoppii, i przetrwała tam do czasów dzisiejszych.

„Co zamiera w rzeczywistości, niechaj odżyje w pieśni.“ Myśl ta uwieńczona rymem Szyllera i zamieniona w przysłowie, dała pobudkę Francuzom do apoteozy karczem, w chwili, gdy wyrok ministra

sprawiedliwości nakazał zamykać wiele z nich po prowincjach, jako miejsca niebezpieczne dla publicznego porządku.

W ciekawej rozprawie znajdujemy rodowód karczmy, sięgający początków rodu ludzkiego. Widzimy tu, jak lud izraelski pod namiotem, lub w cieniu palm zielonych, rozprawia o rzeczach wiary, o planach wodzów, o trzodach swoich, popijając mleko glinianym dzbanem. Mijają wieki, i oto w sławnym grodzie Minerwy, karczma staje się miejscem zebrania mędrców i filozofów ateńskich. Sławną pozostała w dziejach karczma zwana *Pnix*, gdzie Sokrates zwykł jadać kiszkę i pić wino zaprawne miodem. Czy wielki filozof chronił się do tej oazy przed zrzedną i krzykliwą Ksantypą, czy też owe zadowome śniadania obrażały godność Ksantypy i pobudzały ją do gniewu?—milczy o tém historya. Brzemie winy zaciężyło na niewieście: kroniki ateńskie kreślono wyłącznie mężkiem piórem.

Rzymskie karczmy lepiej jeszcze znane światu. Jedną z nich w początkach cesarstwa utrzymuje Coranus. Tu w gronie najświetniejszych patrycyuszów, Horacy czyta uszczypliwie satyry lub ody, wystawiające złotą mierność (*aurea mediocritas*). Tu ulubieniec Rzymu Owidyusz, zapala umysły cudnie harmonijnym wierszem, w którym z kielicha kwiatów wybucha jad trujący społeczeństwo. Cezar August nie zamyka edyktem karczmy, lecz wygania poetę na dalekie niezbrane stopy, gdzie ostatnie dźwięki wieszczej liry konają w szumie Dniestru.

Na Kampanii rzymskiej widzimy znów ustron pokrytą winogrodem. Tu przed amforą pełną wina z albańskich wybrzeży, zasiada Wergiliusz i kreśli nieśmiertelne eklogi swoje.

W nowożytnych społeczeństwach, pamięć karczmy ściśle połączona ze wspomnieniem wielkich reprezentantów geniuszu ludzkiego. W Londynie *pod Łabędziem* Szekspir napisał *Życie i śmierć Henryka IV-go*. W kilkadziesiąt lat później, w karczmie londyńskiej *Wall's-Tavern*, najznakomitsi krytycy, publicyści i poeci, Swift, Sheridan, Addison, Pope i Dryden, utworzyli „mały senat;“ posiedzenia odbywały się nocą, ztąd zwano je *noctes cenaesque deorum*. Wyroki ich krytyczne miały nieodwołalną powagę.

W Paryżu *pod Szyszką sosnową*, w XV jeszcze wieku, sypał palące jak pieprz rymy sławny Villon, protoplasta przyszłych cyganiów literackich. Pod ową Szyszką w sto lat później, Rabelais napisał *Gargantua*. W karczmie *pod Sabotem* na przedmieściu Św. Honorjusza, króluje Ronsard ze sławną swą *Pleadą*. Snadno przypuścić, że Jan Kochanowski, związany, jak wiadomo, przyjaźnią z księciem poetów francuzkich, nie jedną czasę wina spełnił tu na cześć Horacego z koryfeuszami odrodzonej literatury.

W XVII wieku, w tak zwaną *Lwiej jaskini* zbierali się najpiersi poeci tych czasów: Voiture, Saint-Amand i inni. Nieśmiertelni z Akademii Francuzkiej wiedli rej w tém arystokratycznym kole. Pod *Białym Baranem* przebywał Boileau w towarzystwie Rasyana. *Pod drew.*

nianą szpadą Marivaux zbierał grono pisarzy i artystów dramatycznych.

Ogniska te w XVIII wieku mnożą się w zadziwiający sposób. Nazwa karczmy, przyjęta dotąd, zaciera się i znika. Powstają wytworne tawerny i kawiarnie. Historia ich ściśle spleciona z życiem pisarzy i publicystów francuzkich, może zapełnić liczne tomy. W czasach przewrotu romantycznego, paryzka kawiarnia odgrywa wielką rolę. Tu rodzi się owa pamiętna *Cygania literacka*, której Henryk Murger głównym był twórcą i wiernym historyografem.

Ciekawą byłaby historia starych gospod i kawiarni warszawskich, wzięta ze stanowiska literackiego. Ważną inicjatywę w tym kierunku dał zasłużony nasz badacz, K. Wł. Wójcicki w *Spoleczności warszawskiej*. Mamy nadzieję, że czcigodny autor nie ograniczy się na tej pracy, tak ciekawej i nauczającej. W tego-to rodzaju obrazach drga niejako dusza przeszłości. Taka żywa historia wyborem jest dopełnieniem badań teoretycznych: ona prostuje najładniej ich ogólnikowe a częstokroć błędne wywody.

W Akademii Napisów, słynny ekonomista Baudrillard czytał ciekawą rozprawę o zbytkach, w stosunku do rozmaitych form rządu. Najsamprzód scharakteryzował grubiańskie zbytki ludów całkiem obcych cywilizacji; określa potem zbytek wyrafinowany, ale skażony w gruncie i prowadzący do zepsucia w monarchiach absolutnych. Zapytuje z kolei profesor, pod jaką formą objawia się zbytek w rządzie oligarchicznym? Arystokracja każda, mówi on, surową była w początkach swoich, później dopiero, w miarę jak się chyliła do upadku, zaczęła zbytkować. Feodalni panowie żyli hulaszczco, stroili się w bławaty, otaczali świetnym i licznym dworem, wyprawiali łowy, biesiady i turnieje. Arystokracja finansowa przeciwnie, szuka z upodobaniem komfortu, lubi wszystko co błyszczące; używa śpiesznie nagromadzonych bogactw, widząc jak fortuna kapryśną bywa i zmienną.

Demokracja, jak mówi p. Baudrillard, nie stawia bynajmniej zapory zbytkom, ani posiadaniu wielkich dostatków; ale przez rozdzielanie własności ziemskich, stworzyła mnóstwo średnich majątków, rosnących w miarę mnożącego się bogactwa ogólnego, dzięki postępom w nauce, przemyśle i handlu. W górze zbytek pozostał czem był niegdyś, przybrawszy tylko formy odpowiednie dzisiejszym pojęciom estetycznym; obok niego zaś powstał zbytek średni, polegający głównie na pozorze i naśladownictwie, zastosowany do smaku i potrzeby każdego.

Jako przezorny moralista, p. Baudrillard pokazuje niebezpieczeństwo zbytku w państwie demokratycznym. Z jednej strony, zmienia częstokroć sztukę w rzemiosło, aby uczynić ją dostępną dla ogółu, z drugiej, podsycia nienawiść i zazdrość ubogich. Próżność i chęć błyszczczenia popychają do upadku ludzi średniej zamożności, a żądza bogactw rozbudza niczem nienasyconą chciwość. Ztąd u jednych gorz-

kie rozczarowanie, u drugich tłumiony gniew na losy, u innych szalona chęć użycia; ztąd wreszcie krzewienie się idei socjalistycznych, ztąd owe powtarzane zbyt często ruchy konwulsyjne, które bez pożytku dla nikogo, zagrażają dziś społeczeństwu.

W Pałacu Sztuk Pięknych wystawiono na widok publiczny obrazy i rzeźby kandydatów, ubiegających się o stypendyum do szkoły rzymskiej. W roku tym młodzi artyści dłużej siedzieli w loży, niż to zazwyczaj bywa. Niewola ich przeciągnęła się do dwu miesięcy. Z dziesięciu olejnych obrazów, wykonanych na jeden temat, uderzył nas szczególniej utwór młodego Chartrau, ucznia Cabanela. Przedmiotem obrazu, opanowanie Rzymu przez Gallów, według opowieści Liwiusza. Starcy zgromadzeni na Forum, rozeszli się do domów, i tam czekają śmierci. Każdy z nich oblekł szatę godową jakby na tryumf, i zasiadł w krześle kurulném w przedsiönku domu swego. Barbarzyńcy na widok ich czują religijny przestach, stają osłupieni. Jeden tylko zbliża rękę do białej brody Papiryusza. Oburzony tą zniewagą Rzymianin, uderza Galla w głowę laską z kości sioniowój. Było to hasłem rzezi. Pan Chartrau z wielkim talentem przedstawił Galla w chwili, kiedy kładzie rękę na brodzie senatora rzymskiego. Wybornie oddał gniew starca, jak niemniej wyzywającą postawę barbarzyńcy. Przysądzono mu złoty medal. Z pomiędzy 10-ciu uczniów, trzech zyskało nagrodę konkursową.

Konkurs rzeźby niemniej piękne przyniósł owoce. Zadano jako przedmiot płaskorzeźbę, przedstawiającą pasterzy greckich w chwili, gdy wynaleźli głowę i lirę Orfeusza, rozszarpanego przez bachantki. Wielką nagrodę otrzymał p. Cordonnier, uczeń p. Dumont. Dwu innych laureatów pośpieszy z nim do Rzymu.

Przez kilka miesięcy nie mieliśmy w ręku *Biblioteki Warszawskiej*, z tego powodu dziś dopiero podejmujemy przedmiot nieco już zadawniony. W zeszycie lipcowym znajdujemy w Rozmaitościach, *jakoby* dopełnienie imion artystek polskich, których prace wystawione były w tegorocznym Salonie paryzkim, a które my, mieliśmy *nibyto* pominąć, zajmując się *jedną* tylko panną Izydorą Mikulską. Nie umiemy w żaden sposób wytłumaczyć sobie tej niewczesnej reklamy, na rzecz rodaczek naszych. W poprzednim bowiem, czerwcowym zeszycie, kronika nasza wyliczyła wszystkie te imiona nietylko w kolumnach swoich, ale nawet w naczelnym spisie przedmiotów. Nie przemilczeliśmy ani o miniaturze pani Amplewskiej, ani o porcelanach panny Prusinowskiej i Płużańskiej, ani o pięknej akwarelli pani Przepiórskiej, ani o emaljach panny Stryjeńskiej, tém mniej o kopii z obrazu Matejki: *Posłowie przed Batorym*, pani Konstancyi Boulard, o której nawet nie wspominają nasi redaktorowie. Jeśli nie mówiliśmy o pracy panny Bryckiej, to dlatego jedynie, że nie będąc pewni jej narodowości, lękaliśmy się, czy przy ztęj woli, nie podniesie kto naszego bę-

du. Wprawdzie obraz panny Izydory Mikulskiej, więcej nad inne utwory zwrócił uwagę naszą, co wypływa z samego przedmiotu. Któż nie wie, że są w rodzajach sztuki pewne stopniowania, i że obraz olejny wielkich rozmiarów, wyższe ma znaczenie od miniatury lub udatnej nawet kopii na miedzi, albo porcelanie?

Uważamy za obowiązek sprostować pomyłkę bardzo dla nas dotkliwą: przepomnienie podobne z naszej strony, byłoby wielkim błędem.

WJAZD TRYUMFALNY
KRÓLA SOBIESKIEGO

DO WARSZAWY, W 1677 ROKU.

PRZEZ

Aleksandra Wejnerta.

II *).

Po tylu bojach, niebezpieczeństwach i zwycięztwach, jakie przeżył i odniósł Sobieski od wstąpienia na tron, imię jego po całej Europie rozgłośnie brzmiało, jako bohatera wielkiego i zdumiało nawet zagranicznych monarchów. Nie było zakątka w Rzplitej, gdzieby nie uwielbiano owego monarchy, jako prawdziwego zbawcy kraju. Obaczmy teraz czy i mieszkańcy stolicy tym samym duchem byli przejęci. Magistrat Stariej Warszawy, jako przedstawiający wówczas na zgromadzeniach publicznych, czyli publikach, dążności i kierunek życzeń swych mieszkańców, podzielał w zupełności uznanie zasług króla dla Rzplitej i chęć okazania mu przez lud warszawski najwyższego poważania. Księgi obrad publicznych tej władzy miasta lepiej o tem nas pouczą, jak wszelkie inne dowody.

Przekonywamy się bowiem z uchwały tegoż magistratu pod d. 13 stycznia r. 1676, iż na koronację Sobieskiego do Krakowa wydelegował trzech swoich plenipotentów, jako to: Sebastyana Szelerta wójta ówczesnego i dwu rajców: Karola Zabrzeckiego i Macieja Klimkiewicza, sekretarza zarazem królewskiego. Mieli oni sobie poleconém, aby przysięgę wierności w imieniu miasta całego złożyli, a przytém wyje-

*) Dokończenie — patrz zeszyt za wrzesień z r. b.

dnali zatwierdzenie wszystkich przywilejów przez poprzednich królów udzielonych. Jakoż spełnili ci obywatele żądania miasta i Jan III, dyplomem z d. 4 marca 1676 r., danym w Krakowie, sankcyonował wszystkie swobody, jakie poprzedni królowie Polscy Warszawie nadali. Dyplom ten przechował się dotąd w aktach dawnych tego miasta. Jeżeli zaś obywatelską tę przysługę spełnili wyż mianowani urzędnicy, podług życzeń magistratu, zaledwo można wierzyć podaniom o ubóstwie ówczesném kasymiejskiej, gdyż jednocześnie na publice, co do ich wybrania, każdemu z nich wyznaczono na koszta podróży i pobytu w Krakowie tylko po złp. 100! Drobną tą kwotą dowodzi jednak, jak wysokie było poświęcenie obywateli Warszawy, gdy szło o przysługę względem monarchy, życie i cały majątek poświęcającego dla Rzplitej.

Prócz tego, ciż deputowani wyjednali jeszcze u króla rozkaz z d. 29 lutego r. 1676, aby sądy grodzkie odtąd nieważyły się pociągać mieszczan we wszelakich sprawach do swego sądu, bo cała ludność Warszawy jednę tylko jurysdykcyi i to miejskiej, miała być odtąd podległa. Tysiączne spory, jakie o to samo prowadził poprzednio magistrat z starostami grodowymi, przez mandat ten królewski raz na zawsze ustały. Była to więc wielka łaska Jana III.

Następnie dowiadujemy się z uchwały z d. 27 lipca 1676 r., że Sobieski udzielił jeszcze jeden przywilej dla konfraterni kupieckiej, zabraniający kupcom nieosiadłym w Warszawie sprzedazy wszelkich towarów. Rozkaz ten królewski, magistrat w dniu powyższym oznajmił ludowi zgromadzonemu i natychmiast polecił wykonać.

Takimi to łaskami uszczęśliwione miasto z ludem zebrany na publice, niemogąc się doczekać przybycia króla do stolicy, dla ciągłych przysposobień do wyprawy przeciw Turkom, uchwaliło w tymże samym dniu: „Ponieważ szczęśliwego przyjazdu Króla Imci Pana Naszego Miłościwego wyglądamy, tedy postanowiono przyzwoicie Królowę Jójmość witać i onęj sto czerwonych złotych *in specie* honorarium oddać.“

Prócz tego, uchwałą z tegoż samego dnia z racyi spodziewanego przyjazdu Jana III przez Krakowskie Przedmieście, taż władza rozkazała mieszkańcom, aby wszelkie budy z wiktuałami i towarami, jakie w tej ulicy rozgościły się w nadzwyczajnej liczbie, usunąć i znieść, a to w ciągu jednego miesiąca.

Z powodu odnowienia się kroków nieprzyjacielskich z Turcyą, przyjazd króla do Warszawy wstrzymany, a cały dramat straszny na polach Żórawińskich odbywający się, wszystkich mieszkańców wraz z królową i senatem w największej trwodze utrzymywał.

Skoro tylko wieść nadeszła o zawartym pokoju, który po trzydziestu latach wojen, zapewniał przynajmniej na pewien przeciąg czasu, ustanie kroków nieprzyjacielskich, Sobieski dla zatwierdzenia układów Żórawińskich i dla załatwienia wielu potrzeb Rzplitej zwołał do Warszawy sejm na miesiąc styczeń 1677 r. Stolica więc Wazów miała objąć w swoich murach wszystkich reprezentantów Rzplitej i ujrzyć bohaterą króla, pogromcę Turków z tyłu wypraw! Magistrat powodowany

wolą mieszkańców i ludu warszawskiego, na obradach publicznych w d. 9 listopada r. 1676 postanowił „list do Jaśnie Wielmożnego pana koniuszego koronnego ¹⁾ posłać, wyrozumiejąc myśl Jego Królewskiej Mości, jakim sposobem każe się Jego Królewska Mość, Pan Nasz Miłościwy witać, ponieważ w krótkim czasie spodziewane jest przybycie Jego Królewskiej Mości.“ Niemogła władza miasta lepszego wyboru zrobić co do osoby, jak odnieść się do Marka Matczyńskiego, który jako nieodstępny towarzysz króla we wszystkich dotąd staczanych bitwach, niejednokrotnie ocalił mu życie.

Zanim jednakże koniuszy odpisał magistratowi, zarząd ten, aby miasto, o ile dochody jego i zamożność dozwalały, uporządkować i zapewnić wygodę dla całego rycerstwa i senatu, zgromadzić się mających, zwoławszy dzwonem cały lud na obrady w d. 23 listopada roku 1676 do ratusza, postanowił: „Ponieważ w krótkim czasie sejm walny koronny następuje, który się w styczniu w r. blisko następującym odprawować będzie, także i komisya teraz niedawnego czasu w Krakowie zaczęta, tu do Warszawy odroczone i tu się ma podczas sejmku odprawować, gdzie wielkiego konkursu ludzi spodziewać się potrzeba; tedy wszyscy mieszczanie Warszawy surowo napominają się, ażeby izby, mieszkania *ex officio* gościowi należące i z dawnego czasu wydzielone, jako najprędzej restaurowali, i okna, piece w nich, uchodząc wszelakiej turbacyi, poprawić kazali. Gnoje i błota tak z domów, jak i przed domami swemi jaknajprędzej wywieźć kazali.“

Po odebraniu od koniuszego koronnego życzenia jego, iż należałoby króla uczcić wystawieniem bram tryumfalnych, magistrat Stariej Warszawy dzieląc natychmiast to życzenie, zwoławszy lud na obrady dnia 30 listopada r. 1676, postanowił „uskutecznić na budowę składkę odpowiednią, przez wszystkich obywateli i mieszkańców Warszawy, niewyłączając nikogo, do zbierania której sławetni Marcin Martenson i Daniel Zacharyaszewicz, ławnicy Stariej Warszawy wyznaczają się, do struktury zaś tychże bram tryumfalnych, przeznaczeni: Marcin Martenson, Jan Hofman i Andrzej Knabe ławnicy i sławetni: Mikołaj Bade z Stefanem Losackim, z koła 20 mężów Stariej Warszawy są delegowani.“

Ponieważ z opisu dowodu, jaki na początku tej pracy przytoczyliśmy przekonywamy się, że podpisał go tylko spółcześnie Stanisław Kleczyński stolnik; ztąd wnioskować można, że on głównie reprezentując stan rycerski, abrysy i kierunek tych budowli podawał, a w pomoc jemu dopiero wyż wyrażeni urzędnicy miasta w liczbie siedmiu dodani, dopomagali w uskutecznieniu tak szacownej pamiątki dla Jana III i całej Rzplitej.

Z powyższej uchwały druga wątpliwość nasuwa się do rozwiązania.

Mowa w niej jest o bramach tryumfalnych, a zatem nie o jednej tylko; ztąd wyradza się myśl, że pierwotnie Matczyński życzył sobie, aby kilka bram wystawiono. Ze zaś od 30 listopada, jako dnia zapa-

¹⁾ Był nim Marek Matczyński.

dłej uchwały, upływać miał niecały miesiąc czasu do wjazdu króla; ztąd nagłość była tak wielką, iż niemożna było ani myśleć o budowie kilku łuków tryumfalnych. Ze szczegółów atoli opisu téj budowy, poniżej przytoczonego, nabieramy przekonania, iż dowcipną myśl powziął prawdopodobnie Kleczyński dyrygujący, aby wystawić jedną tylko bramę, ale środek jęj i wszystkie części tak urządzić, żeby i przy wjeździe do zamku koło kościoła Bernardynów i przy wyjeździe króla z sali obrad, brama ta we wszystkich swoich szczegółach malowniczych jednakowo się przedstawiała patrzącemu królowi i publiczności. Było to więc zadanie dosyć trudne do rozwiązania pod względem architektonicznym, zwłaszcza że główną ozdobą téj pamiątki był posąg rzeźbiony samego króla w całej postaci. Mimo tego udało się to stawiającemu spełnić, jak obszerniej jeszcze przy opisie szczegółowym wykazemy.

Kiedy zaś już stanowczo Jan III miał przybyć do Warszawy dnia 22 grudnia r. 1676, magistrat po zwołaniu w przeddzień ludu na publickę, ogłosił mu uchwałę, jaką w spolszczeniu z łaciny przytaczamy w osnowie następującej:

„Szlachetny i Przewacny prezydent w przytomności Szlachetnych i Przewacnych rajców, ławników i 20 mężów całą gminę miasta Starój Warszawy przedstawiających i zebranych w ratuszu Starój Warszawy dla obrad względem spraw miejskich, surowo ludowi do ratusza zwołanemu przez dzwon staromiejski, przykazał, aby wszyscy w ogóle i w szczególe kupcy, obywatele i rzemieślnicy, oraz wszyscy jakimkolwiek sposobem szukający zarobków w tém mieście, a do jurydykcyi niniejszego miasta należący, jutro w czasie przybycia JKMości Pana Naszego Miłościwego z Krakowa do Warszawy, po szczęśliwój koronacyi na sejm walny, wkrótce daj Boże pomyślnie mający się odbywać, jak najliczniej zebrali się z swą czeladzią i towarzyszymi swych rzemiośł i aby każdy osobiście z bronią i w paradnym munderunku zgromadził się przy swojej choregwi pod karą 14 grzywien polskich (dziś około 40 złp.), którą, każdy téj uchwale sprzeciwiający się, obowiązany zapłacić będzie musiał, a to pod sroższemi jeszcze karami według uznania obecnego magistratu.”

Na téjże sesyi rzezonemu ludowi surowo także rozkazano, aby składkę na koronacyą uchwaloną jak najprędzej zbierano i do ratusza składano pod wojskową egzekucyą.

Że wybór dnia wjazdu tryumfalnego do Warszawy, jako poprzedzający gwiazdkę, która zwiastowała narodowi przybycie Boga Chrystusa na tę ziemię, był przez samego króla oznaczony, wątpliwości nie ulega. Znamy bowiem z całego przebiegu jego panowania, jak bogobojnym był, i we wszystkich szczegółach jego żywota, o tém przekonamy się wielokrotnie.

Nadszedł wreszcie dzień tyle upragniony dla Warszawy i Rzplitej a Kleczyński owoc swoich starań i pomysłów, chcąc przekazać potomności, skuteczniał opis téj budowli w osnowie następującej:

„Na samym wierzchu bramy dwaj aniołowie *attollunt* (unoszą) na tablicy wielkiej wymalowane *arma gentilitia* (herby rodowe) JKMości, we środku *insigne* (herb) Rzplitej z podwójnych Orłów i Pogoni ¹⁾, wyżej wkoło instrumenta *belli in specie* (godła wojenne w szczególe) wyrobione, niżej trochę jakoby perspektywa na wylot do miasta, gdzie w pośrodku osoba króla JMości rżnięta snycerską robotą w koronie, trzymająca w ręku berło i świat, przybrana w szatę królewską, na wozie tryumfalnym na dwu kołach, na obie strony obrotnym siedząca, twarzą od miasta w pole albo Przedmieście-Krakowskie obrócona, wóz dwa orłowie ciągną, Kupido z łukiem ich kieruje. Na podniesieniu tego tam miejsca wewnątrz przy malowaniu, dwa wiersze takie ²⁾:

Pennigeros tutus scandat rex magne jugales
Te duce qui nobis tempora tanta vehunt.

„Królu wielki! pod Twoją wodzą bezpieczny jest, kto czasy takie w pierzastym zaprzęgu prowadzi.“

To pierwsze najwyższe piętro na obiedwie strony jednakowe. Trochę niżej nad wroty ganek z balasów rżniętych we środku, a po rogach Syreny (czém miasto tutejsze pieczętuje się) z trąbami, któremi te słowa na chorągiewkach przyprawnych wyrażone wytrebują: *Vivat Rex* (niech żyje król), w drugiej ręce na drzewcu w laurze imię albo litery JKMości wyrobione trzymają. Pod temi Syrenami pod pierwszą od kościoła takie wiersze:

Cerneret ut Lechici trabeata trophaea Monarchae
Siren Vistulei prodit ab amne vadi.
Otius ut venias Princeps dulcedine vocis
Vandala te Siren in mea castra traho.

„Syrena wychodzi z brodu Wisły, ażeby ujrzała wspaniałe trofea króla lechickiego. Wodzu! ja Syrena wandalska, wabię Cię słodkim głosem, abyś prędkiej przybył do mojego grodu.“

Pod drugą zaś Syreną od boku bramy ku domom przedmiejskim napis taki:

Occine victori Syren Paecana serenum
Qui tibi palmari gaudia pace vehit
Finis adest belli, lauros date laeta juventus
Et baccata sacras cingite sarta comas.

„Syreno! wesoły hymn zaśpiewaj zwycięzcy, który przywozi tobie uciechy w pokoju zwyciężkim, bo koniec nastąpił wojny a wesoła młodzieży! otocz laurem głowę pomazańca wieńcem perłami sadzonym.“

1) Na tarczy czteropolowej.

2) Wszystkie następnie wiersze są tworzone w jednym sposobie, obejmując w pierwszym heksameter a w drugim pentameter.

Nad środkiem bramy albo wrót aniół, leżący z laurem, jakoby podawający na głowę JKMości przyjeżdżającego. Samo *corpus* bramy na płótnie w marmur czerwony malowany, z boków po dwa słupy błękitno malowane okrągłe, przy nich osoby królewskie jako *ex fisci* (z podobieństwa) poznać się daje: Zygmunta, Władysława, królów polskich; nad temi konterfekty obrazy zawieszane z jednej strony króla JMości terazniejszego od domów, z drugiej od kościoła królowej JMości z królewicem JMością. Zaś pod osobami królewskimi jako Władysława od kościoła wiersze takie:

Bistonis plantas terris Mars inclyte taxos
 Hostilemque colit moesta cupressus humum
 Ergo ducem Lechice viridi Parnaside cingant
 Condecorentque sacras virgines fronte comas.
 Ingrediare tuam rex maxime victor in urbem
 Cui plaudunt votis moenia panda suis
 Illius Gethico dum munis ab ense Penates
 Te patriae placidum dicimus esse patrem.

„Słynny Marsie! zatykasz włócznie w Trackich ziemiach a smutny cyprys ocienia nieprzyjacielską niwę; więc dziewice lechickie niech wieńcą wodza parnasyjską zielenią i niech zdobią, dziewiczą gałązką namaszczoneą głowę. Królu najpotężniejszy! przybywaj do Twego miasta, w którym przyklaskują swemi życzeniami mury okoliste. Gdy zaś jego ogniska zasłaniasz od miecza getyckiego, nazywamy Cię więc łaskawym ojcem ojczyzny.“

Na dole z boku wewnątrz bramy napis z wymalowaną ręką z pistoletem z góry do zółwia strzelającą, taki: *hic videt tela fera Gradivi* (ten widzi okrutne pociski Marsa). Pod drugim królem Zygmuntem, od domów wiersze takie:

Belligero Princeps cataphractus Marte Pelasgos
 Vulnifica morti fundere caede duces
 Mars superest vincendus adhuc sternis ut almae
 Pacis muneribus Lechica sceptras bees.
 Lechica sublimes jaciunt capitolia pompas
 Inclyte dum fuso Thrace Monarcha redis
 Sarmatiae quoniam frondentia saecula reducis
 Hinc tibi bellabit pacis oliva caput.

„Monarcho, odwagą marsową uzbrojony! prowadź na śmierć wodzów tureckich w krwawej rzezi. Pozostaje Mars do zwyciężenia, tego zgromisz, abyś uszczęśliwił polskie berła darami pokoju błogiego. Twierdza Lechicka (Warszawa) wyprawia Ci pochód tryumfalny, gdy słynny królu po pogromie Traków powracasz. Ponieważ zaś Sarmacyi przywracasz kwitnące czasy, dlatego gałązka oliwna będzie Ci zdobitą skronie.“

Wewnątrz bramy od rogu ozdoba z napisem takim: *sub aegideta quiesce* (tarczą pokoju zabezpieczona odpoczywaj); miasto wymalowane; nad niem ręka z nieba róższkę trzymająca. Przy bramie skrzydło przyprawione na kształt essu do góry się ciągnące, u którego na dole orzeł wymalowany, na którego wiatry dmą z napisem: *Furiis non cessimus ullis* (wszystkim burzom oparliśmy się). Dalej od bramy balasy po ścianie wierzchem ku forcie, jakoby po murze. Nad samą fortą dwie osoby większe, między niemi na wierzchu forty dwaj mali aniołowie, zawsze napis trzymają taki: *Joanni III Triumphatori pacifico Augusto, Optimo, Maximo orbe Lechico, pace donato urbe adventu recreata; votis publicis, votis aeternis, hanc lauream dedicant Magistratus Populusque Varsaviensis.*

„Janowi III zwycięzcy łaskawemu, najwaleczniejszemu i największemu, sprawcy na całym obszarze Polski pokoju wzmocnionego po jego zawarciu przybyciem do miasta, magistrat i lud warszawski z mocy uchwał publicznych i utrwalonych wieczyście tę pamiątkę ofiarują.”

Z boków zaś tych aniołków dwaj więksi: jeden z trąbą i róższką, pod nim ozdoba z napisem: *Habuit praesagia pomi.* Miał przepowiednie jabłka ¹⁾. Buława do góry. Anioł drugi większy, w jednej chorągiew z kitajki białej i czerwonej zrobioną, w drugiej ręce napis taki trzymający: *Divi divaeque Poloniae Indigetes! Joannem III pace triumphantem diu Sceptris Lechicis, diu huic urbi superstitem, velitis impetretis, rovemus. Magistratus populusque Varsaviensis.* (Patronowie i patronki Polski: Składamy życzenia, abyście raczyli Jana III długo utrzymywać przy życiu, zwycięzcę w panowaniu nad Polską i długo nad tém miastem. Magistrat z ludem warszawskim).

Pod tym aniołem napis taki: *Jam spernet tuta procellas* (bezpieczna Warszawa już pogardza burzami). Syrena z tarczą róższkę trzyma, dalej balasy po ścianie, *in extremitate* (w końcu) Kolos na czterech orłach białych wsparty, na wierzchu jego tarcza w laurze ukoronowana, niżej ozdoba z napisem: *Sereni prodroma coeli* (postanka nieba pogodnego), tarcza, z której światłość promieniami wynika. Po drugim boku bramy od kościoła, u skrzydła bramy napis: *Tutius hoc recubat volucris Lechea cubili* (Lechia skrzydlata bezpieczniej spoczywa w tém gnieździe), orzeł z trzema dziećmi na gnieździe. Dalej balasy po murze albo ścianie do forty, nad którą także cztery osoby, dwie większe; jeden *cataphractus* (rycerz uzbrojony), na drzewcu zbroję i przyłbicę albo szyszak w jednej, w drugiej ręce chorągiew trzymający, pod tym ozdoba świat z napisem: *Carpent tua poma nepotes* (zbierać będą następcy twoje owoce). Drugi anioł większy, w laurze napis

¹⁾ Jako godła królewskiego. To się ściąga do buławy hetmańskiej Sobieskiego, która jak wiadomo w górnym końcu była zakończoną kulą w kształcie jabłka.

taki trzyma: *Paci victricibus armis Serenissimi Joannis III felici opera, assiduis laboribus fundatae aeternum perennaturae hanc lauream sacravere Magistratus Populusque Varsaviensis* (na pamiątkę pokoju utrwalonego zwyciężkim orężem Najjaśniejszego Jana III, szczęśliwemi trudami, usilnemi staraniami wieczyście mającego trwać, ofiarowali magistrat i lud warszawski). Pod tym drugim aniołem, orzeł tarczę i berło trzymający z napisem: *et regit et regit* (zastania i rządzi). Nad fortą środkiem dwaj aniołowie, napis taki trzymają w laurze:

Joanni III Othomanico victori, Musurmanico domitori orientis solis patriam terrore, occidentis fama nominis adimplenti, beatæ quietis fundatori.

„Janowi III, zwycięzcy Ottomanów, pogromcy Muzułmanów; ojczyznę Wschodu przestraczem, a Zachodu sławą imienia napelniającemu, twórcy błogięj spokojuości.”

Daléj *ad extremitatem* (na końcu) ku kościołowi balasy po murze od forty. Na końcu kolos na orłach czterech, pod kolosem ozdoba z napisem: *Durabit in aeternum* (trwać będzie na wieki), dwie ręce z obłoków koronę nad tarczą trzymające. Tu *prima facies* (pierwsza strona) bramy od pola albo przedmieścia.

Druga strona bramy od samego miasta od wierzchu do spodu *per omnia* (we wszystkiém) jednakaż z pierwszą, oprócz napisów i ozdób różnych. Osoba téż królewska na wozie tyłem do miasta, w tyle woza na tarczy herb J. K. Mci wymalowano. Za przyjazdem J. K. Mci do miasta, albo z zamku do miasta, twarzą ta osoba obrócona, bo wóz *volubiliter* (potoczysto) sporządzony.

Pod pierwszą syreną, na rogu bramy przy ganku siedzącą, wiersze takie *cernuntur* (sposstrzegają się) od kościoła z téj strony, albo boku:

I pete cor Lechiaë tibi cernua culmina flectit,
Inclyte rex urbis moenia victor adi
Terra triumphales date regi nostra colossos,
Cui sternat celsos Dedala fama thronos.

„Serce Lechii (Warszawa) skłania przed Tobą schylone wieże, sławny Królu, wchodź do miasta jako zwycięzca. Kraju nasz! święć posągi tryumfalne Królowi, któremu Dedalska sława niech ściele wyniosłe trony!”

Pod drugą syreną w tejże linii nad bramą na rogu siedzącą, taki napis:

Rex tibi diva canunt Achilleae vota puellae,
Inclyte Sarmatici vive Monarcha soli
Rex salve nostri dum te sensere Triones,
Mox hilari syren plauso choreuma pede.

„Najjaśniejszy Królu! Tobie śpiewają boskie pieśni dziewice Achilejskie. Żyj monarcho dla ziemi Sarmackiej, Królu, witaj! gdy Cię spo-

strzegły nasze gwiazdy, ja Syrena natychmiast wyskoczę w tańcach ze śpiewami.“

Królowie także dwaj przy słupach z boków bramy: Jan Kazimierz i Michał *ex phisi notati* (podobieństwem odznaczający się); pod jednym z nich od kościoła napis taki:

Auri comas revocat tua victor adorea lauros
 Tua figis Lechicis lacta trophea plagis,
 Hinc tibi celsa suos pandit Varsovia clivos,
 Aonioque novum carmina dicit ave.
 Laurigero Thracum calcasti colla cothurno
 Et licuit Gethicos perdere caede duces
 Subdita nunc calca rex pectora cernua vultu
 Urbs tibi jam sacros sternitur ante pedes.

„Zwycięzco! twoja sława przywołuje złotowłose wieńce, Twoje szczęśliwe łupy zatykasz w stronach polskich; dlatego roztacza przed Tobą wzniosła Warszawa swoje wzgórze i aoniskiem pieniem głosi nowe pozdrowienie. Królu! zgniotłeś karki trackie w wyprawie uwieńczonej laurem, i słuszném było gubić w bojach wodzów getyckich; teraz, Królu, depcz po korzących się piersiach Twoich poddanych, już Ci miasto ściele się do Twych świętych stóp.“

Wewnątrz bramy z kraju ozdoba z napisem: *vel in Hectora* (sic) *solus Achilles* (jak na Hektora tylko Achilles), osoba z tarczą Turków pędząca. Pod drugim królem od domów przedmiejskich takie wiersze:

Eja Triumphales victori surgite pompae,
 Surgite laurigero fixa trophea pede,
 Rex invicte subi plaudentia capita quando,
 Tot tibi sternuntur corda quot ora vides.
 Affusas Auguste tibi rex cerne Phalanges,
 Quas fundit patulo Lechica porta sinu,
 Illae frondenti trabeant tua tempora lauro
 Castaliaque canunt voce triumpho JO.

„Hejże! powstańcie orszaki tryumfalne, powstańcie łupy zatknięte w zwycięzkim pochodzie. Królu niezwyciężony! zbliż się do narodu witającego Cię oklaskami, kiedy tyle serc korzy się przed Tobą, ile widzisz twarzy. Królu łaskawy! spojrzysz na cisnące się do Ciebie tłumy, które brama lechicka wysypuje z szerokiego łona, one-to przykrywają zielonym laurem twoje skronie i wydają okrzyk radosny kastalskiem pieniem.“

Wewnątrz bramy nisko z rogu Atlas na ramieniu świat trzymający z napisem: *nunquam lassabitur hic Atlas* (nigdy nie będzie strudzony ten Atlas). Fort tychże pobocznych *cadem facies* (taż sama postać), z tej strony jako z pierwszej. Od kościoła kolos nad fortą, osoba by także, anioł większy trzyma taki napis:

Lege ligaque (sic) felicis aevi laureas, devota Principi Varsavia cingetur victor oleis. Qui ipsum coelum in luna Othomanica stellasque in fatuis Tartarorum dilionibus triumphavit.

„Poświęcona Monarsze Warszawa otaczać się będzie wieńcami złotego wieku przez zwycięzcę, który samo niebo w księżycu tureckim i gwiazdy w nieznośnych prowincjach tatarskich pokonał.“

Pod tym aniołem ozdoba z napisem: *per laurum ad aurum* (przez zwycięztwo do złota), kopia przez laur i koronę grotem do góry. Nad fortą środkiem dwaj aniołkowie napis trzymają taki:

Augustissime regum plausus admitte vectigales. Dignus trophaeis qui salutem publicam aegide protexisti (sic), nemo aequius triumphos premit quam armis Majestas paludata.

„Najtaskawszy z królów, dopuść do się z oklasków daniny. Godzien jest pomników, kto dobro publiczne powagą osłania. Nikt nie nabywa sprawiedliwiej sławy, jak orężem monarcha-wódz.“

Druga osoba większa, równa z owym aniołem *catafractus* (rycerz uzbrojony), pod nią chorągiew czerwona, na niej tarcza z napisem: *His patriam tegimus Bessos et sternimus armis* (Pod temi godłami ojczyznę zasłaniamy i ścielemy pogromem Besów ¹⁾); dalej ku bramie, albo na skrzydle bramy esistym, nizko osoba z chorągwią i tarczą z napisem: *belli pacisque peritus* (w wojnie i pokoju biegły). Z drugiego boku od domów przy bramie na skrzydle, osoba zbrojna, w ręce różczkę trzymająca, pod nogami granat z napisem: *te regnatore quiescet* (za Twoich rządów spoczywać będzie).

Nad fortą anieli więksi, jeden trąbę i różczkę trzyma, pod nim orzeł biały, w jednej nodze tarczę, w drugiej pioruny trzymający, z napisem: *et ferit et munit* (i unosi i broni). Drugi anioł w laurze trzyma napis taki:

Victorum fortunatissimo Augusto Joanni III ubi meritos inter Majestati triumphos aether arcum pacis attollit, hoc tropheum in amoris tributum dedicant Magistratus Populusque Varsoviensis.

„Ze zwycięzców najszcześliwyszemu łaskawemu Janowi III, tam gdzie niebo dla zasłużonych zwycięztw przez Króla odniesionych wznosi łuk pokoju, tę pamiątkę jako hołd uwielbienia ofiarują Magistrat i lud Warszawski.“

Pod tym aniołem niżej ozdoba z napisem: *visum cunctis* (widziane od wszystkich). Tarcza zasłania miasto wymalowane. Nad samą fortą w środku między temi dwiema, aniołkowie dwaj mniejsi trzymają w laurze napis w te słowa:

Joanni pacifico, pio, felici, augusto, patri patriae exercitus ab hoste circumsessi conservatori, regni fines pace beanti, publicam lae-

¹⁾ Besowie, wielki naród Tracki, zamieszkały na górach Hemus, graniczył na południe i południo-zachód z górami Rodope i Pecończykami. Podbici zostali ostatecznie przez Rzymian w II wieku po Chrystusie, i składali oddzielne namiestnictwo rzymskie, zwane Besyką.

tiliam suo adventu referenti, optimo Principi, Magistratus Populusque Varsoviensis.

„Janowi pokojodawcy, pobożnemu, szczęśliwemu, łaskawemu, zbawcy wojska otoczonego przez nieprzyjaciół, uszczęśliwiającemu pokojem granice Rzplitej, przypominającemu radość publiczną swoim przybyciem, najlepszemu Monarsze, Magistrat i lud Warszawski.“

Daléj balasy po murze albo ścianie rzniete. *In extremitate* (na końcu) słup albo kolos na czterech orłach, pod nim napis z ozdobą *de tuo fortissimo* (przez ciebie najmocniejszy), świat wymalowany.

To już druga *facies* (strona) bramy z fortami od miasta. Koszt téj bramy 40,000 fl. *In fidem* (za wiarogodność podpisano) St. Kleczyński *Dapifer olim capitaneus m. p.* ręką własną.“

Z powyższych szczegółów przekonywamy się, jak okazała była ta budowla i jak na owe czasy kosztowną dla miasta. Żeby ocenić ile ofiar z swéj zamożności uczynili mieszkańcy Warszawy, dosyć przytoczyć całoroczne dochody, jakie kasa miasta w przybliżeniu posiadała. W r. 1691, zatém w lat 14 następných, obejmowały dochody zaledwie złp. 31,044. Przypuszczając że przez lat 14 dla wzrostu ludności zwiększyły się o złp. 1,044 rocznie, całe więc uposażenie kasy miasta r. 1676, śmiało można oznaczyć na złp. 30,000. Czyli, że nietylko lud warszawski poświęcił dla króla całoroczne dochody miejskie, ale jeszcze wyżej nad to dodał ze składek złp. 10,000. Szacowne jeszcze ułamki, pozostały dotąd w aktach dawnych Warszawy o tych składkach. Ze trzech zeszytów spólcześnie spisanych, od dnia 3 lutego r. 1676 przekonywamy się, że wówczas burmistrzem miasta był Daniel Hennik, i że dla szybszego zbierania tych ofiar, rozdzielono się na dwie partye. Jedna w Staréj Warszawie składała zebrane pieniądze na ręce Szalerta, druga zaś z okolic przedmiejskich i jurydyk na ręce Augustyna Orlemusa. W zebraniu ogólném przedstawia się nam bardzo skromna suma złp. 3201 gr. 25, która w porównaniu z brakującą resztą złp. 10,000 do budowy bramy tryumfalnéj przekonywa, że urzędnicy lub obywatele zamożniejsi miasta, pożyczili jeszcze z własnych zasobów na budowę złp. 6798 gr. 5. Szacowne spisy tych składek, jak z jednéj strony dowodzą małej zamożności mieszkańców, tak z drugiéj dają wiadomość pewną, o osobach stale zamieszkałych, które w chwilach tak uroczystych dla całego miasta i Rzplitej znajdowały się w stolicy Wazów.

Dzieje Warszawy pouczają, że w r. 1676, po raz pierwszy miasto w dowód wdzięczności, wystawiło swemu Monarsze, pogromcy Turków taką bramę tryumfalną. Wypadek ten jeszcze dwa razy powtarzał się za rządów Sobieskiego. Raz przy obchodzie zaślubin w r. 1691 królewica Jakóba syna jego z Jadwigą Elżbiętą księżniczką nejburską, siostrą cesarzowej niemieckiej ¹⁾, i w r. 1694 przy połączeniu węzłem mał-

1) Opis szczegółowy téj uroczystości ogłosiliśmy w *Starożytnościach Warszawy* w tomie III.

żeńskim, królewiczowej Kunegundy Teresy z elektorem bawarskim Maksymilianem Emmanuelem.

Co do położenia topograficznego, jakie zajmowała Warszawa przy powyższych uroczystościach, to je przedstawia nam, bardzo zbliżony do prawdy widok tego miasta z r. 1669, na miedzi ryty w Rzymie przez Franciszka Colignon ¹⁾. Rysował go z natury z wysokości lotu ptaka Jan Chrzyciel Gisleni w czasie elekcyi Michała Korybuta. Odległość lat siedmiu do r. 1676, nie wiele mogła zmienić fizyognomii stolicy i okolic. Widzimy więc na nim Starą Warszawę w murach obronnych, z kierunkiem ich bardzo widocznym wokół całego miasta; czego nie spostrzegamy na żadnych następnych panoramach stolicy bądź sztychowanych, bądź tylko rysowanych lub malowanych. Następnie przedstawia się oku widza Nowa Warszawa w całym zniszczeniu, jakiemu po spaleniu przez Szwedów w r. 1656 i 1657 uległa wraz z innemi jurydykami i miasteczkami. Szczególną jednak i bardzo wielką ma wartość ten zabytek, bo na nim tylko jednym jako zdjętym z lotu ptaka, przedstawia się nam Wisła, okalająca całą dzisiejszą Saską Kępę dwoma korytami, jednem dawniejszém od strony Pragi, drugim jak dziś płynie od strony Warszawy. Zatem pod tym względem widok ten stwierdza stanowczo, że kierunek Wisły dzisiejszy nastąpił dopiero w XV wieku, jak przywileje z tego czasu bliżej udowadniają ²⁾. Wiele innych ważnych jeszcze dla miasta i kraju szczegółów, mieści w sobie ten zabytek jako to: most na Wiśle wprost Mostowej ulicy, szopę elekcyjną z wszelkimi budowlami, folwark Faworyta, gdzie dziś cytadela Aleksandryjska; ale ramy dzisiejszej pracy nie pozwalają nam rozszerzać się dłużej. Tymczasem zajrzyjmy we wnętrze samej stolicy, tylokrotnie niedawno zniszczonej przez Szwedów w latach 1656 i 1657. Lustracya Warszawy z r. 1660 przedstawia nam, że po tych pożogach wojennych pozostało w całym obrębie murami okolonym kamienic i domów tylko 184. Nowa Warszawa domów 93 liczyła, placów zaś pustych zupełnie w samym rynku 36 i tyleż przy spalonych ulicach. Folwark warszawski już był odbudowany przez Jana z Piaszkowej Skały Wielopolskiego. Na całym Grzybowie tylko budynków 25, reszta place opustoszałe. Że od r. 1660—1676 mogła się była Warszawa odbudować, wątpliwości nie ulega. Ale stan dochodów z kasy miejskiej, jakieśmy wyżej przytoczyli, dotykalnie poucza, że o możliwości mieszkańców jeszcze nie było można marzyć; zwłaszcza, że często powtarzający się mór po tych wojnach, rozpraszał ludność miejską na cały kraj i utrudniał stałe sadowienie się mieszkańców.

Porównywając więc obraz miasta topograficzny i finansowy, z kosztami w sumie złp. 40,000, jakie Warszawa poniosła na wystawienie bramy tryumfalnej, musimy koniecznie przyznać wielkie ofiary,

¹⁾ Znajduje się w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego.

²⁾ Ogłosiliśmy je w *Starożytnościach Warszawy* w tomie III, str. 16.

jakie dla pogromcy Turków lud stolicy wówczas poniósł, a jakie uwydatniają się dotykalnie, gdy odczytujemy szczegóły opisu bramy.

Ze nagromadzenie rycerstwa z całej Rzplitej, musiało w r. 1677 nadzwyczaj zwiększyć ogólny ruch ludności Warszawy, wątpliwości nie ulega. Trzy bowiem zdarzenia wielkie polityczne, jakie wówczas w jej murach odbywały się, nadawały jej postać pierwszych stolic Europy. Obchód jakiśmy opisali, sejm walny który się zaraz rozpoczął w stolicy po wjeździe Sobieskiego, wreszcie po zakończonych obradach, złożenie publiczne hołdu przez Księcia Kurlandi i Semigalii Jakóba Kettlera, który przez swych posłów jako wazal Polski, odbył takowy w sali tronowej w zamku królewskim dnia 27 kwietnia r. 1677 ¹⁾, mogą tylko dać dokładne wyobrażenie o epoce którą przedstawiliśmy.

Przebiegając nakoniec dzieje Warszawy aż do tej epoki, śmiało rzec można, że rok 1677 pierwszy raz przedstawiał w jej murach tylu zebranych senatorów, dygnitarzy i całego rycerstwa, oraz tyle ważnych dla kraju i całej Rzplitej uroczystości. Czyliby zaś koszta i trudy nadmierne, jakie mieszkańcy Warszawy ponieśli wówczas dla Jana III, były odpowiednie do zasług króla, o tém z pierwszej części naszej pracy, choć treściwie przekonać się można.

Pozostaje nam jeszcze ujawnić, jakie wrażenia z tych hołdów, ofiar, uniesień i okazałości miasta i Rzplitej, odbiły się w duszy bogobojnego bohatera Europy. Ze go nawet na chwilę nie oszołomiły ani zaślepiły, jak to co do wielu zwycięzców po innych narodach w dziejach ogólnych spotykamy, dowód na to jest następujący. Już Zygmunt III i następnii królowie, przeniknieni ważnością reguły najostrzejszej zakonu św. Franciszka OO. Kapucynów, jaka w całej Europie rozgłoszoną się wówczas stała, kilkakrotnie starali się w Rzymie o zaprowadzenie tego zakonu w Polsce. Usiłowania jednak monarsze wciąż dotąd rozbijały się o to, iż generałowie tego zakonu uważali za niepodobieństwo zastosowanie najostrzejszej reguły do srogiego klimatu w Polsce. Dzieje Rzplitej jednak w przeszłości okazują, że Jan Zamoyski wśród najtęższych mrozów prowadził kampanią w Inflantach za Batoro, jak również Jan III w r. 1675, całą zimę przepędził w obozach nad Dniestrem. Odwdzięczając się więc Sobieski, za tak wielką oznakę hołdów i okazałości, jaką mu Rzplita przy wjeździe do Warszawy ujawniła, nie zapominając przytém na chwilę, że nie kłamana radość całego narodu pochodziła nie z nakazów, ale z prawdziwych uczuć mieszkańców przejętych ważnością zwycięstw; tém przenikniony do głębi duszy, postanowił upamiętnić ten wjazd założeniem zakonu i klasztoru OO. Kapucynów w Warszawie. Bo tym sposobem chciał owoc swoich zwycięstw połączyć z powiększeniem chwały Bożej w całej Rzplitej, i bliżej ludności Warszawy okazać, że wszelkie tryumfy światowe są przemijające, a tylko służba i duch bogobojności, stanowią główną podstawę szczęścia narodów.

¹⁾ Szczegółowo ogłosiliśmy w *Starożytnościach Warszawy* w tomie IV od str. 281.

W miejsce przytaczań dyplomów erekeyjnych, posłuchajmy co nam Michał Baliński, sumienny badacz, który miał w ręku te pargaminy (w tomie IV str. 10) przytacza:

„Król ten uczyniwszy ślub ufundowania zakonu Kapucynów w kraju polskim, w zawdzięczeniu się niebu za błogosławieństwo orężowi jego w tylu wyprawach na Turków i Tatarów, szczęśliwie *dotąd* odbytych, starał się zaraz, prawie od wstąpienia swego (bitwa pod Chocimem) na tron, wyjednać na to w Rzymie pozwolenie. Ale gdy się to zawsze przeciągało, król Jan znajdując się w r. 1677 w Gdańsku, pisał do kardynała Rospigliosi protektora zakonu Kapucynów w Rzymie (list pisany po włosku i datowany z Gdańska 3 grudnia r. 1677), *a wprzód jeszcze* do kardynałów Cibo i Vidoni, prosząc o przyspieszenie sprowadzenia ich do Polski. Nakłonieni wreszcie żarliwą i stałą chęcią Jana III rzeczeni dwaj kardynałowie, za porozumieniem się z protektorem i generałem zakonu, wysłali Ojca Jakóba z Rawenny, kapłana prowincyi Bonońskiej, dla rozpoznania kraju, w którym nowa latorośl zakonu miała być zasadzoną.“

Lecz zaprowadzenie tak ważnej instytucyi duchownej w Polsce, nie zaspokojało jeszcze duszy Sobieskiego, przejętej wdzięcznością ku Stwórcy. Jużemy wspomnieli w I ustępie tej pracy, że dnia 11 listopada r. 1673 odniósł Jan III świetne zwycięztwo pod Chocimem, jak również, że przed samą bitwą dnia 24 sierpnia r. 1675 pod Lwowem, wezwał pomocy Pana Zastępów, przez orędownictwo biskupa Stanisława Kostki, dla pokonania nieprzyjaciół potężnych. Po wygraniu tych dwu batalii, które zdumiewały całą Europę, Jan III już dnia 7 grudnia r. 1674, napisał w obozie pod Kalnikiem do Ojca S. Klemensa X list ¹⁾ z pokorną prośbą, aby patron rzeczony Polski, mógł być kanonizowany na świętego. Gdy jednak z powodu licznych formalności do tak ważnego aktu, sprawa ta przeciągała się w Rzymie, Sobieski chcąc jak najprędzej przywieść do skutku swój zamiar, który miał oddziaływać nie tylko na Polskę, ale nawet i na całe chrześcijaństwo, napisał powtórny list dnia 17 marca r. 1677 w tym samym przedmiocie ²⁾, już nie tylko od siebie, ale i od całego senatu Rzplitej, obecnego wówczas w Warszawie. Ostatnie przedstawienie, jak wiemy, wysłuchane zostało.

Wreszcie za wpływem króla, upamiętniony także został ten rok w dziejach stolicy Wazów, przez konsekracją kościoła OO. Reformatorów pod tytułem św. Antoniego Padewskiego; o czém bliżej napis na froncie tej świątyni dotąd przekonywa.

Tak więc trzema wiekuistemi pamiątkami, Sobieski utrwalił swój objaw wdzięczności ku Stwórcy: dla chwały Jego w całym chrześcijaństwie, dla pożytku całej Rzplitej i dla dobra mieszkańców Warszawy.

Pisałem dnia 13 czerwca r. 1877.

¹⁾ Theiner, III, str. 632. ²⁾ Tamże, str. 651.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Najpierwsze prace w dziedzinie mowoznawstwa polskiego.

Gramatyka porównawcza mowy polskiej, w zestawieniu jęj z niemiecką i hebrajską d-ra J. M. Rabbinowicza. Paryż, 1877. (Vergleichende Grammatik der polnischen Sprache, verglichen mit der deutschen und hebraeischen) str. XL i 432.

W skutek zastosowania metody filozoficznej do mowoznawstwa, oraz w skutek ustalenia się trzeźwiejszych poglądów na pokrewieństwo języków, w obecnym wieku znakomite zrobiła postępy i gramatyka— w ściślejszem znaczeniu tego wyrazu. Ku wielkiemu zaszczytowi piśmiennictwa krajowego wypowiedzieć winniśmy, szczególnież co do pierwszego działu pracy, że nasi badacze mowy, pod wielu względami wyprzedzali poglądy swojego wieku.

Już Linde w wybornym wstępie do Słownika, a Kopczyński w różnych miejscach swojej Gramatyki, postawili (pierwszy w nauce źródłosłowu, drugi w prawidłach gramatycznych) tak znaczące fakta i teorye, że dziś jeszcze stać one mogą na równi z najnowszemi tego rodzaju odkryciami.

Ale ogólne podwyższenie nastroju w mowoznawstwie, jest właściwie dziełem czasów najnowszych. Monografie poświęcone pewnym szeregom zjawisk mowniczych, rozprawy o słowie polskiém, o zdaniu, o imionach, o zasadach zmiękczenia głosek, i t. p. wycieczki filologiczne, były to stopniowe przygotowania, które też rychło wywołały zmianę zwrotową w nauce języka.

Po pracach ks. Malinowskiego i dr. Małeckiego ukazuje się, jako organiczne ich następstwo, dzieło p. Rabbinowicza, bynajmniej nieustępujące poprzednim, ani co do powagi stanowiska, ani co do ścisłości w wyczerpaniu szczegółów. Jakkolwiek nie podaje on składni, uważanej zwykle, za właściwy grunt do filozoficznego rozważania mowy, jednakże i nauka o formach gramatycznych, prowadzi go niejednokrotnie do pojęciowych tajników mowy naszej. W przedmowie do dzieła, p. Rabbinowicz z należnym uznaniem odzywa się, mianowicie: o dr. Małeckim i ks. Malinowskim. Następnie określa stosunek swojej Gramatyki do prac wymienionych poprzedników, wskazuje różnice i usprawiedliwia je; wreszcie zapowiada nową pracę: *Naukę składni*, do której już zebrał pewne materyały, a nateraz w interesie prawdy, oczekuje sądu czyteln-

ników, z zapewnieniem, „że bezstronna krytyka będzie dla niego tak pożądana, jak głos uznania najżyczliwszych jego przyjaciół.“

Jak sama nazwa zapowiada, p. Rabbinowicz podaje nam gramatykę języka polskiego, porównawczo z hebrajskim i niemieckim. Nie jest to jednak proste zestawienie trzech indywidualności z naciąganiem cech, w skutek którego te trzy języki byłyby w końcu zmuszone przyznać się do pokrewieństwa; przeciwnie idą tu, równolegle do siebie, wszystkie szczegółowe formy i własności mownicze, zebrane jaknajstaranniej, tak że czytelnikowi mimo woli uznac przychodzi coś więcej, aniżeli przypadkową analogią. Słowem, nie są to trzy gramatyki w jednej, ale raczej obraz harmonii organicznej trzech języków, w której tło główne stanowi *rodowita* mowa autora (bo tém imieniem nazywa on język polski).

W ogólnym układzie, autor zachował metodę analityczną; rozpoczyna tedy nie od zdania, lecz od jednostki fonetycznej, od dźwięku. W języku naszym upatruje on długość i krótkość samogłosek (tak np. długie *a* widzi on tam, gdzie w mowie ludu słyhać *o*, pan, pon, miąłem, miółem). W zmiękczeniu spółgłosek odróżnia brzmienie *pieszczone* i *przyciskowe*. Akcentu dotyka tylko pobieżnie.

Daliej idą z kolei części mowy przypadkujące się (deklinacyjne). Panującego u nas podziału na trzy formy, podług trzech rodzajów, autor nie uznaje za stosowny, ponieważ w nim pominięto ten główny charakter deklinacji polskiej (wspólny z niemieckim), że po największej części zakończenia przypadków liczby mnogiej są w trzech rodzajach też same. Przeto, uważa za stosowniejszy, podział na dwie deklinacje:

1) Obejmuje rzeczowniki, mające w ostatniej zgłosce twardą spółgłoskę, już to osłoniętą samogłoską *a* lub *o* (stado, ryba), już to osłoniętą (tytuł).

2) Rzeczowniki, w których ostatnia spółgłoska jest miękka (np. metal, wesele, sala), albo takie, w których *a* ma przed sobą samogłoskę (statua, Genua).

Z powodu odróżnienia przypadków ubocznych, autor przypomina, że przypadek 1-szy, jako niezależny, niema zakończenia przypadkowego i że tém się wyróżnia od ubocznych. Ale za to ulega on często zmiękczeniu (kwietnia, kwiecień; dnia, dzień). Dowodzi to, zdaniem naszym, iż przypadek 1-szy, jako oznaczenie podmiotu działającego, wytwarzał się później.

W tymże dziale podaje deklinację przymiotników, zaimków, liczebników.

Równie obszerną, jak poprzednia, jest nauka o słowie. I tu za zasadę podziału wzięty jest tryb bezokoliczny, z dołączeniem słów nieprawidłowych. Następuje nauka czasów, najważniejsza i najpoważniejsza też przeprowadzona. W końcu autor, w krótkości przebiega części mowy nieodmienne.

W niniejszej ocenie téj obszerniej i ze wszechmiar ważnej pracy, dotkniemy przedewszystkiém strony pojęciowej, w niej bowiem głównie

tkwi dusza systematu, rzucająca światło na szczegóły; a przytém, dotkniemy i szczegółów o tyle, o ile w ich tłómaczeniu nie zgadzamy się z autorem.

Otóż stronę pojęciową autor wypowiedział na wstępie (XI do XL), jakkolwiek nieraz spotkamy się z jęj zastosowaniem w ciągu nauki o formach. Przypatrzmy się najprzód jak p. Rabbinowicz poprowadził najżywotniejszą kwestyą: organizacyi języka naszego.

„Jak wszystkie gałęzie badań umysłu ludzkiego, tak również i badanie dotyczące języka, zdaniem autora czerpie swoje kierunki w trzech czynnikach, a mianowicie: we wpływie historycznym, w rozwoju własnym, samodzielnym, powodującym nieraz zboczenia od drogi historycznej, nakoniec we wpływie współczesnych, wypowiadającym się jużto przez bezpośrednie wrażenie na ducha języków sąsiednich, jużto pośrednio, skoro każdy lud dopomaga duchowi czasu do wytworzenia sobie pewnego kierunku, a tęp samém oddziaływa także pośrednio na język innych ludów.“

Otóż (zdaniem autora) z pomiędzy tych trzech czynników, dwa tylko pierwsze uwzględnionemi zostały przez ludzi, stojących dziś na czele mowoznawstwa polskiego. Postanowił przeto zwrócić swoje poszukiwania na tę „dotąd przez poprzedników nieupatrzoną drogę.“ „Zamierzyłem, powiada (str. XIII), rozważać gramatykę polską z nowego stanowiska, pracując nad wytłómaczeniem jęj zjawisk przez *sam język*, t. j. nastęrczające się w różnych dziedzinach mowy polskiej fakta porównywać z sobą i tęp samém uczynić je łatwiejszemi do pojęcia. Przedewszystkiém zaś starałem się o zestawienie rozlicznych prawideł mowy polskiej z zasadami upatrzonemi w innych językach z całkiem odmiennego źródła.“

Następuje poczet faktów (str. XIV—XVI), dowodzących, że historyczne wywody dotychczasowych mowoznawców nie wystarczają na wytłómaczenie wszystkich zjawisk. Powtarzamy niektóre z nich za autorem, szczególniej z uwagi, iż przy tęp sposobności usłyszemy ważny dogmat, podcinający piórka wybrykom filologii porównawczej. Wprawdzie p. Rabbinowicz w zasadzie nie zrywa z tradycyą sanskrytologiczną. „Język polski (str. XV), mówi on, jestto zapewne nic innego, jak rozwinięta i zmodyfikowana mowa macierzyńska, a raczej pramacierzyńska sanskrytu, ale nieinaczęj, jedno tak, jak mąż pełnoletni a dojrzały, z wysoko rozwiniętym duchem, uważanym być winien za rozwiniętą formę dziecka dwuletniego; kości i mięskły są (tu i tam) tęp same; nawet barwa oczu i włosów, pewne rysy twarzy, ba i nawet pewne wrodzone nieprawidłowości, pozostają takiemi, jakie dziecko odziedziczyło po rodzicach i na świat przyniosło; będą więc one znamieniem jego charakterystyczném, dopóki żyje. Ale jego ruchy, działania, jego duch, należęć będą prawie jedynie i wyłącznie do wieku dojrzałego. Podobnież rzecz się ma i z mową polską; aż po dziśdzień jest ona niczęp inném, jak spadkowym udziałem, pochodzącym od sanskrytu; lecz Polacy XIX stulecia używają tego skarbu dziedzicznego już w duchu języków nowożytnych chwili obecnej.“ Z głębokiem uznaniem, acz z zastrzeżeniem po-

dnosimy to hasło, tak skromnie, ale tak wymownie protestujące przeciw wszechwładczym zachciankom filologii porównawczej. Porównywanie odkrycia mowy staroindyjskiej do odkrycia Ameryki i tym podobne hyperbole, powinny już przecież ucihać, a powaga źródeł sanskryckich wrócić do właściwych rozmiarów. Jeszcze jeden cios, zadany tak stanowczo marzycielstwu etymologów, jak go zadał p. Rabbinowicz, a sanskryt przestanie być ostateczną wyrocznią w rzeczach rozwoju mowy polskiej i żywocięcia, jakie pozwalał sobie dokonywać Bopp na językach słowiańskich, ponawiać się nie będą.

Z faktów, na jakie powołuje się p. Rabbinowicz w pokazaniu niedostateczności wywodów historycznych, przytaczamy następujące, wielkie, szczególnież morfologiczne zmiany, które, jak słusznie po części przypomina autor, dokonały się w naszym języku w czasach stosunkowo najbliższych.

„Główném znaczeniem mowy słowiańskiej, przenikającym wszystkie części mowoznawstwa, jest zmiękczenie głosek (str. XIV, XV). Otóż w starożytności nie spotykamy wcale śladów podobnego zmiękczenia i Malinowski (są to jeszcze słowa autora), który w każdym rozdziale potrąca o sanskrytę (*Elwas vom Sanserit zu erzahlen hat*) w owym pierwojęzyku nie znajduje najmniejszej analogii ze słowiańską zasadą zmiękczenia głosek, a tém bardziej z rozlicznemi prawidłami tej zasady. Zmiękczenia tedy głosek należą do czasów nowszych i analogii na nie szukać należy w językach nowożytnych.”

Jeżeli dobrze wyrozumieliśmy autora co do znaczenia trzech czynników wzrostu języka, w takim razie przytoczony dopiéroco ustęp ma znaczyć, że własność zmiękczenia głosek mowa nasza winną jest nie wpływowi historycznym, lecz samoistnemu rozwojowi (czyli swojej naturze), oraz wpływowi współczesnym (czyli analogii języków nowożytnych).

Otóż, przeciw tak postawionėj kwestyi, nastęrczają się, podług nas, ważne trudności.

Pomimo olbrzymich prac, jakie dokonała filologia w nauce języków starożytnych, wyznać musimy, że to, co się nazywa dźwiękiem ich mowy, jest dla nas, po większej części, tajemnicą. Starożytność odstania wprawdzie przed nami swoje oblicza, oddaje nam klucze od wszystkich czynników życia swego, odkrywamy ledwie że nie ślady jēj stąpania, łyzy, uśmiech i inne objawy psychiczne daje się odgrzać i wskrzesić. Ale dźwięk jestto fenomen, niedający się odtworzyć. Walka Reuchlinistów z Erazmistami toczyć się będzie bez kresu, bo rysów toniczných umierającego plemienia żaden pędzel przekazać nie jest w stanie potomości.

Brzmienia tedy języków zamartwych z pod władzy ucha usunięte nazawsze, przechodzą pod słabą i arcy-jednostronną władzę oka.

Pomimo jednak ostatecznego zatracenia tajemnic dźwięku w starożytnych językach, badania nasze nie są pozbawione pewnego gruntu. Jeżeli nie słyszymy, to widzimy, jeśli nie czujemy, tedy przynajmniej rozumiemy

z grubszego, przypuszczalnie, dźwiękową naturę każdej ich głoski. Z danych wiadomych dochodzimy do niewiadomej, za pomocą instynktu mówniczego.

Otóż w granicach fonetyki, tak pojętych, natrafiamy na skazówki zmiękczenia głosek w mowie greckiej. I tak jeżeli pierwiastek *frontid* (troska), przechodzi w wyraz *frontido*; jeżeli pierwiastek: *hed* (siadać), przechodzi w *hedzo*, nie jestże to najdotykalniejsza analogia z polskim *sad* i *sadzam*? Jeżeli łacińskie *vikus* przechodzi w *vicinus*; nie jestże to analogia z polskim *córka* i *córce*? a gdyby nawet zachodził pewien odcień pomiędzy polskim a łacińskim sposobem zmiękczenia półgłoski (co niewątpliwe), to prawdopodobnie nie sięga on dalej, jak różnica np. w wymawianiu polskim, francuzkiem i angielskiem wyrazu jednego i tegożsamego, np. pensyon. Sam autor wskazuje nam, że i w języku hebrajskim zachodzi pomiędzy innemi zmiękczenie *ch* na *s*.

Ale przestronne pole, już nie dla hipotezy, lecz dla naocznego pokazania systemu zmiękczenia spółgłosek, mamy w sanskrycie. I tak: znanym jest faktem, że wiele wyrazów sanskryckich, mających w swoim składzie brzmienie *cz*, powstało z pierwiastku mającego brzmienie *k*; tak np. wyraz *wacz* (głos, *vox*, *vocare*), w swoim źródłosłowie brzmi: *wak*, i dlatego 7-my przypadek liczby mn. jest: waksu. Zachodzi więc tu zupełnie tażsama zamiana dźwiękowa, jak i w polskim (człowiek, człowiecze). Przymem zdarza się, iż pewne wyrazy sanskryckie, mające w składzie swoim *cz* (np. czatur-cztery) w innych językach, zamiast niego mają brzmienie *k* w łacińskim i litewskim, a znowu w zendzkim: *cz* (czatwaro).

Tak więc, co do własności zmiękczenia głosek, bynajmniej nie braknie analogii pomiędzy językiem polskim a starożytnemi. Nie idzie ztąd wszakże, aby to osłabiać miało wypowiedzianą przez autora zasadę, że „czynniki historyczne nie wystarczają na wytłómaczenie wszystkich zjawisk mówniczych w języku polskim.“ Pozostanie ona niezachwiana. Ale zachodzi pytanie: gdzież tedy upatruje autor źródło téj postaci gramatycznej? Na odpowiedź pozostają dwa następne czynniki rozwoju języka: jego potęga własna i wpływy współczesnych. Autor nie pozostawia nas w wątpliwości pod tym względem. Zdaniem jego, język nasz urabiał się pod tym względem, jak i pod wielu innemi, w duchu i pod wpływem *współczesnych*. Poczet faktów przytoczonych w dalszym ciągu, pokazuje wyraźnie, co mamy rozumieć przez wpływy współczesnych. Jest to poprostu modelowanie się języka na sposoby cudzoziemskie. Jest to poprostu szlachetny brak odwagi do wypowiedzenia się w jasnej, otwartej formule, (choćaż głos przekonania nigdy jeszcze nie zaciemnił aureoli żadnego myśliciela). Posłuchajmyż historycznych spostrzeżeń autora: „Aż do wieku XVI w języku polskim istniały samogłoski długie, jak to ma miejsce w językach starożytnych. Dziś język polski idzie za *analogią języków nowożytnych*, francuzkiego, niemieckiego i t. d.“

„Jeszcze w wieku XVII oprócz liczby mnogiej, miał on jeszcze podwójną, jak język sanskrycki i mniej starożyty od niego, grecki, Dziś język polski idzie za *duchem* języków nowożytnych, francuzkiego, niemieckiego i t. d.

„W przypadkowaniu rzeczowników, zakończenie *owie* było ogólną cechą przypadku 1-go liczby mnogiej.“ Że dziś zakończenie *owie*, zostawiono wyłącznie dla imion męzkich, osobowych, pan Rabinowicz tłumaczy i to również wpływem współczesnym. Ograniczenie formy *owie* (synowie, bohaterowie), przypisuje on wpływowi etykiety francuzkiej (*Vous*), niemieckiej (*Sie*) i t. p.

„Czasowanie, jeszcze w XV wieku miało aoryst, przeszły niedokonany, z zupełnie odmiennymi od dzisiejszych zakończeniami osobowymi, np. mołwich (mówiłem), mołwi (mówiłeś), mołwi (mówił); w liczbie mnogiej: mołwichom, mołwiście, mołwichą (mówili); w liczbie podwójnej: mołwichwa, mołwista (wy i oni oba mówili).“

W końcu wreszcie tego dzieła czytamy: „w obecnej gramatyce przytoczyłem wiele nowych prawideł, które więcej pokazują podobieństwa z *duchem* języków *nowożytnych*, aniżeli z sanskryckim.“

Zgoła główny nacisk wszędzie prawie kładzie pan Rabinowicz na ducha języków nowożytnych.

A cóż się stało z trzecim, podług nas, najwalnieszym czynnikiem wzrostu mowy, to jest z potęgą samodzielnego rozwoju? Dla czego autor postawiwszy na czele swoich badań tak prawdziwą, trójjedyną całość sił działających w języku naszym, rzekł się następnie najważniejszej?

Podnosimy niektóre z wyżej wspomnianych spostrzeżeń autora, na dowód, że daleko snadniej i słuszniej podobne fakta (jak zaniechanie liczby podwójnej, zmiękczenie głosek i t. p.), wytłómaczyć się dają przez własnotwórczą naturę języka, aniżeli przez tak zwane u autora wpływy współczesne. Weźmy np. pod rozwagę zmiękczenie głosek lub zaniechanie pewnych zmian formowych.

Zmiękczenie spółgłoski w języku polskim sięga epoki najodleglejszej, nie jest więc skutkiem modelowania się jego na wzór mowy francuzkiej; przeciwnie jest owocem wypracowania się języka z *własnych* i we własnych żywiołach. W którymżeto z języków nowożytnych spółgłoska *r* zmiękczała się w tym kierunku fonetycznym, i zmiękczyła do takiej subtelnosci, że jej różnicy od *ż* opisać nawet niepodobna, a jednak uznać potrzeba? Czy pan Rabinowicz tak głęboko wnikający w naturę języków, czuje jakąkolwiek analogią pomiędzy wymawianiem zgłoski *biu* w wyrazie francuzkim *biuste* i polskim *biust*? czy Francuzi zmiękczają spółgłoskę? bynajmniej. Cały proces zbiega się tam w następującą po niej samogłoskę. Jest tu różnica prawie fizyologiczna. W wyrazie np. *bierny*, my antycypujemy wrażenie zmiękczenia, to jest jeszcze przed wymówieniem pierwszej sylaby usposabiamy organ mowny do zmodyfikowania dźwięku *b*, i to w sposób, nie powtarzający się w żadnym języku, nawet słowiańskim.

Ależ, odpowiedzą nam, nie idzie tu o sposób zmiękczenia dźwięków: idzie o podanie do niego hasła z języka sąsiadów, o modę okrzesywania dźwięków, z pozostawieniem języka własnemu jego mechanizmowi. Na to odpowiemy: olbrzymią starożytnością naszego języka; dowodami dziejowej kolejności w okrzesywaniu dźwięków; postawieniem zabytków pierwotnej, grubiej formacyi (*chody-że, idy-że, kto to widal*), obok zmiękczonej (*chodź, idź, widział*), ale również starożytniej. Odpowiemy pieśniami ludu, sięgającymi wieku, w którym, jak mówi Sismondi, na zachodzie Europy mowy łacińskiej już nie było, a języków romańskich jeszcze nie było: i w tych właśnie zabytkach pokażemy doskonale już wyrobiony system dźwiękowy. Wszak sam autor zwraca uwagę na istniejące dotąd zabytki starego ukształtowania: widomy, ruchomy (od nie zmiękczonego jeszcze: *ruchać*).

Zaniechanie pewnych odmian także przypisałbym wcale innę przyczynę, aniżeli wpływom obcym. Dowieść można tego i historycznie i pojęciowo, porównyując nasz język np. z romańskimi. Horda najezdnicza, rzucając się na kraje cywilizacji i języka rzymskiego, jako dzika i nieskończenie niższa duchowo od zwyciężonych, traciła stopniowo przyniesioną z sobą gwarę, i wytwarzała na oślep, w sposób czysto-mechaniczny, nową gwarę z pierwiastków mowy podbitych. Było to istne wznowienie chaosu świata, a jeszcze lepiej, że użyjemy dosadnej metafory podaniowej, było to spadanie wyrazów do piekła, w którym na wieki pozostać miały w takiej postawie, w jakiej, rządzeniem trafu, zapadły. I tak, rzeczownik łaciński, pochwycony w przypadku 6-ym liczby pojedynczej, i w tej formie znieruchomiony na zawsze, stał się wyrazem włoskim; z przypadku 4 liczby mn. powstały rzeczowniki hiszpańskie, z 2 rumuńskie. O mowie naszej nie podobnego pomyśleć się nie da. Nie tworzyła się ona przez absorbowanie obcych żywiołów, a zatracanie swoich, ale raczej wzrastała przez ich asymilowanie w dzielnym organizmie swoim. Łacińskie *castellum* (z kąd nasze: kościół) jest przepolszczonym do niepoznania, w grunt wrośniętym; włoskie *pietade*, jest surowym materyałem, który leży we wnętrzościach obcych, niestrawiony, z zachowaniem na zawsze tego położenia, a w jakim został połknięty. Łacińskie *factum* było najprzód *faict*, a następnie *fait*, czyli że, i wewnątrz wyrazów nie zachodziła asymilacja, ale tylko, mechanicznie wydzieranie dźwięków, bez wszelkiej organicznej ich przeróbki.

Zwóćmyż uwagę i na pojęciowy stosunek mowy polskiej do otoczenia europejskiego. Jako język fleksyjny, snuł on tém samym swoje pojęcia w zupełnie odmiennym porządku logicznym, aniżeli francuzki. Końcówkowa ruchliwość wyrazu odbijała się w układzie zdania, płodność znowu w wytwarzaniu form odsłownych, ułatwiając skracanie zdań, wpłynęła zupełnie odmiennie na budowę okresu. Myśl tedy, powtarzamy, w skutek korzystniejszych warunków gramatycznych, snuje się tu inaczej, swobodniej. Sam nawet język niemiecki, bliższy do polskiego co

do układu fleksyjnego, nie może dotąd jeszcze wyzuć się z nieruchomości składniowej. Pytanie więc, co tu mogły położyć na szalę tak zwane przez autora wpływy zewnętrzne, to jest analogią języków, albo z odrębną budową, ale nieskończenie niższą? Zaniechanie przeto pewnych odmian (jako to, liczby podwójnej, imiesłówów biernych czasu teraźniejszego, czynnych przeszłych i t. p.) nie nastąpiło w skutek zaparzenia się na inne języki, ale raczej *wypadło* z kolei naturalnego rozwoju. Liczby podwójnej zaniechano, skoro stała się już niepotrzebną, to jest skoro po dojrzałym ustaleniu się pojęcia ilości okazało się zbyt cieniowaniem liczebne wyobrażać w formie słownej. To samo zaszło i w mowie greckiej. Użycie stałe liczby podwójnej ciągnie się nie dalej, jak do czasów staro-attyckich. W epoce aleksandryjskiej znikła ona stopniowo, i nakoniec znikła z żyjącego języka.

Tak więc pierwszą wybitną barwą stanowiska pana Rabbinowicza jest sprostowanie granic pomiędzy gramatyką języka polskiego a mowoznawstwem porównawczem.

Drugą cechą jego obecnej pracy, jest całkowite usunięcie badań źródłosłowowych. Uznaje on zasługi p. Małeckiego i K. Malinowskiego, w tym obrębie nauki położone; ale docieranie do tej pierwszej materii języka, którą zwiemy pierwiastkami, zostawia raczej słownikarstwu. Głównym tedy jego polem jest forma (czasy, przypadki i t. d.), na tém też polu głównie wytyka on skutki przesady w podstawianiu wszystkich faktów pod zasadę historyczną.

Wyjątkowo oryginalną jest praca p. Rabbinowicza i z tego względu, że gramatykę polską prowadzi porównawczo z niemiecką i hebrajską. Usprawiedliwiać zestawienie mowy polskiej z niemiecką, jest prawie zbyt cieniowym. Zastanawia nas jednak, że p. Rabbinowicz szuka wspólności pomiędzy językiem germanów a naszym, poza dziedziną ich rzeczywistej natury, t. j. nie w pierwiastkach, ale w formach (na co jeszcze się godzimy), a co ważniejsza—w zwrotach. Posłuchajmy samego autora: „Jeżeli więc język polski (str. XVII) posiada tyle słów wspólnych z niemieckim, tedy tém bardziej, musi on posiadać i zasady grammatyczne (*grammatische Principien*), wspólne z językiem niemieckim.”

Zdawałoby się, że autor ma tu na myśli coś daleko ogólniejszego, aniżeli pokrewieństwo dźwiękowe, zdawałoby się, że mówi o jednym z tych *typów umysłowych*, jakimi bezwątpienia cechuje się szczep indo-europejskich, wobec semickiego. I w takim razie bez namysłu postawilibyśmy zgodnie z autorem język niemiecki obok polskiego, jako zbudowane na jednorodnej podstawie pojęciowej, a wtedy pośredniemi ogniwem porównania, byłyby języki starożytny.

Tymczasem autor inaczej tu rozumie pokrewność, rozumie on przez nią owe naleciałości składniowe (zwroty, frazesa), których bynajmniej uważać nie należy za prawowite żywioły w budowie języka, ale raczej za żywioły najazdowe, za żdźbła, uwięzłe w organizmie, które

przyrodzonym biegiem rzeczy muszą z niego wypłynąć, albo skruszyć i w końcu, zniknąć. „Wiadomo, powiada p. Rabbinowicz, że łatwiej się przejmuje z obcego języka jego zwroty, aniżeli jego pierwiastki (t. j. wyrazy). Choćby np. Polak, przez długie obcowanie z Niemcami i przeniknął się głęboko duchem ich mowy, przecież rozmawiając z ziomkami, nie użyje wyrazu niemieckiego, ale w formach gramatycznych (?) i zwrotach dopuszczać się będzie germanizmów.”

Tak bezwątpienia, odpowiemy autorowi, ale te chwilowe znarowienia rozbijają się z czasem o tarczę *ducha* mowy, który właśnie, jako *duch*, skażonym być niemoże.

Co się tyczy języka hebrajskiego, p. Rabbinowicz przyjmuje, jako fakt, że zachodzi rzeczywiście uderzająca wspólność wielu praw gramatycznych w obu językach: polskim i hebrajskim. Co ważniejsza, uznaje on, że język hebrajski posłużyć nam może do wytlómaczenia sobie albo ułatwienia pewnych prawideł naszego języka, szczególnież czasownia. Wpływ języka hebrajskiego na ducha języków nowożytnych pan Rabbinowicz przypisuje ¹⁾ tej okoliczności, że „najznakomitsi mężowie, którzy pierwsi urobili języki nowożytny przez swoje wiekopomne dzieła, wszyscy przejęci byli duchem Biblii, że najcelniejszymi pomnikami, jakie ci ludzie zostawili po sobie, są przekłady ksiąg Starego i Nowego zakonu, a te przekłady są pełne hebraizmów. Mrongowiusz, jeden z *naj-sławniejszych* słownikarzy polskich, przytacza w swoim słowniku polskim, pod każdym prawie wyrazem, miejsca biblijne dlatego, że za najcelniejsze utwory piśmiennictwa polskiego, uważa przekłady Biblii, które też zaleca, jako wzór do naśladowania, każdemu Polakowi.“

Zrobilibyśmy autorowi uwagę, że wpływ Biblii niezaprzeczenie wielki, jednak dla nas, niebyłoby wpływ tego rodzaju, jak on pojmuje go, względnie innych języków. Zresztą i p. Rabbinowicz, pewne uderzające analogie zdaje się odnosić raczej do rzędu przyczyn ogólnie-pojęciowych, aniżeli do jakiegoś wpływu historycznego.

Najdzielniej ze wszystkich części p. Rabbinowicz opracował naukę o słowie, t. j. o czasowniku. Z traktatu o czasowniku na szczególną uwagę zasługuje dział, dotyczący rodzajów słowa i jego czasów. Jestto dział, w którym autor najudatniej przeprowadził zasadę *pojęciową* wyrazów, wykazując odpowiadające jej w języku, zmiany fonetyczne.

Przytaczamy tu, jako wzór poglądu autora na słowo polskie, jego naukę „o rozmaitych czasach słowa,” a to z uwagi, że w tym ustępie szczególnież, autor zapuszcza się w dziedzinę filozoficznego rozważania mowy z właściwą sobie bacnością na fakta. Autor stwierdza tu ową nigdy niezaprzeczoną zasadę, że wszelkie ruchy fonetyczne w języku (t. j. zmiany dźwięków jednych na drugie), są niczém inném, jedno skażówkami pochodzenia ludzkiego, że w języku ostatecznie przerabia się

¹⁾ Str. XVIII w objaśnieniu 1-ém.

myśl i rozsnuwa na pasma coraz subtelniejsze, a dźwięki są farbą polekającą te pasma.

„Co się tyczy czasów, mówi p. Rabbinowicz (str. 344) powszechnie twierdzą, że słowa wyrażają trzy czasy, t. j. teraźniejszy, przeszły i przyszły. Rzeczywiście jednak w największej liczbie języków, tylko dwa czasy mają dla siebie wyrażenie we właściwej formie czasownika (robię, robiłem; zrobię, zrobiłem). Inne czasy (nieistotowe, lecz sztuczne) wytwarzają się przez przybrane słowo (np. będę czytał); że zaś język hebrajski podobnych złączeń nie posiada, przeto liczba czasów redukuje się w nim do dwu: przeszłego i przyszłego; teraźniejszość zaś wyrazić się nie daje.”

Tym sposobem, według słusznej uwagi autora, norma gramatyczna zupełnie nie odpowiada normie logicznej, bo każda czynność zachodzić może w trzech czasach. W przeszłości lub przyszłości mogą nawet zachodzić jeszcze bardziej szczegółowe podziałki czasu (dawno, dopiero co i t. p.), na które w wielu językach niema form odpowiednich.

Z tego tedy faktu, t. j. z braku drobniejszych form słownych, któreby odpowiadały cieniowaniom pojęć o bliższej lub odleglejszej przeszłości lub przyszłości, p. Rabbinowicz wyprowadza bardzo śmiały wniosek. Powiada on, że istniejące w językach (polskim, niemieckim i hebrajskim) dwie formy czasowe, bynajmniej nie są przeznaczone do wyrażenia pojęcia czasu; bo czas „w istotę czynności bynajmniej nie wchodzi, owszem jest on czémś zewnętrznym dla niej.“ Słowem wyrazy: *robię, zrobię, robiłem*, nie wyrażają bynajmniej czasowych podziałek czasu; wyrażają one owszem „zmiany w samej istocie działania.“ Odróżnia on tedy działanie spełnione (*geschehene*), np. robiłem, zrobiłem i działanie niespełnione (*ungeschene Handlung*), np. robię, zrobię.”

Wniosek ten, oceniony filozoficznie, znaczy, że autor podnosi słowo na stanowisko czysto obiektywne; ma ono w swoich, tak zwanych odmianach czasowych, wyrażać przedewszystkiem *czynność*, z jedynym względem na to, czy się spełnia, lub niespełnia.

Takie usamodzielnienie słowa, takie postawienie go obiektywnie (t. j. w niezależności od czasu) nie wątpimy, że razić będzie rutynistów. Nigdy nie zgodzą się oni na to, aby pojęcie uznanéj od wieków różnicy czasowej w słowie, miało być pojęciem tylko przyczepioném do pojęcia czynności, a jednakże autor formułuje to w sposób wcale niedwuznaczny; powiada on w końcu rozumowania swojego (str. 345): „Tak więc forma słowna dla oznaczenia czasu działania, jest zupełnie zbyteczną.”

Na poparcie tego nowego poglądu, p. Rabbinowicz przytacza dowody, czerpane z budowy trzech języków, obranych przez siebie za przedmiot badania, t. j. polskiego, niemieckiego i hebrajskiego, powołując się, pomiędzy innémi i na ten szczegół, że jeden czas (np. przyszły) może w zupełności zastąpić inne (rzeczywiście, zamiast wyrażenia: „jak zaczął śpiewać,” powiedzić można „jak zaczął śpiewać, jak zaczął płakać i t. p.).“

Zrobilibyśmy jednak uwagę autorowi, że podobną zmianę w pojęciach gramatycznych, jako stanowczą, należało mocniej osadzić i usprawiedliwić ją na gruncie bardziej teoretycznym. Zdawałoby się bowiem, że jedynie pierwotne ubóstwo języka (np. polskiego) spowodować mogło potrzebę pominięcia względów czasu w organizacyi słowa. Że te względy są późniejszymi, czyli innemi słowy: że z czasem dopiero, i to w skutek arcy-zwikłanych procesów logicznych, przyszło dopiero do upatrzenia jakiejś odpowiedniości pomiędzy odmianą słowa, zwaną czasem, a istotnym pojęciem czasu; na tę myśl wpadali już starożytni, jakkolwiek, nawet Arystoteles nie związał jęj w wyraźną formułę. W jednym ze swoich pism logicznych, napomyka on „o niezmiennej tożsamości istoty działania, bezwzględnie, czy ona jest, była lub będzie.” Żyjący, za czasów cesarza Justyniana, Pryscypan podaje ¹⁾ nadzwyczaj subtelne rozumowania o czasie (gramatycznym) i prawdopodobnie za jego to hasłem przyjętą została w nauce języka, a przyjętą mylnie spójność pojęcia czasu z pojęciem działania. Podług Beckera, którego zdanie stanowi najwyższą dotąd powagę w filozofii mowy, formy słowa, zwane czasami, wyrażają wprawdzie czasowy stosunek działania, ale stosunek ten nietylę wyraża obiektywnie wzięte doby samego działania, ale raczej: jego postawę względem mówiącego. Jeżeli np. mówię: „grzmi, pali i t. p.,” wyraża to fakt jednolity z obecnością mówiącego; przeciwnie, inne formy słowa (mówił, palił, grzmiało), wyrażają coś odrębnego, dziejącego się zewnątrz osoby mówiącej, „czyto w kierunku przyszłości, czy przeszłości.”

Pogląd ten Beckera (w dziele jego *Organizm mowy*), pokazujący najwyraźniej zastosowanie teorii Kanta do badań językowych, wywarł w swoim czasie stanowczy wpływ, jak w ogóle tenże myśliciel mowoznawstwo posunął w kierunku filozoficznym. Przypomnijmy sobie, że Kant wagę pojęć czasu i przestrzeni ograniczył w ten sposób, iż je uznaje jedynie za formy naszych wyobrażeń. Widzieliśmy dopiero co, teorią Beckera czasu w dziedzinie mowy ludzkiej; nie pominął on i drugiej formy, t. j. przestrzeni i postawił ją, również jak i pierwszą (t. j. czas), podług brzmienia nauki Kanta; pojęciu przestrzeni w języku ma odpowiadać *osoba* słowa.

Tak więc, podług Beckera, czas i osoba w słowie, wypowiadają jedynie stosunek mówiącego do działania; są więc natury wyłącznie względnej i bynajmniej nie dotyczą obiektywnej strony działania; na to bowiem, zdaniem Beckera, język ma oddzielne oznaczenia, jakoto przysłówki czasowe: *dziś, jutro, dawno* i t. d. Tę ostatnią myśl wprowadził do swojej teorii i nasz autor.

Zdaje się nam jednak, że zamiast występowania przeciw dotychczasowemu podziałowi czasów na trzy, zamiast sprowadzania ich do dwu, może właściwiej byłoby wziąć za podstawę czas *teraźniejszy*; to i filozoficznie dałoby się uzasadnić i — co w gramatyce najważniejsze —

¹⁾ Pryscypan VIII, 10 i następne.

posłużyłoby do rozświetlenia wielu zadziwiających zjawisk w nauce o słowie polskim. Przytém na tej drodze możeby autorowi pewne fakta w prawdziwszem pokazały się świetle, i tak:

1. Przyjęcie czasu teraźniejszego za główne ognisko formacyi słownej posłużyłoby autorowi do silnego poparcia jego zasady, wyżej przytoczonej, o *względném* tylko znaczeniu czasu w odmianach słowa. Tak zwany bowiem czas teraźniejszy wyraża właśnie ową działalność czystą, nie zawisłą od pojęcia czasu, jaką autor miał na względzie. Bo (tak zwany) czas teraźniejszy (np. słońce oświeca ziemię), oznacza nie fakt, w jakiejś danej chwili, zachodzący, lub zaszły, ale czynność bezwzględnie samoistną; pojmowaną nie w toku, ale w spokoju jęj istoty. Jest to forma przystająca Bóstwu, które mówi „pierwój, nim był Abraham, lub Izaak, Ja jestem.“ Pomijamy inne własności logiczne, dowodzące takiej natury czasu teraźniejszego.

2. Czas teraźniejszy i pod względem fonetycznym uważanym być powinien za podstawę, albowiem odmiany we wszystkich czasach zbudowane są na jego normie, ta zaś norma streszczoną jest najogólniej i najwyraźniej w staropolskim słowie *em-jesm-jestem*. Niesłusznie więc pan Rabbinowicz nazywa ten pierwiastek zastraconym w naszej mowie (str. 242). Ależ pierwiastek ten istnieje; na dowodzenie czego, dosyć jest przytoczyć ludową formę: *on je*. Niesłusznie téż nazywa autor wyraz *by* (on przyszedł by): partykułą; jest to bowiem najwyraźniej zabytek słowa *być*, które u autora wziętém zostało za jedno z pierwiastkiem *będę*.

W tabeli słowa posiłkowego (str. 249) czytamy: „Zakończenia osobowe czasu teraźniejszego; jest-em, jeste-ś, jeste-ście, nazywają się ruchomemi, ponieważ dają się oddzielić od słowa i przyczepionemi być mogą do innego wyrazu zdania.“

Uwaga, jak widzimy, sprawiedliwa; ale gdyby nasz autor, traktujący rzecz tak naukowo, i tę, szczególną w swoim rodzaju, własność naszego języka, postawił był teoretycznie, przekonałby się dowodnie, że czas teraźniejszy jest rzeczywiście ogniskiem kształtowania się słowa, i że mniemane zakończenia osobowe, są właśnie owym pierwo-czasownikiem, o którym mówiliśmy.

Słowo, *jestem*, ma tylko czas teraźniejszy, i to, podług nas, dowodzi ostatecznie, że ono jest słowem w bezwzględném znaczeniu wyrazu, z pełnym przywilejem niezależności od pojęcia czasu. Innych czasów słowo to niema i mieć nie mogło, jako wytworzone w tej niezależności, ale za to, samo ono jest, we wszystkich czasach każdego słowa, jakkolwiek nie tak mechanicznie przyczepione, jak np. w języku angielskim, gdzie się mówi: *jestem piszący, jestem chodzący* i t. p. (*I am doing*).

Słusznie po części zauważył pan Rabbinowicz, że Polacy niechętnie używają formy słowa, złożonej ze słowa posiłkowego. Od wieku XVI dostrzegamy rzeczywiście w języku naszym zwrot *syntetyczny*, to jest żywioły składające wyraz poczynają się osadzać w całość. Wyraz: *jestem*, który w starożytnym jego kroju nazwaliśmy pierwo-

wem, do niepoznania prawie rozplywa się dziś w danym czasowniku (zrobił-em), tak iż niekiedy przypomina się tylko w kształcie końcówki (zrobiła-m). Ale w dawniejszych zabytkach i w mowie ludu natrafiamy jeszcze wyraźnie na ślady mechanicznego składania: i tak w psalterzu z XIV wieku mamy jeszcze czas przeszły: „porodziła jeś, poszła jest.“

Z tego też względu nie zgadzamy się na sposób tłumaczenia faktów, o których autor mówi na str. 353; „w słowach, kończących się w trybie bezokolicznym na *ac* (badać, czytać), przy utworzeniu czasu teraźniejszego (kocha-m), spółgłoski *m* nie usunięto, a raczej nie zlano jej w nosowe brzmienie *e* (jak to bywa w słowach: *czynię* i t. d.), a to dlatego, iż chciano zatrzymać ją, jako cechę trybu bezokolicznego. Podobnież i w osobie 3 liczby mnogiej, przez wtrąconą pomiędzy dwie samogłoski *jotę*, z bada-ą powstało: badaj-ą.” Tak rozumuje autor.

Jest to wprawdzie szczegół, odnoszący się do genezy głosek, wybornie opracowanej przez pana Rabbiniowicza; z tém wszystkiém musimy dotknąć tego szczegółu w celu wykazania nadużycia nowoczesnej filologii porównawczej. Od niejakiego czasu stoi u nas na porządku dziennym, prawie co krok, tak zwane dygamma, to jest, osłanianie samogłoski. Za szczególniejszą sprężynę tej funkcji obrano sobie *jotę*. W wielu razach rzeczywiście odgrywa ona taką rolę; ze słowa np. spojrzeć powstało: spojrzeć (ogrodzić ogrojec, najlepszy z najlepszy). Ale znowu nie zgadzamy się na to, aby wszędzie a wszędzie widzieć tylko sprawkę dygamy. Przedewszystkiém oględność zachować należy tam, gdzie się ma do czynienia z końcówkami wyrazów i końcówki uważać nie za jakąś materią kosmiczną, przyczepiającą się mechanicznie do wyrazu, ale za jego część organiczną. Niéma więc najmniejszej wątpliwości, że taką cześcią organiczną w słowach na *am*, jest pierwostów. I dlatego niesłusznie występuje autor przeciw hipotezie Malinowskiego, przypuszczającej pierwotną formę: kocha-jem (kocham). Jeżeli bowiem postawimy obok siebie formy: dam, daje; zna, znaję (w psalterzu: znaję Gospodyn drogę sprawiedliwych); jeżeli przypomnimy sobie słowa: śmiem, uniem; wówczas hipoteza Malinowskiego nie okaże się bezzasadną.

Powoływanie się na tryb bezokoliczny przy tworzeniu czasów uważamy za mniej stosowne. Jak w imionach, przypadek pierwszy, tak w słowach, tryb bezokoliczny jest najpóźniejszym wytworem w rozwijaniu się słowa; wskazuje to sama jego forma, niekiedy więcej wyrobiona, aniżeli wszystkie czasy słowa. Prawdopodobnie wyrobił się on z rzeczownika słownego, a raczej był nim pierwotnie, czego dowodzi supinum słowiańskie, zakończone na *t* (czytat czytać, dla czytania). Język bułgarski zupełnie go nie posiada.

Teorya czasów naprowadziła autora na podział słów, w pewnych względach odmienny od dotychczasowego: przypuszczając tylko dwa czasy, starał się on w inném pojęciu odszukać zasadę owęj rozmaitości, jaka panuje w naszej konjugacyi.

Oprócz odróżnienia słów czynnych (chwali), i biernych (jest chwalaony), przechodnich i nieprzechodnich, i t. d., przyjmuje on jeszcze podział na: określone i nieokreślone, chwilowe czyli aorysty (dokonane), niechwilowe, ciągłe, częstotliwe, doraźne. Przeciw temu podziałowi nic nie mamy do zarzucenia, wyczerpuje on empirycznie całą różnorodność w zakresie słowa; ale ma też i swoje niedogodności.

Określonymi nazywa słowa z przydawką początkową (prze-czytać), modyfikującą lub określającą działanie. Naturalnie, że słowa nieopatrzone przydawką, wszystkie będą nieokreślonymi, co ściśle biorąc żadnej grupy nie stanowi.

Ciągłymi nazywa słowa z taką formą, która wyraża trwanie działania, już to nieprzerwane, już to przerywane (powtarzanie), które jeszcze nazwaćby można częstotliwymi; autor porównywa je z łacińskimi częstotliwymi zwracając uwagę i na to, że w obydwu językach mają one za wspólne znamię, wstawną samogłoskę *a* (ire, itare, wypaść, wypasać).

Chwilowymi albo aorystami nazywa słowa dokonane. Nazwa polskiego aorystu obejmuje rzeczywiście to samo pojęcie, jakie przywiązane jest do niéj i w języku greckim, to jest czyn dokonany, ale nie wyraża jeszcze całego pojęcia. Aoryst grecki oznacza przytem i absolutne pojęcie działania, w niezawisłości od czasu. I tak odpowiada on naszemu terażniejszemu, np. w zdaniach przysłowiowych i prawidłach moralnych „ręka rękę umywa.“ Również i nazwy *chwilowe* i *dokonane* nie odpowiadają sobie ściśle: bo „przeżył sto lat” jest to czynność dokonana, ale nie chwilowa.

Natomiast za bardzo trafne uważamy odcieniowanie pojęcia czynności doraźnej (jéj cechą jest *nąć* błysnąć), naprzeciw czynności ciągłej (jéj cechą jest *ać* błyskać).

Do rzędu ustępów zasadniczych policzyć należy bardzo ważne spostrzeżenie dotyczące osoby trzeciej. Autor nie zapuszcza się wprawdzie w logiczne uzasadnienie pojęcia osoby, jak to widzieliśmy np. u Bekkera, stosującego do słów pojęcia czasu i przestrzeni. Ale za to nawiasem rzuca myśl, głębokiej doniosłości mowniczej. Osoba 3, zdaniem jego, w języku polskim uważaną być winna za podstawę. Jest ona najważniejszą tak ze względu na swoje najrozleglejsze użycie w mowie, jak i ze względu na to, że stanowi widoczne źródło wytwarzania innych form. Autor upatruje tu znowu ściśle podobieństwo pomiędzy językiem polskim a hebrajskim. W hebrajskim osoba 3 (rozumieiny tu zawsze liczbę pojedynczą) niema wcale końcówki osobowej: *halak-ti* (szedłem), *hylak-ta* (szedłeś), *halak* (szedł). I dlatego hebreologowie w gramatyce kładą osobę trzecią na czele. W polskim również niema ona końcówki osobowej: *czyta-m*, *czyta-sz*, *czyta*.

„Jako dowód (str. 355), że lud polski osobę 3 rzeczywiście uważa za podstawę dla dwu następnych osób, służyć może czasownik *być*. Za pierwiastek dla czasu terażniejszego służy właściwie: *jesm*, druga osoba: *jeś* (zamiast *jes-ś*), gdzie głoska *ł* jest zakończeniem osoby trzeciej;” otóż od téj trzeciej osoby, zdaniem naszego badacza wytworzyło się

nowe ugrupowanie, druga formacja: a zatem jes-tem, jes-teś, jest. Przytém samogłoskę przedostatnią (e) uważa on, jedynie za wstawkę związkową.

Co się tyczy drugiej formacji nic nie mamy do zarzucenia przeciw wywodom autora; ale stanowczo twierdzimy, że jest ona późniejszą i że za właściwy pierwiastek uważać należy, jakśmy to już mówili, słowo *je*, zachowane u ludu dotąd. Naturalnie, postawionej przez autora zasady o znaczeniu osoby trzeciej, jako podstawy, nasz pogląd bynajmniej nie obala, owszem popiera ją jeszcze z uwagi, że nasze ludowe *je*, najwydatniej o tém świadczy. Niezbytecznym przytém będzie nadmienić, iż mniemany spójnik *by*, jest również niczém inném, jak osobą trzecią, służącą za podstawę innych osób słowa *być*, które odmienia się zupełnie na wzor słowa *jestem*.

Dział o częściach mowy nieodmiennych obrobiony jest treściwie, a po największej części, empirycznie. Niekiedy spotykamy się tu i z rysami ogólniejszemi; żałujemy wszakże. iż p. Rabbinowicz tych rysów nie przedłuża dalej w kierunku wyższego mowoznawstwa.

I tak, niedając pojęciowego określenia części mowy nieodmiennych, rozpoczyna wprost od podziału przysłówków na pojedyncze i złożone i t. d.

„Ponieważ, mówi on (str. 416), przymiotniki odmieniały się kiedyś tak samo, jak rzeczowniki, przeto przysłówki od nich utworzone, zatrzymały dawne zakończenie. Tak np. mamy przysłówki utworzone z 2-go przypadku liczby pojedynczej i te kończą się na *a* lub *u*.”

Dlaczego nasz badacz nazywa je utworzonemi od przymiotników? wszak to są właśnie same *przymiotniki*, tylko odmieniające się podług dawniej formy.

Podobny sposób określenia przypominałby nam tę filozoficzną zasadę naszej mowy, iż na pewnych punktach, prawidłowy jej rozwój zatrzymuje się, a pewne formy znieruchomwiają się, w tym celu, iżby wyłącznie służyły jako sprężyny poważniejszych już funkcji logicznych. Znieruchomienia takie odbywają się w języku naszym na wielką skalę. I tak spójnik *bowiem* jest znieruchomieniem ze dwu, *albowiem*, trzech wyrazów; również znieruchomieniem całego zdania jest spójnik *jeżeli*.

Naukę o akcencie polskim p. Rabbinowicz podał zanadto ogólnie. Zasada stereotypowa, jakoby w języku polskim akcent padał na zgłoskę przedostatnią, zdaje nam się co najmniej bardzo chwiejną. Mówi np. autor (na str. 42), że tej zasady nie ograniczają nawet ruchome końcówki (byli-śmy, kochali-ście), ani cząstki mowy (chcecie-li, kochali-by); ale w takim razie, albo słowo: kochali-ście jest jednym tylko wyrazem i wtedy akcent leży nie na przedostatniej, lecz na trzeciej od końca (wbrew ogólnemu prawu, przyjętemu przez autora), albo są w niem dwa wyrazy (kochali-jeśmy) i wtedy druga połowa (jeśmy) nie może być uważaną za ruchomą końcówkę, jak to wyżej nadmieniliśmy. Właściwiej przeto jest uważać akcent za granicę końcowej organizacji wy-

razu, a przy tak pojętém znaczeniu jego, można dopięro oznaczyć jego miejsce na zgłosce wyrazu.

Fakta przytoczone przez autora, np. „w ogóle, szczegóły, „nie będą tym sposobem wyjątkami (autor znowu myli się co do natury spójnika *jeżeli*, kładąc w nim akcent na pierwszej zgłosce).

Na ostatnich stronicach książki, podanym jest skazownik wyrażen gramatycznych, użytych w niniejszém dziele.

Z powyższego sprawozdania, czytelnik, nie wątpimy, przeświadczył się o wysokiej wartości dzieła p. Rabbiniowicza. Odpowiada ono nietylko wymaganiom technicznym, wskazując cudzoziemcowi pewną i niezawodną drogę do poznania mowy polskiej, ale zarazem i wyższym wymaganiom pojęciowym, jako oparte z jednej strony na filozoficzném rozważaniu treści, a z drugiej na poważnych studiach gramatyki porównawczej. Pochwalamy p. Rabbiniowiczowi surową oględność w wyprawdaniu na arenę swoich zasobów porównawczo-filologicznych i ograniczanie się pod tym względem na głównych tylko skazówkach. Masy faktów szczegółowych, z niesłychaną skrętnością pozbiieranych, umieszczane tu są zwykle w odsyłaczach, więc nie rujną nigdzie ogólnej ciągłości nauki.

Oto są główne zalety pracy autora, ocenione już należycie przez prasę francuzką, niemiecką i angielską. Ale na nas dzieło p. Rabbiniowicza wywarło jeszcze inne wrażenie, nader pochlebne dla autora, wrażenie czysto subiektywne. P. Rabbiniowicz, będąc autorem gramatyki hebrajskiej (*Grammaire hebraïque*, wydanej w Lipsku, a następnie przetłóżonej na język francuzki przez Cl. Mullet), poświęconej Aleksandrowi Humboldtowi; autorem *Religiü narodowej starożytnych Hebrajczyków, Cywilnego prawodawstwa Talmudu, Kryminalnego prawa Talmudu* (dzieła, ogłoszonego nakładem rządu francuzkiego); zgoła, zyskawszy sobie uznanie europejskie, w zakresie téj specjalności, z jaką go łączy wyznanie jego religijne, nie spoczął na laurach obcych, na stanowisku kosmopolity. Dzieło niniejsze nazywa on pracą, poświęconą badaniu *swojego* rodzowego języka, hebrajskie zaś studia uważa za dodatkowe, za porównawcze tylko. Podobne przekonania wypowiada autor na samym wstępie, odzywając się o swoich współwyznawcach, „że od czasu osiedlenia się tu swojego, wprawdzie bardzo wiele zrobili dla piśmienictwa hebrajskiego, cokolwiek téż i dla niemieckiego, ale dla krajowego, nic! aż do czasów najnowszych.”

F. Jezierski.

Starodawne dumy i pieśni. Zebrał Zygmunt Gloger. Warszawa. Nakład księgarni Gebethnera i Wolffa 1877. (W 8-ce str. 152).

W licznych zbiorach ludowych pieśni, odbijają szczególnież rozmiarami swemi i układem tak zwane *Dumy i pieśni*. Odznaczają się tém głównie, że osnową ich jest zawsze jakiś dramatyczny wypadek, przechowany w pamięci pokoleń. Wyraźnie historycznej barwy nie mają, rzadko jakiś słaby w nich odzew, walki, zwycięstwa lub klęski. I nie dziw temu. Lud w życiu historycznym w przeszłości żadnego nie brał udziału, nic też w jego wspomnieniach przechować się z tej sfery nie mogło. Nie braknie nam wszakże pieśni historycznych, i mamy ich piękny zbiorek zaczynając od bitwy pod Dąbrowem 1410 roku, niewątpliwie przez uczestnika w tym krwawym boju ułożonej, ale jest to utwór szlachecki, wcale nie ludowy, człowieka już wykształconego i oznajomionego z formą wierszopisarską. Też same cechy noszą i pieśni z późniejszych okresów: lubo są pomiędzy nimi takie, które noszą charakter czysto ludowy, przez żołnierzy, z pod chat wiejskich wysłanych i na wzór znanych pieśni od kolebki układanych. Łatwo je rozróżnić nieudatnością formy i rymami nieodpowiedniami sobie. Do takich należy pieśń o Pułaskim, o bitwach w Hiszpanii, o walce pod Pułtuskim 1807 r. i wiele innych.

W zbiorze, o którym chcemy mówić, autor zebrał ze wszystkich zbiorów poprzedników swoich, dumy i pieśni większych rozmiarów w jedną książkę, i dał nam najpiękniejsze rzecz można kwiaty poezji ludowej. Są między nimi niewątpliwie zabytki z bardzo odległych czasów.

Mamy tu 112 pieśni razem, nie wszystkie są wypisane z dawniejszych już znanych, a drukiem ogłoszonych zbiorów; bo znajdujemy jednakże i takie, które po raz pierwszy, sam wydawca potrafił wydobyć z ust ludu, i razem pomieścić.

Jeden z dramatów, jaki widać wstrząsnął wyobraźnią i uczuciem ludu, był wypadek, że z dalekich stron przybysz, potrafił namówić młode, piękne a niedoświadczone dziewczę, które przez miłość dla niego zabrało matce drogie klejnoty, a posłuszne namowie, opuściło dom rodzicielski i skrycie z nim uciekło. Łotr uprowadziwszy ją, przywiódł nad głęboką rzekę, i z wysokości wybrzeża strącił w przepaść wodną. A gdy się ratowała nieszczęsna, zbrodzień, z zimną krwią, odejmował jęj wszelkie środki pomocy. Nic rzewniejszego, jak opis tej walki bezbronnej dziewczycy, która tylko miała słowa miłości, dla swego mordercy.

Rzucił-oj ją, rzucił, w ten Dunaj głęboki.

I zawiesił się jęj, fartuszek na kole.

— „Ratujże mnic, ratuj, Jasieńku sokole!

Jaś rozciął szabelką fartuszek na dwoje,

— „Do dna Kasiu, do dna, do dna dziewczę moje.

Nie na tom cię wrzucił, bym cię miał ratować
Musisz ty Kasieńku ten Dunaj zgruntować.”

I zawiesił się jój warkoczyk na kole,
Jaś rozciął szabelką, warkoczyk na dwoje.
— „Oj nie tońże, nie toń, mój warkoczku do dna,
Bo ja od Jasićnka tój śmierci nie godna;
Nad wszystko na świecie, jam cię ukochała,
Od ojca, od matki z tobą odjechała.”

Pływa Kasia pływa, a ładu się trzyma.
— „Oj! ratuj mnie Jasiu, pókim jeszcze żywa.”
Pływa Kasia pływa, i brzegu się ima,
A Jasićnko zdrajca, rączki jój obcina!

Tak ginie niewinne dziewczę, ufające słodkim słowem uwodziciela. W dalszym ciągu tój dumy, widzimy jak rybacy zarzuciwszy sieci, dobyli jój martwe zwłoki. Że zdarzenie to silnie odbijało się w wyobraźni naszego ludu, który je w pieśni uwiecznił, dowodzi jój rozpowszechnienie po obszarach Polski. W zbiorze Z. Glogera znajdujemy ją z wariantami, pokilkakroć co do sanój treści powtórzoną. Znaną jest w Krakowskiém, w całém Mazowszu, zkąd się rozeszła i w dalsze okolice. Niektóre wspominają i o karze zbrodniarza, gdy przez rodzinę zamordowanój schwytny, żywcem został rozszarpany końmi.

Rozpatrując ten zbiór szacowny uważniój, znajdujemy w wielu dumach zabytki jeszcze z pierwszych wieków najbliższych pogaństwa, gdy wierzono w przemianę ludzi w drzewa lub zwierzęta. Taką, wedle naszego zdania jest duma oznaczona nr. 7, gdy dziewczyna przemienia się w topól. Mąż jój czy kochanek, uderza w tę topol siekierą, ale drzewo ludzkimi słowy przemawia:

„Nie rąbaj mnie, Jasićnku! ja twoja kochana.”

Jest tu i pieśń o żołnierzu:

„Idzie żołnierz borem, lasem,
Przymierając głodu czasem.”

o którój Mickiewicz wspomina.

Są i dumy, w których się błakają wspomnienia historyczne z owych czasów, gdy Tatarzyn dziki wpadał do Polski, rozpuszczał swoje zagony, znacząc drogę pożarem dymów, i pędzeniem w jassyry ludu bezbronniego, jak pieśń (nr. 29) pod napisem *Jas w niewoli tatarskiój*:

Siedzi sokół na topoli
Płacze Jasio w niewoli,
J tak sobie kuka,
Jako kukulka, jako kukulka,
W zielonym gaiku kuka!
A jakże go serce boli,
Żyć w tatarskiój niewoli.

Musi o chleb prosić,
 Wodę koniom nosić:
 Płacze Jasio że żyje,
 A czarnemu Tatarowi,
 Choć nie matce, nie ojcowi,
 Czarne nogi myje.

Oj! czemuś mnie matko moja, matko miła,
 W Wiśle nie utopila!
 Żebyś w Wiśle utopila,
 Moje w wodzie utopienie,
 Jakby z Kasią ożenienie:
 Moje družbięta, w wodzie rybięta,
 Moje czarne oczy, biały piasek toczy,
 Moje czarne włosy, Wisła już unosi.
 Oj! bo lepiej pójść na mary,
 Jak w niewolę na Tatary!

Zielony dzban, pieśń co do słowa znana jest u Słowaków w Węgrzech i pomiędzy ludem serbskim. Raz tylko nazwisko znane wojaka przechowało się w tym zbiorze: jest to дума o *Sawie*. Imię to nie stosuje się wszakże do bohaterńskiego konfederata Barskiego, współtowarzysza broni Kazimierza Pułaskiego, ale maluje przygodę Sawy hajdamaka; drugi raz *starosty Kaniowskiego* (Mikołaja Potockiego) możnowładzcy słynnego z okrucieństw i szalonych wybryków. Mamy i znaną dumę:

„Stała się nam nowina,
 Pani pana zabiła.“

którą Mickiewicz odtworzył, a wielu z badaczy odnosi do czasów Bolesława Śmiałego, gdy bawiącego w Kijowie rycerstwo opuściło i wróciwszy do kraju, przeniewiercze żony surowo karali. Treść wielce się zbliża do owej epoki smutnej: pytanie czy zachowała się nam w ustach ludu, w pierwotnym swoim układzie?

Nie uważamy za stosowne, że szanowny zbieracz, w ten wieniec *Dum i starożytnych pieśni*, włączył *weselne i obrzędowe*. To dział wyłączone, w poezji ludowej.

Zaprawdę, pieśni weselne stanowią poemat oddzielny obchodu weselnego, i w najwięcej przybliżonej czystości doszedł naszych czasów od najstarożytniejszych wieków. Przechowały się one w pierwszej swój myśli i układzie dla tego, że cały ten obchód, właśnie we wszystkich szczegółach swoich odbywa się wedle tych pieśni: a wiadomo jak do tradycyjnych zwyczajów, lud nasz przywiązany.

Toż mówić i opieśniach obrzędowych przy paleniu ognisk *Sobotkowych*, przy puszczaniu wianków w dzień św. Jana, przy zabawie *w królowę*, jak przy *dożynkach*; wreszcie pieśni pobożne, jak o obrazie Najświętszej Maryi Panny Częstochowskiej. Wszystkie te utwory nie mają żadnego związku z dumami, których treścią główną i osnową

miłość i wypadki dramatyczne. Wydawca niezwrócił na to baczną uwagę: ten jeden zarzut główny mieliśmy zrobić.

We wstępném słowie czytamy:

„Niemasz narodu, któryby nie miał pieśni swoich. „Nie samym chlebem żyje człowiek” rzekł Chrystus. Ciało żyje chlebem innym, a duch chlebem innym: chlebem ducha jest: wiara, mądrość, wiedza, wszelakie piękno, i jest pieśń jako przedstawienie uczucia, które przejmuje duszę.

„Pieśń na skrzydłach orła porywa ducha w błękity nieba a na skrzydłach anioła unosi w świątyniach Pańskich myśl pobożną ku Bogu. Płomień pieśni zagrzewa serca i bywa potęgą ubogich. Pieśń bywa nieraz historyą.”

Co do ostatniego wyrażenia najmniej się to stosuje do pieśni naszego ludu, gdyż w nich zaledwie słabe echo wspomnień z przeszłości, jak już wspomnieliśmy, przechować się mogło. Nie biorąc udziału w życiu politycznym, świat duchowy jego, ograniczać się musiał do szczupłych rozmiarów, w promieniu głównie domowego ogniska i rodzinnych przygód. Nie braknie nam pomimo to pieśni historycznych, jak powyżej nadmieniliśmy, ale te są utworem rycerskiej szlachty, która brała w życiu narodu przeważny udział. Śpiewywał je i lud sam, gdy „onego czasu chodzili starcy z gęślą, lirą lub teorbaniem, śpiewając pieśni na cześć sławnych ludzi, i głośnych wydarzeń.” Ale gdy ci wędrowni śpiewacy położyli się w mogiłach bez następców, i historyczna pieśń uleciała bez śladu z pod strzechy słomianej: lud zachował tylko w pamięci, dumy, których treść dramatyczna uderzała więcej jego wyobraźnią; i jasno powiedzmy, nie lud, ale niewiasty wiejskie, które są najpierwszemi strażnikami tak pieśni, jak wszystkich obchodów i obrzędów dawnych wieków tradycją od ojców podanych. Nie dziw przeto, że pieśni których osnową uczucia serca, lepiej przylgnęły do ich pamięci.

Pan Z. Gloger, już drugi zbiorek ludowych pieśni wydaje, a po cenie tak umiarkowanej, ażeby dostać się mogły pod strzechę wiejską, i tym sposobem sam lud przyjrzał się bliżej tak pięknym kwiatom własnej poezyi. Dla uzupełnienia całości wydawnictwa, brak *pieśni miłosnych*, i wyboru *weselnych*, w których taka rzewność i głos serca wydatnieje. Nie wątpimy, że pracowity badacz ziści i te nadzieje.

K. WZ. W.

Zagadki zebrane ze wsi Dymin, Kostomłot, Masłowa, Sukowa, Zagórza (w gubernii Kieleckiej). Przez Ks. Władysława Siarkowskiego.

Słowniczek prowincjonalizmów w okolicach Krakowa, Bochni i Wadowic. Zebrał dr. Wład. Kosiński, nauczyciel gimnazjalny w Wadowicach. Kraków, 1877 (w 8-ce).

Są to odbitki z I-go tomu: *Wiadomości do antropologii krajowej*. Wydawnictwo Akademii Umiejętności w Krakowie.

Obidwie prace dorzucają niemało szczegółów do charakterystyki ludu polskiego. W zeszytce za marzec r. b. naszego pisma, jużesmy złożyli sprawozdanie o *Zagadkach i łamigłówkach Górali Beskidowych*, z którymi zapoznał nas dr. J. Kopernicki; dziś te badania swego poprzednika uzupełnia pracowity etnograf ks. Wład. Siarkowski. Słowniczek ważnym jest przyczynkiem do ogólnego słownika języka polskiego, do którego zbiera Akademia Umiejętności w Krakowie bogate materiały. Autor wychowany we wsi Jurkowie obok Czechowa, pierwsze nauki pobierał w Bochni, tam więc nasłuchał się tych wszystkich wyrazów, które w pomienionym słowniczku spisał. Bawiąc potem przez czas długi w Krakowie, a obecnie w Wadowicach, przekonał się, że niemal wszystkie na całym obszarze są znane i niemal używane. Zbiorek swój porównywał z wyrazami, zawartemi w Słowniku Lindego, owym skarbcu mowy polskiej, i tylko takie w swoim słowniczku zachował, których Linde, albo wcale niema, albo chociaż je przytacza, to w innem znaczeniu, albo w innych zwrotach. Przywiedziemy tu niektóre wzory.

Bajdak, człowiek niezgrabny, nieruchawy; w tém samém znaczeniu używa się częściej *Bajtala*.

Bąk: 1) dziecko nieprawego łoża, chłopiec, *bączka* w rodzaju żeńskim; 2) owad (*gastrus equi*) *ślipeć*.

Baniacz, baniak, 1) człowiek mający wielki brzuch; 2) naczynie wypukłe, zwłaszcza garnek.

Bellak, mały dołeczek z wodą, maleńki stawek.

Borczyk, borsuk.

Cąbrzyć, targać za włosy.

Chabie, chwasty różnego rodzaju, gałęzie lub korzenie powikłane.

Chodak, chłopiec, chłopak (chodaki, kurpie, postoly na Podlasiu, obuwie z lipowej kory na nogi, u Górali tatrzańskich *kierpce*).

Cierpota, cierpienie.

Ciupaga, siekiera, toporek.

Cychtać, deptać, mówi się o licznych i gęstych śladach zostawionych przez niektóre zwierzęta, np. owce, świnie, zające. „Jak tu nacyhtano! musiał tu być zając, pies...”

Czulka, kawałek płótna do owijania nóg, inaczej *onuczka*, *onyjka*.
Dapka, miejsce w żarnach, gdzie leży zboże i z kąd się takowe po trosze do kamienia wysypuje.

Dziopa, dziewczyna, dziewczeczka zdrob. *Dziopka*.

Jaś, tak nazywają często zająca.

Jedynak, stodoła, mająca tylko jeden sásiek.

Kiczarka, mały snopek słomy, jakimi dachy wiejskie pokrywają.

Krypeć, obuwie, którego Górale używają. W ogóle obuwie każde, zwłaszcza niezgrabne Równiaki. Włóścianie krakowscy na dolinach zamieszkali z przekąsem śpiewają:

„Góralu ze Żywca,
 Pożycz-że mi krypcia:
 Ja ci go niezepsuje,
 Tylko trochę potańcuje.”

Mówią też pogardliwie o ludziach: „a to stary krypiec.”

Krzypota, kaszel.

Lastówka, jaskółka.

Maciek, obżartuch,

Mężacz, człowiek żonaty.

Młodziak, młody człowiek, młode drzewo, młode bydło.

Nadolek, dolna część u koszuli kobiécój, zrobiona dla oszczędności z grubszego płótna.

Niemak, człowiek niemy.]

Ociepka, mała wiązka słomy, siana, gałęzi.

Pańka, ziemba (ptak).

Patronka, owad, biedrunka; dzieci, biorąc ten owad na rękę i dozwalając mu wzlecić, powtarzają:

„Patroneczko! idź do nieba,
 Przynies mi kromeczkę chléba.”

Pogródka, podsypane miejsce do koła domu i niziutkim płótem ogrodzone, służące do siedzenia, suszenia drzewa i t. p.

Przysiadka, przyrząd służący do przedzenia. Jestto prosta laska, osadzona pod kątem prostym, w cienkiej i wązkiej, przeszło łokieć deszczukce. Tę deszczukkę przysiada się, a na laskę, sterczącą w górę prostopadle, nawdziewa się *krązel*. (Krązel jestto mniejwięcej pół łokcia mający walec drewniany, z jednego końca grubszy i wydrążony, na który kobiety wiejskie obwijają i przywiązują len lub konopie, do przedzenia przygotowane, co się potem nawdziewa na powyższą przysiadkę).

Siuta, *siutka*, krowa, która ma jeden róg utracony.

Skarucha, kawałek kory z drzewa już zdjętój.

Ślipka, kawałek chléba skrojony z kraja ze skórką (inaczej pięćka, przylepka, całuszka).

Sparnia, upał, gorąco, zwłaszcza jeżeli jest duszne powietrze.

Szczak, szczaki, pierze twarde.

Trzepakzka, splot kłaków lub włosieni na końcu bata służący do lepszego i głośniejszego trzaskania z bata.

Wierzbowy ojciec, nów księżycy; np. na wietku zażyć lekarstwa.

Wojtuś, nazwa bociana; niekiedy zwą go *Stasiem*.

Zaskalować, zachodzić okolicznościami do rzeczy, zalecać się do czego.

Zbutka, drzewo zbutwiałe, zbutwiałka.

O zagadkach ludowych, których zbiór pierwszy dał nam dr. J. Kopernicki, mówiliśmy już w zeszytcie za marzec r. b. naszego pisma.

Praca ks. Wład. Siarkowskiego jest niejako dalszym ciągiem tamtej i jój wzbogaceniem,

Rzecz godna uwagi, że wiele zagadek powszechnych u Górali beskidowych, znajdujemy i w okolicach Kielc; wymowny dowód pobratymstwa duchowego, jakkolwiek rozdzielonych pokoleń niemałą przestrzenią ziemi. Dla przykładu podamy tu niektóre, jakich nie znaleźliśmy w zbioru dr. J. Kopernickiego.

Kusy panic, podpasaniec, goni kozy z lasa (*Grzebieni*).

Jedno prosi o dzień, drugie o noc,

A trzecie mówi: jak mi we dnie, tak i w nocy

Zawsze patrzą moje ocy (*Łóżko, drzwi, okno*).

W lesie ucięte, w domu nagięte;

Wziąć go na rękę, to płacze (*Skrzypce*).

Ni korzeni, ni kwiatu,

Potrzebne całemu światu (*Sól*).

Co to za zwierze? cztery nogi i pierze (*Łóżko*).

Rycy wół o sto gór, o milion go słyhać (*Grzmot piorunowy*).

Pójdźmy spać, kudły na kudły kłaść (*Zamknąć ocy*).

Który z pomiędzy świętych jest najtłuściejszy? (*Ś-ty Jan w oleju*).

Jak chłop przyjdzie do lasu, co w pierw rąbie? (*Korę z drzewa*).

Cerwony koral po piecu orał. (*Ogień*).

Co to za zwierz, co ma usy, a niesłusy? (*Cebrzyk*).

Biała rola, carne zboze (*Pismo*).

Na wielkiój łące, owiecek tysiące, a pośród łąki rozstajne drogi a pasterz łusy, casem ma rogi (*Księżyc*).

Wieprz leży, a potec bieży

(*Próg leży ciągle, a drzwi się otwierają*).

Stoi dąb, na dębie lipa (*stół*); na lipie kunop (*nakrycie, obrus*); na kunopie glina (*talerz, miska*); na glinie świnia (*ryby*).

Ni jé ni pije, a przecie tyje (*Bania, dynia*).

Stoi na drodze na jednéj nodze, kto go tchnie, to go żgnie (*Oset*).

Tak powoli z czasem, przy staranności badaczy etnograficznych, uzupełnia się całe bogactwo literatury niepiśmiennój, ludowój. Już posiadamy obfite zbiory pieśni, podań, przysłów z pod strzechy wiejskiój; teraz przybywają i zagadki, owe przebłyski dowcipu ludowego. Braknie nam jeszcze *zakłéc* i *zamawiań*, jakie są w użyciu powszechném,

a chowane w głębokiej tajemnicy. Ale i tych zbiór znaczny uzbierany troskliwie przez ks. Wład. Siarkowskiego, przesłany już został Akademii Umiejętności w Krakowie, która w oddzielnej swojej publikacji: *Wiadomości do antropologii krajowej*, nie zaniedba je drukiem ogłosić. Będzie to wypełnieniem luki, jaka się dotąd okazywała przy badaniu strony duchowej naszego ludu.

K. Wł. W.

Widoki Częstochowy i Jasnej Góry z opisem. Warszawa. Nakładem D. Lange. Widoki rysował z natury Władysław Dmochowski. Opis ułożył Bronisław Grabowski. Rytowano w Drzeworytni warszawskiej. Wykonano w zakładzie Typo-litograficznym Wil. Kohna i A. Aderfelda w Częstochowie. (W formie podłużnej: str. 20 tekstu i rycin drzeworytowych 20).

Lubo nam niebrak monografii tak samėj Częstochowy jak i Jasnogóry, wymagała potrzeba krótkiego opisu tój miejscowości tak wstawionėj w dziejach panowania ostatniego Wazy, i tak czczonego przez mieszkańców nietylko naszego kraju, ale i sąsiednich Szlązka i Morawy.

Jeżeli liczne kompanie pobożnych ciągną rok rocznie na dnię odpustowe w Częstochowie, z najzapadlejszych zakątków Królestwa, Szlązacy i Morawiacy nie ustępują ludowi naszemu w tój pielgrzymce pobożnej.

Częstochowa zasługuje przeto na odpowiednie album, nietylko jako otoczona czią powszechną, ale jako wydatniejąca na kartach wspomnień przeszłości XVII stulecia. Skarbiec jēj klasztorny bogaty w pamiątki historyczne, sam mógłby dostarczyć materyału do zajmującego album, gdyż w nim mamy jakby drogocenne muzeum zabytków, zgromadzonych przez lat dwieście z górą.

Publikacja taka potrzebowałaby równie wielkich nakładów jak *Zabytki sztuki* wydane przez Al. hr. Przezdzieckiego i Edwarda Rastawieckiego; ale podobnych mecenasów literatury i sztuki polskiej dziś nie łatwo znaleźć. Pomysł godny uznania, należało w skromniejszych rozmiarach urzeczywistnić, i podjął po temu nakład pan D. Lange.

Nie odpowiada ta publikacja wymaganiom już dzisiejszych czytelników, których pragnienia i żądania są rozleglejsze, przyzwyczajonych do artystycznych utworów ołówka i ryłca w dwu naszych ilustracjach jak *Tygodnik Ilustrowany* i *Kłosa*, nie wspominając już o Albumie Jana Matejki; przyjąc wszelako z uwzględnieniem musimy darzyć zacnej myśli, że „czém chata bogata, tēm i rada.”

W sprawozdaniu przeto naszym o tój książce szczupłej w rozmiarach, skromnej w ilustracyach nie występujemy z krytyką, ale przyjmujemy zawsze dar cenny, bo dostępny dla mniej zamożniejszych rodzin, które z niej chociaż przybliżone mogą mieć wyobrażenie, tak co do samej miejscowości jak i wspomnień historycznych, które ją opromieniają.

Nie dotykając już strony artystycznej, zbyt słabo reprezentowanej, nie cofniemy zarzutu, że tekst sam jest zbyt szczupły, i jakby tylko dorywczo kreślony. Kilka przecież kartek dodanych niepowiększyło-by kosztów zbyt znacznie, a rzecz sama o wiele skorzystać mogła. Materiału, gładkiemu pióru pana Br. Grabowskiego nie braknie, miał ich obfity zasób: to w pielgrzymce Michała Balińskiego, to w opisie samego A. Kordeckiego, który dał nam bliżej poznać w polskim przekładzie dr. prof. Józef Łepkowski. Należało silniej uwydatnić obronę klasztoru, która oddziaływała tak przeważnie na ówczesną społeczność, na podniesienie ducha upadłego i tak świetne wywołała następstwa. Opis skarbcza częstochowskiego zbyt dorywczo skreślony, a i przy opisie biblioteki miejscowej znalazłoby się coś więcej powiedzieć, niż w pomienioném dziele znajdujemy. Szkice to lekkie, ale niedające wyobrażenia właściwego ile się tak w skarbcu, jak biblioteczce znajduje cennych pamiątek starożytności, jakoteż z zabytków z dawniej literatury. Żądania te uważamy za tém słuszniejsze, że gdy dzieło samo dojdzie do rąk takich, co nigdy się tych pamiątek nie dotykali, pragnienie będzie większe a niezaspokojone poznania więcej szczegółów o miejscowości tak wsławionej, o celu setek tysięcy pielgrzymek pobożnych.

Autor pomimo lekkiego w swoim opisie tylko szkicowania, daje przynajmniej zajmujące wiadomości, tak o mieście Częstochowie, które powstało dopiero w r. 1825, jak samego kościoła z klasztorem na Jasnógórze. Opis za to wnętrza kaplicy Najświętszej Panny Maryi, jest dokładny i w obszerniejszych rozmiarach podany. Zatrzymuje dłużej, a słusznie, autor uwagę czytelnika przy wspomnieniu o *Kaplicy Pana Jezusa Nazareńskiego*. Kaplica ta zbudowana była w r. 1625 za Zygmunta III, gdy zaczęła się rujnować, Stanisław książę Jabłonowski wojewoda ruski, kazał dziś istniejącą wybudować i pięknie marmurami przyozdobić. Postawiono w niej w ołtarzu figurę Jezusa Nazareńskiego związanego powrozami. W r. 1875 przywieziono do Częstochowy obraz Najświętszej Maryi Panny Kodeńskiej, który to obraz będący kopią starożytnego pierwowzoru hiszpańskiego znanego „de Guadalupe,” wykradł w r. 1633 Mikołaj Sapieha chorąży litewski i w mieście Kodniu na Podlasiu umieścić. W Rzymie oburzano się na to świętokradztwo, skazano Sapiechę na rok więzienia i zwrot obrazu, ale papież Urban VIII dał się przebłagać, i obraz Sapieże darował. Przez dwa z górą wieki pozostawał on w kościele Farnym w Kodniu, słynąc daleko w około i ściągając tłumy pobożnych, aż wreszcie w r. 1875 przeniesiono go na Jasnógórę, i tu znalazł odpowiednie sobie miejsce.

Po zarysie wnętrza refektarza, sali rycerskiej, w której obrazy przedstawiają dzieje klasztorne od r. 1382, jak i portrety prowincya-

łów i przeorów zakonu, daje nam autor opisy pomnika Kordeckiego wzniesionego w r. 1859, (dłuta Henryka Statlera), kościoła św. Barbary, i studni przy nim, kościoła św. Rocha, Farnego, Klasztoru i kościoła Maryawitek (dziś zniesiony, a w gmachu mieści się progimnazjum i biuro naczelnika powiatu). Zamyka tekst cały wspomnieniem o ratuszu miejskim, dworcu kolei żelaznej i fabryki papieru Ginsberga i Kohna.

Wydanie pod względem typograficznym staranne, zarówno jak odbicie słabego rylca drzeworytów. W.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Wrzesień 1877.—Prasa warszawska żywo i gorliwie, a serdecznie zajęła się nadchodzącym 50-letnim jubileuszem w zawodzie pisarskim J. I. Kraszewskiego. Przeważnie głosy zgodziły się na książkę zbiorową i medal, dla uczczenia należycie zasług nieocenionego dostojnego jubilata. Gdy upłynęło lat 40, Karol Estreicher wydał w Krakowie broszurę: *Józef Ignacy Kraszewski, przypomnienie czterdziestulecia zasług piśmienniczych i pracy* (Kraków. Czcionkami drukarni kraju. 1871 r. w 4-ce, str. 12). W niej wspomniawszy pokrótce o zasługach J. I. Kraszewskiego, daje spis bibliograficzny wszystkich prac jego, oddzielnie wydanych. Obejmuje on 163, nie tomów, ale dzieł i kończy tym pięknym wierszem Edmunda Wasilewskiego:

Kiedy wszyscy w świat biegli drogami wszystkiemi,
Ty przykuty magnesem do ojczystej ziemi,
Duchy świata w codzienną zaklinałeś mowic,
Dla braci swych na sławę, na życie, na zdrowie.
Nie wcielone, wezwano twém słowem potęgi,
W te, co wieki zadziwią, zamknąłeś nam księgi.
Robotniku bez czasu, czy z czasem potrójnym,
Nie czujesz, jak na polu pracowałeś znojnym,
Nie czujesz gór, coś twemi podźwignął ramiony;
Obejrzyj się, a staniesz nad sobą zdumiony.
Niedaremnie twe siły zaczęły się nużyć,
Że dzisiaj ledwie możesz za dziesięciu służyć.“

— *Gra w szachy wyłożona na mistrzowskich partyach.* Przez Augusta Helcina. Warszawa. Nakładem A. Kowalskiego 1877 r. (w 8-ce, str. 127), z drzeworytami. W długim szeregu najznakomit-

szych szachistów, mamy kilka imion naszych rodaków. Przed dwudziestą przeszło laty, wydał ś. p. Krupski, redaktor *Gazety codziennéj, Strategikę szachową*, która doczekała się kilku wydań. Niebraknie i dziś zwolenników téj gry szlachetnéj, dla których wydanie powyższéj pracy p. A. Helcina będzie pożądana.

— *Biblioteki najcelniejszych utworów literatury europejskiej*, wyszedł tom XLIV za miesiąc sierpień r. b. i obejmuje koniec tomu pierwszego dzieł Fr. Zabłockiego i dalszy ciąg monografii Ferd. Gregoroviusa: *Lukrecya Borgia*. Tom pierwszy Fr. Zabłockiego, zawiera najcelniejsze jego komedye wierszem, jak: *Zabobonnik, Fircyk w zalotach i Sarmatyzm*, oraz komedye prozą: *Doktor lubelski* i dwie opery: *Balik gospodarski* i *Zółtą szlafmycę*. Ostatnią cenik wysoko ś. p. St. Moniuszko i zamyślał do niéj napisać muzykę. Zgon przedwczesny niedozwolił ziszcic téj myśli pięknej, gdyż wówczas na scenie odżyłaby pamięć znakomitego komedyo-pisarza.

— Zeszyt IV części rusko-polskiej, dzieła: *Dokładny słownik języka ruskiego i polskiego*, ułożony przez P. Dubrowskiego, członka cesarskiej Akademii Nauk, wyszedł z pod prasy, nakładem Ferdynanda Hösick, księgarza.

— W *Gazecie Polskiej* w korespondencyi z Odessy czytamy: „Administrator kościoła ks. Rejchert zażądał księżeczek do nabożeństwa w języku polskim, dla rannych żołnierzy Polaków. Brak księgarni polskiej w Odessie, dał się czuć teraz dotkliwie. Kika dam z naszego towarzystwa, przyjęło na siebie obowiązek dostarczania książek żądanych.”

— W roku bieżącym przypada setna rocznica przyjścia na świat znakomitego malarza polskiego Aleksandra Orłowskiego, urodzonego w Warszawie w r. 1777. Był on najcelniejszym przodownikiem szkoły narodowej malarstwa, bo starszy od niego Smuglewicz, lubo do swoich utworów brał przedmioty krajowe, stroił przeciw swoich Bolesławów Wielkich i Śmiałych w suknie rzymskie, a największy i najpłodniejszy z dawnych mistrzów Czechowicz, zamykał się wyłącznie w dziedzinie malarstwa religijnego. Już więc dlatego samego, że Orłowski był jednym z najpierwszych, a w rzędzie prawdziwie utalentowanych, nawet pierwszym pomiędzy tymi, którzy naturę polską chwyтали na gorącym uczynku i żywcem przenosili na karton lub płótno, rocznica jego zasługuje na przypomnienie i upamiętnienie. Przypomniał ją *Tygodnik Ilustrowany*, dając piękny wizerunek Orłowskiego i kilka jego szkiców; upamiętnić zaś ją może wydawnictwo celniejszych utworów Orłowskiego w reprodukcji artystycznej, projektowane przez autora wspomnienia w powyżéj wymienioném czasopiśmie. Prac Orłowskiego, zwłaszcza szkiców ołówkowych, jest liczba nieprzebrana; trudność zachodziłaby jedynie w zebraniu i wyborze. Niezbyt dawno oglądaliśmy w Warszawie wcale bogatą tych utworów kolekcya, o której dzisiejszych losach niewiemy; to jednak tylko cząstka, bo niema prawie żadnego bogatszego zbioru prywatnego, w którymby się prace Orłowskiego nieznajdowały. Jak je

tworzył i pod jakimi wpływami, widzieć można z urywka pamiętników M. Malinowskiego, opisującego powstanie ilustracyi podróży Parrego do bieguna, oraz chwilę złożenia Zygmuntovi III Statutu litewskiego przez Lwa Sapiełę. Jedno i drugie powstało wśród uczty wyprawianych na cześć Mickiewicza, których treść tylko zwięzłą prozą zapisał Malinowski. Urywek jego pamiętnika, o którym tu mowa, drukowała przed lat parą *Kronika Rodzinna* i ztamtąd możnaby mieć wskazówkę do poszukiwań owych rysunków, tém cenniejszych, iż tekst do nich zaginął. Rysunek wręczenia Statutu, wykonany w dzień imienin Mickiewicza, 25-go grudnia 1827 roku, wręczony został obecnemu na ucztę Leonowi księciu Sapieżę, nawówczas młodzieńcowi, którego przymiotów umysłowych i towarzyskich Malinowski nachwalić się nie może. W zbiorach więc jego, o ile te ocalały, możeby się znalazła owa praca Orłowskiego. Jeżeli projekt *Tygodnika Ilustrowanego* przyjdzie do skutku, może też w Album Orłowskiego powitamy i owe ilustracye do przebrzmiałych poematów autora *Grażyny*.

Do tej wiadomości *Gazety Warszawskiej* my dodamy, że obszerny i wyczerpujący życiorys Orłowskiego znajduje się w *Albumie Warszawskim* pod redakcją K. Wł. Wójcickiego, wydanem w drukarni St. Strąbskiego i jego nakładem. Biografią tę napisał Wincenty Smokowski, znakomity rysownik, który znał osobiście Orłowskiego i oceniał jego wzniosły talent. Wiele rysunków tego artysty, litografie warszawskie zachowały w odbitkach starannych. Znaleźć je można u mieszkalców tego grodu. Słynną akwarelę Orłowskiego, przedstawiającą odpust w kościele na Ujazdowie (gdzie dziś pałac Belwederski), skopiował wiernie Korwin i tę przechowywał Lelowski redaktor *Izdy*. Oryginał zakupił minister Tayllerand, za czasów Księstwa Warszawskiego.

— Przed kilku laty Akademia nauk w Petersburgu wysłała doktora Hermana Hildebrandta do Inflant, celem poszukiwania w archiwach: rzykiem i rewelskiem dokumentów, mających jakikolwiek związek z historią. Obecnie dr. Hildebrandt złożył Akademii sprawozdanie, z którego się okazuje, że znalazło się mnóstwo ciekawych, a nieznanych materyałów do dziejów Inflant, Kurlandyi, Litwy, Podola i Wołnyia.

— Podczas prac przygotowawczych około osuszenia Polesia, zrobiono odkrycie, które może mieć niepospolite znaczenie w przyszłości. Nieopodal miasta powiatowego Mozyrza, badając grunt za pomocą świdra, trafiono w niewielkiej głębokości na brunatny węgiel kamienny, czyli tak zwany antracyt. Przymioty tego węgla nie są wysokie ale samo odkrycie pozwala mieć nadzieję znalezienia lepszych pokładów. Podczas wiercenia gruntu w innem miejscu pod miasteczkiem Lubaziem, znaleziono bursztyn, co zapewne przyczyni się do wzmocnienia wiary, że na miejscu dzisiejszego Polesia było niegdyś morze. Bursztyn zresztą w tamtych stronach, podobnie jak w okolicach Brześcia i Białegostoku, dawniej już znajdowano.

— Cesarz austriacki zatwierdził statut szkoły sztuk pięknych w Krakowie, który z początkiem roku szkolnego 1877/8 wchodzi w życie. Zadaniem téj szkoły jest z jednej strony dać sposobność do wykształcenia się w rysunku, z drugiej zaś do samoistnej artystycznej działalności w malarstwie. W szkole téj uczyć będą rysunku i malarstwa, anatomii, perspektywy i nauki stylu (w połączeniu z ćwiczeniami praktycznymi), historyi powszechnéj, historyi cywilizacji i historyi sztuki. Dla głównych przedmiotów istnieć będą przy szkole sztuk pięknych: ogólna szkoła rysunkowa i ogólna szkoła malarska. W przedmiotach pomniejszych odbywać się będą osobne wykłady. W razie potrzeby i możności, będzie otworzona specjalna szkoła malarstwa historycznego, która kształcić będzie wychowawców w samodzielnej pracy w téj gałęzi sztuki. Przy szkole istnieć będą dla wykształcenia artystycznego i stypendya. Szkoła ma urządzać co rok wystawy, a oprócz tego obowiązana jest wysyłać swoje roboty na większe wystawy peryodyczne, urządzone przez państwo wspólnie z akademią wiedeńską. Grono nauczycielskie składa się z dyrektora i czterech profesorów. Do przedmiotów pomocniczych powołani będą docenci płatni. Ciało nauczycielskie szkoły sztuk pięknych składa się z profesorów ogólnej szkoły rysunkowej i malarskiej. Zadaniem jego jest brać pod obrady wszystkie wewnętrzne sprawy szkoły, i wygotowanie wniosków w tym kierunku. Zbiera się ono na wezwanie dyrektora przynajmniej raz na miesiąc. Protokoły posiedzeń przedstawiane być mają ministeryum.

— W Krakowie wydaną została pieśń trzecia *Don Żuana* Byrona, w przekładzie wierszem, przez Wiktora z Baworowa. (Wiktora hr. Baworowskiego, w 8-ce str. 25).

— W dniu 1 września r. b. została otwarta doroczna Wystawa sztuk pięknych we Lwowie, a w dniu 4 t. m. Wystawa rolniczo-przemysłowa. Przemawiał na jéj otwarciu Włodzimierz hr. Dzieduszycki, jako prezes téj wystawy i główny sprawca tego popisu rolno-przemysłowego Galicyi. Obszerne o niéj sprawozdanie podamy później we właściwym dziale naszego pisma. Zakład Imienia Ossolińskich we Lwowie, polecił jednemu z rzeźbiarzy krakowskich wykonać odlew gipsowy w naturalnej wielkości, posągu Światowida, który zdobi Muzeum Akademii Umiejętności w starym grodzie Krakusa.

— Dnia 4 sierpnia r. b. Towarzystwo archeologiczne lwowskie odbyło zwyczajne posiedzenie wydziałowe, na którym członek, pan Schneider, przedstawił okazy wykopalisk: popielnice, łzawnice i narzędzia kamienne, znalezione przez niego w Lubieniu na Goroczynie, oraz kilka wykopalisk krzemiennych toporków z Rozpuciu w Stryjskiem.—Prezes Towarzystwa, dr. Stanisław Krzyżanowski zawiadomił, że p. F. de Daugnou, dyrektor archiwum heraldycznego w Medyolanie, listownie prosił Towarzystwo o nadesłanie biografii znakomitości polskich potrzebnych mu do jego dzieła. Towarzystwo postanowiło takowe mu przesłać i mianowało go członkiem swoim.

— Księgarnia J. K. Żupańskiego w Poznaniu, zapowiedziała wydawnictwo wielce zajmujące, bo zbiór listów Jana Śniadeckiego. Stanowisko jego w pierwszej połowie naszego stulecia i stosunki ze wszystkimi znakomitościami owoczesnemi, zbiorowi temu niemałą nadają wartość. Prócz tego zamierza wydać przekład dzieła *Infant polskich* barona Manteuffla, które wyszło w Rydze przed kilku laty. Wydał zaś trzeci tom *Dziejów Polski* Fr. hr. Skarbka, który obejmuje okres po roku 1830.

— Dnia 13 września r. b. o godzinie 10 rano odbytém zostało w kościele Josefsdorf pod Wiedniem, przez kapelana Urbana Loritza, uroczyste nabożeństwo, na pamiątkę odsieczy Wiednia i zwycięstwa króla Sobieskiego nad Turkami. Liczna publiczność, a między innymi wielu Polaków towarzyszyło temu obrzędowi, poczem wszyscy udali się na górę Leopoldsberg, na towarzyską ucztę. Tak przypominano sławny pogrom i oswobodzenie stolicy Habsburgów po upływie lat 194.

— *Sprawozdanie z czynności i stanu kasy Towarzystwa Bratniej pomocy Akademików Polaków w Lipsku za półrocze letnie 1877 r.* Towarzystwo liczyło w ubiegłym półroczu 36 członków zwyczajnych. Zarząd składali pp. Roman Kruszewski, jako prezes i Stanisław Niklans, jako sekretarz. Kasa wykazuje następujące pozycye: 1) Dochód, Remanent z półrocza zimowego 1876/7 r. 65 marek 87 fen.; ze składek członków 27 marek, razem 95 marek 87 fen. 2) Rozchód: Pożyczka bezprocentowa stypendyalna 95 marek: koszta biurowe i portorya 3 marek 14 fen., razem 98 marek 14 fen. 3) Majątek Towarzystwa wynosi: w wekslach 52 marek 50 fen.; w zaległych składkach 916 marek 75 fen.; w długach stypendystów 1,265 marek, ogółem 2,284 marki 25 fen. Na ostatniem walnym zebraniu, Towarzystwo postanowiło wykreślić z listy członków pp. Adolfa Wiesiołowskiego, Kolischera, Wilдена i Łebskiego, którzy z zaległych składek pomimo kilkorazowego napomnienia nie uiścili się. W skład zarządu na półrocze zimowe 1877/8 r. weszli pp. Roman Kruszewski, jako prezes i Józef Liszkowski jako sekretarz.

— Z Wiednia donoszą: „Na wystawie obrazów w Künstlerhaus, otwartéj d. 15 lipca, górują znowu artyści polscy. J. Brandt z Monachium wystawił, ukończony jeszcze w r. 1871 wyborny obraz: *Przeprawę wojsk przez rzekę*. Lipiński nadesłał, jako pendant do cennego i znanego już *Targu na Kleparzu*, *Targ na Szczepańskim placu*, doskonale schwycony i wybornie wykończony. Cała scenerya jest bardzo naturalną, chociaż krytyka tutejsza inaczej sądzi. Silne promienie przedpołudniowego słońca oświecają trzy główne i bardzo charakterystyczne ustępy: w pośrodku grupa pań miejskich z dziewczynką, na prawo garkuchnie z posilającymi się wieśniakami, włóczęgami i ulicznikami typowo oddanymi, na lewo targ owoców i kłótnia wieśniaków z żydostwem. Koloryt i techniczne wykonanie stoi na równi z poprzedniemi pracami tego artysty.

— W Wiedniu wyszło nowe dzieło uczonego profesora Zeissberga: *Kleinere Geschichtsquellen Polens im Mittelalter, Wien 1877. Gerold.* Zbiór ten obejmuje 11 dokumentów, które zapewne w wysokim stopniu zajmą uwagę naszych historyków. Są tu bowiem nieznane jeszcze, lub po raz pierwszy z rękopismu wydane kroniki klasztorne a między temi jedna z pierwszej połowy XII stulecia, akta przygotowywane do zamierzonej kanonizacji królowej Jadwigi, listy Zbigniewa Oleśnickiego, Długosza, Kalimacha, tudzież znane już, ale po raz pierwszy w całości, wydane pismo pedagogiczne królowej Elżbiety „matki Jagiellonów,” o której w *Szkicach* K. Szajnocha, tak pięknie obudził wspomnienie.

— W Paryżu wychodzi dzieło poszytowe pod napisem *Meluzyna*. Treścią jego i osnową jest oznajmianie czytelników swoich, których ma poważną cyfrę, z mitologią, literaturą, podaniami oraz obyczajami ludu francuzkiego. Podobnego pisma możemy pożądać i u siebie, gdyż pojedyncze usiłowania nie wystarczają tak olbrzymim rozmiarem pracy. Organ taki może byłby zachętą dla obywateli ziemskich, z których nie jeden mógłby podawać więcej wydatne obchody, zwyczajnie i podania ludowe, coby złożyły obfity materiał dla etnografii krajowej.

— Towarzystwo naukowe Imienia książąt Jabłonowskich w Lipsku, podaje dwa szeregi tematów historyczno-ekonomicznych i matematyczno-przyrodniczych. Prócz przepisów, odnoszących się do języka (francuzki, niemiecki lub łaciński), wyraźności pisma i zachowania metody paginacji, oraz motta na rozprawie, a nazwiska w kopercie, czytamy, że termin nadesłania w roku naznaczonym jest 30 listopada, na ręce sekretarza Towarzystwa Imienia książąt Jabłonowskich. Ocena nastąpi w miesiącu maju lub kwietniu następnego roku. Pisma uwięzione stają się własnością Towarzystwa.

Na rok 1877 przeznaczono pytanie i źródłowe studyum nad zastosowaniem nowoczesnych zasad wolności agrarnej, przemysłowej i handlowej pod koniec wieków średnich w północnych i środkowych Włoszech. Dopuszczono język włoski w rozprawach wyjątkowo. Nagroda 700 marek.

Na rok 1878. W obec historycznej ważności nazw topograficznych, jako dowodów zmiany w sadybach różnych ludów i plemion, Towarzystwo pragnie po starannem użyciu dostępniejszego już teraz materiału dokumentowego i sumiennem zużytkowaniu pewnych rezultatów badań językowych, otrzymać i systematyczny, z najlepszych dostępnych źródeł czerpany wykaz nazwisk topograficznych obecnego cesarstwa niemieckiego, które są udowodnionego słowiańskiego pochodzenia. Z powodu wielkości materiału, przekraczającego rozmiarami ramy zwykłej rozprawy, Towarzystwo dozwala, konkurującym o nagrodę, za taką pracę obrać sobie obręb geograficzny nie zaciasny, ale i nie nazbyt obszerny. Nagroda wynosi 700 marek.

Na rok 1879 źródłowe dzieje jarmarków od połowy XVII wieku do chwili obecnej w jednym z trzech miast: Lipsku, Frankfurcie nad Menem lub nad Odrą odbywanych. Nagroda także 700 marek.

Na rok 1880 temat dotyczy wykazania wpływu greckiej oświaty na rzymską z pomocą alfabetycznego wykazu greckich wyrazów w łacinie, a następnie rzeczowego opracowania tych danych w porządku historycznym. Nagroda jak wyżej.



Dnia 9 września r. b., na Podlasiu w dobrach swoich Huszlew zakończył życie w sędziwych latach **Jeremiasz** ksiązę **Korybut Woroniecki**. Po ukończeniu szkół na Żoliborzu u Pijarów, oddał się pracy rolniczej, i w gnieździe rodzinném zakończył dni swoje. Zwolennik historii swojego kraju, zbierał zajmujące wiadomości, a zarazem zabytki i pamiątki z upłynionych wieków. Dobry rysownik zgromadził ich nie mało w swoim Album, robiąc prawie co rok wycieczki w miejscowości słynniejsze w dziejach. Gdy go wiek sędziwy nacisnął, zabrał się z zapałem do uporządkowania familijnego archiwum, w którym wiele się szczegółów historycznych przechowało. Będzie to materyał zajmujący dla przyszłego badacza. W rękopiśmie pozostawił wiele cennych dla dziejów wiadomości. Zaczny obywatel, wierny zasadom w młodych latach wszczepionym, został w nich niewzruszony do grobu. Zasłużył sobie na zaszczytne wspomnienie.

— Dnia 16 września r. b. w Warszawie umarł, w sędziwym wieku, bo licząc lat 81 **Marcin Zaleski** artysta malarz, b. profesor Sztuk pięknych w Warszawie, celujący w widokach perspektywicznych. Liczne jego prace są wysoko cenione przez znawców, niemają téż liczbę uczniów wykształcił.

SPROSTOWANIE.

W zeszyte wrześniowym z r. b. str. 344 wiersz 3 od góry, zam. *biskup Muchata*, czytaj *biskup Muskata*; str. 346 wiersz 8, zam. *doskonałym*, czytaj *dosłownym*, *ibid.* w. 5 od dołu, zam. *jedynym*, czytaj *jednym*; str. 347 w. 12 od dołu, zam. *bym*, czyt. *był*.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny **K. Wł. Wójcicki**.

Wydawca **Józef Berger**.

	stron.
i hebrajską d-ra J. M. Rabbinowicza. Paryż, 1877. (Vergleichende Grammatik der polnischen Sprache, verglichen mit der deutschen und hebraeischen), str. XL i 432. Przez Feliksa Jezlerskiego.	133
Starodawne dumy i pieśni. Zebrał Zygmunt Gloger. Warszawa. Nakład księgarni Gebethnera i Wolffa 1877. (W 8-ce str. 152). Przez K. Wł. W.	149
Zagadki zebrane ze wsi Dymin, Kostomłot, Masłowa, Suko- wa, Zagórze (w gubernii Kieleckiej). Przez Ks. Władysława Siar- kowskiego.	153
Słowniczek prowincjonalizmów w okolicach Krakowa, Bo- chni i Wadowic. Zebrał dr. Wład. Kosiński, nauczyciel gimnazyalny w Wadowicach. Kraków, 1877 (w-8ce). Przez K. Wł. W.	—
Widoki Częstochowy i Jasnej Góry z opisem. Warszawa. Nakładem D. Lange. Widoki rysował z natury Władysław Dmochow- ski. Opis ułożył Br. Grabowski. Rytowano w drzeworytni warszaw- skiej. Wykonano w zakładzie typograficznym Wil. Kohna i A. Ader- felda w Częstochowie. (W formie podłużnej str. 20 tekstu i rycin drzeworytowych 20). Przez W.	156
VIII. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne . .	158
IX. Nekrologia.	164

—————

**Zestawienie przedmiotów zawartych w 136 tomach Bi-
blioteki Warszawskiej z lat 1841—1874. Przez Karola Estrej-
chera. W Krakowie, w drukarni Leona Paszkowskiego. (W 8-ce
str. VII, 319). Na czele redakeya w treściwym zarysie poda-
je w tym spisie bibliograficznym, wiadomość o pierwotnym za-
wiązku swego pisma i pierwszych założycielach, aż do roku
1875. Wydanie całe odbito w 500 egzemplarzach.**

Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Cena
egzemplarza rs. 1, kop. 50 (złoty 10).

—————

PRENUMERATA
BIBLIOTEKI WARSZAWSKIÉJ
NA ROK
1877.

Biblioteka Warszawska wychodzi zeszytami miesięcznemi.

Prenumerata roczna w Warszawie rs. **9**, na prowincyi z opłatą pocztową rs. **10**. Półroczna w Warszawie rs. **4** kop. **50**, na prowincyi rs. **5**.

Główna ekspedycya Biblioteki Warszawskiej znajduje się w księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie (Krakowskie-Przedmieście, Nr. 415). Każdy z prenumeratorów z prowincyi, *wprost do téj księgarni* przesyłać zechce prenumeratę pocztową, *a zarazem poda dokładnie swoje nazwisko, miejsce zamieszkania i najbliższą stacyą pocztową*, z kądem w opaskach pod oddzielnym adresem, zeszyty najregularniej po wyjściu odbierać będzie.

Prenumeratę przyjmują oprócz ekspedycyi głównej, w księgarni Gebethnera i Wolffa będącej, wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne.

Skład główny: *w Lwowie* w księgarni Gubrynowicza i Schmidta, plac św. Ducha L. 10.—*w Krakowie* w księgarni G. Gebethnera i Spółki.

Prenumeratę przyjmuje nadto w Warszawie *Księgarnia Komiso-wa*, ulica Chmielna Nr 8.

REDAKCJA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIÉJ:
ULICA NOWY-ŚWIAT, NUMER 68.